

Nigdy nie mów żegnaj

Gerritsen Tess



calibre 0.9.43



ROMANSE

TESS GERRITSEN

Nigdy nie mów

żegnaj

0

PROLOG

1970

granica między Laosem a Wietnamem Północnym

Pięćdziesiąt kilometrów za Muong Sam zobaczyli pierwsze pociski smugowe przecinające niebo. Kiedy uderzyły w tył kadłuba, pilot William Dziki Bill Maitland poczuł, że dehavilland twin otter bryknął niczym żrebak. Instynktownie skierował samolot wyżej .

Spowite mgłą góry uciekły w dół, kiedy obok nich przemknęła nowa seria strzałów, zbryzgując kokpit pociskami.

- Cholera jasna, Kozy, przynosisz pecha - mruknął Maitland do drugiego pilota. - Kiedy lecimy razem, częściej nas ołowiem.

Kozłowski spokojnie żuł gumę. alous

- Co się martwisz? - wycedził, wskazując głową roztrzaskaną przednią szybę. - Minał cię o kilka centymetrów.

- Najwyżej dwa.

- Ale mi różnica.

- Dwa centymetry to czasem cholernie duża różnica.

scand

Kozy roześmiał się i wyjrzał przez okno.

- Racja. Moja żona często mi to mówi.

Drzwi od kokpitu otworzyły się gwałtownie. Do kabiny zajrzał

ustawiacz ładunku Valdez. Miał na plecach spadochron.

- Co się, do cholery, dzieje...

Zamarł, kiedy powietrze tuż obok kadłuba przeciął następny pocisk.

1

- Strasznie duże komary tu latają - rzekł Kozłowski i wydmuchał

wielką różową bańkę gumy.

- Co to było? - zapytał Valdez. - AK-47?

- Wygląda raczej na 0,57 milimetra - odparł Maitland.

- Nic nie mówili żadnych 0,57. Co to za odprawa? Kozłowski wzruszył ramionami.

- Najlepsza, jaką możesz dostać za pieniądze podatnika.

- Jak tam nasz ładunek? - zapytał Maitland. - Jeszcze ma suche gacie?

Valdez pochylił się do przodu i powiedział konfidencjonalnie:

- Człowieku, ale to dziwoląg!

- Zawsze takich mamy - stwierdził Kozłowski.

- Ale ten jest naprawdę dziwny. Naokoło latają pociski, a on nie alous

mrugnie nawet okiem. Siedzi tylko, jakby pływał na stawie pośród lilii wodnych. A zobaczylibyście ten medalion, który ma na szyi. Waży chyba z kilo.

- A, daj spokój - mruknął Kozłowski.

- Mówię ci, Kozy, kilo złota dynda na tym tłustym karku. Kto to scand jest?

- Jakiś laotański VIP - odparł Maitland.

- To wszystko, co ci powiedzieli?

- Jestem tylko chłopakiem na posyłki. Nie muszę nic więcej wiedzieć.

Maitland wyprowadził dehavillanda na dwa tysiące czterysta metrów. Obejrzał się i przez otwarte drzwi zobaczył ich jedyne 2

pasażera, który siedział spokojnie obok skrzyń z zaopatrzeniem. W

półmroku kabiny twarz Laotańczyka błyszczała jak wypolerowany heban. Oczy miał zamknięte i poruszał cicho wargami. Modli się? -

pomyślał Maitland. Tak, ten człowiek na pewno jest jednym z ciekawszych ładunków.

Maitland woził już bardzo dziwnych pasażerów. W ciągu dziesięciu lat pracy w Air America transportował owczarki alzackie i panienki, małpy i generałów. Dostarczał ich wszędzie tam, gdzie mieli się dostać. Gdyby piekło miało pas startowy, mawiał, zawiózłby tam wszystkich, którzy mieli bilet. Wszystko, w każde miejsce, o każdej porze - to była zasada w Air America.

- Rzeka Song Ma - powiedział Kozłowski, spoglądając w dół na bujną, spowitą we mgle dżunglę.

alous

- Dobra kryjówka. Jeżeli mają więcej tych 0,57, czeka nas twarde lądowanie.

- I tak będzie trudno - orzekł Maitland na widok aksamitnych, zielonych zboczy gór.

Dolina była wąska - będzie musiał zejść szybko. Miał przed sobą scand

piekielnie wąski pas do lądowania, jakby ktoś zadrapał dżunglę szpilką. No i zawsze może się tam znaleźć nowe gniazdo karabinów.

Ale według rozkazu należy zrzucić laotańskiego VIP-a na terytorium Wietnamu Północnego. Nie planowano podjęcia go z powrotem; wyglądało to na podróż w jedną stronę ku zagładzie.

- Schodzimy za minutę - zawołał przez ramię do Valdeza. -

Niech się przygotuje. Będzie musiał wyskoczyć.

3

- Mówi, że zabiera skrzynię.

- Co? Nic o tym nie wiem.

- Załadowali ją w ostatniej chwili. Zaraz po tym, jak wzięliśmy zaopatrzenie dla Nam Tha. Ciężka jak diabli. Będę potrzebował

pomocy.

Kozłowski z rezygnacją odpiął pas.

- Dobra - westchnął - ale pamiętaj, nie płacą mi za wywalanie skrzyń.

Maitland zaśmiał się.

- A za co ci właściwie płacą?

- Za to i za tamto - odparł Kozłowski leniwie, pochylając się w drzwiach kokpitu. - Za żarcie. Spanie. Opowiadanie świńskich dowcipów...

alous

Jego ostatnie słowa przeciął ogłuszający wybuch, który niemal rozerwał bębenki w uszach Maitlanda. Eksplozja odrzuciła Kozłowskiego - lub raczej to, co

z niego zostało - z powrotem do kokpitu. Krew obryzgała tablicę kontrolną tak, że nie można było odczytać wskazań

wysokościomierza. Maitland jednak go nie potrzebował, by zorientować się, że spadają bardzo szybko.

- Kozy! - krzyczał Valdez, nie odrywając wzroku od szczątków drugiego pilota. - Kozy!

Jego krzyk prawie całkowicie zagłuszało wycie wiatru.

Dehavilland zadrżał jak zraniony ptak walczący o utrzymanie się w 4

powietrzu. Maitland, zmagając się z wolantem, wiedział, że wysiadła hydraulika. Mógł jedynie liczyć na lądowanie awaryjne w dżungli.

Odwrócił się, by ocenić straty, i zobaczył w chmurze dymu zakrwawione ciało Laotańczyka rzucone na skrzynie. Zobaczył też światło słoneczne przenikające poprzez poskręcane kawałki blachy, niebo i chmury tam, gdzie powinna być kłapa luku transportowego.

Co jest, do cholery? Czyżby wybuch nastąpił wewnątrz samolotu?

- Skacz! - wrzasnął do Valdeza.

Strzelec nie odpowiedział. Patrzył przerażony na ciało Kozłowskiego. Maitland szturchnął go.

- Spieprzaj!

Valdez w końcu zareagował. Wydostał się z kok-pitu i wpadł w pobjawisko strzaskanych skrzyń i pogniętego metalu. Zatrzymał się

przy wyrwanym luku bagażowym.

- Maitland? - Próbował przekrzyknąć wycie wiatru. Ich wzrok się spotkał. W ułamku sekundy pojęli, że

jest to ostatni raz, kiedy widzą się żywi.

- Jakoś się wydostanę! - krzyknął Maitland. - Skacz!

scand

Valdez cofnął się o kilka kroków i wyskoczył przez wyrwane drzwi.

Maitland nie odwrócił się, by sprawdzić, czy spadochron kolegi się otworzył. Miał teraz inne zmartwienia.

Samolot pikował w dół.

Sięgał do pasów bezpieczeństwa ze świadomością, że jego fart się skończył. Nie starczy mu czasu, by włożyć spadochron. Nigdy 5

tego nie robił. Włożenie spadochronu było dla niego jednoznaczne z przyznaniem się do braku zaufania we własne umiejętności, a Maitland wiedział, tak jak wszyscy, że jest najlepszy.

Ze spokojem więc zapiął pasy i schwycił za stery. Przez rozbitą przednią szybę kabiny obserwował, jak poszycie dżungli, soczyste zielone i niewiarygodnie piękne, gna, by się z nim spotkać. Zawsze wiedział, że tak skończy - wiatr będzie hulał po okaleczonym samolocie, a on oprze dłonie na wolancie, pędząc na spotkanie z ziemią. Tym razem już się nie wymiga...

Ta nagła akceptacja własnej śmiertelności bardzo go zaskoczyła.

Co za dziwna myśl. Zaraz umrę.

Jego zdumienie niepomierne wzrosło, gdy samolot ściał

wierzchołki drzew.

alous

Vientiane, Laos

Raport o zaginięciu samolotu Air America, numer rejsu 5078, przyszedł o 19.00.

W Sali Operacyjnej Oficera Łącznikowego Armii Stanów Zjednoczonych pułkownik Joseph Kistner i jego koledzy z Wywiadu scand

przyjęli wiadomość w ciszy. Czyżby ich akcja, przygotowana tak pieczołowicie, tak ważna dla interesów Ameryki, spaliła na panewce?

Pułkownik Kistner natychmiast zażądał potwierdzenia.

Dowództwo Air America przedstawiło bliższe szczegóły.

Samolot o numerze rejsu 5078, który miał przybyć do Nam Tha o 15.00, nie dotarł do celu. Podczas

poszukiwań wzdłuż prawdopodobnego korytarza powietrznego - prowadzonych aż do 6

zmiernych - nie natrafiono na żadne ślady katastrofy. Wcześniej jednak napłynęły doniesienia o gwałtownym ostrzale w okolicach granicy, a tuż koło Muong Sam zauważono gniazda broni kaliber 0,57

milimetra. Co gorsza, teren był górzysty, pogoda zmienna, a liczba niekontrolowanych przez wroga miejsc do lądowania awaryjnego ograniczona.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa 5078 zestrzelono.

Na twarzach mężczyzn siedzących wokół stołu odmalowała się akceptacja ponurej rzeczywistości. Wszelkie nadzieje znikły wraz z nieszczęsnym samolotem. Patrzyli na Kistnera w oczekiwaniu decyzji.

- Podjąć poszukiwania o świcie - polecił Kistner.

- Poświęćmy żywych dla ratowania martwych - zauważył oficer CIA. - Panowie, przecież wiadomo, że załoga zginęła.

alous

Cyniczny gnojek, pomyślał Kistner. Ale jak zwykle, ma rację.

Pułkownik zebrał papiery i wstał.

- Nie szukamy ludzi - wyjaśnił - tylko wraku. Chcę go zlokalizować.

- A co potem?

scand

Kistner zatrzaskał zamek teczeki.

- Przetopimy go.

Oficer CIA przytaknął skinieniem głowy. Nikt nie zaprotestował. Operacja zakończyła się klęską. Nie można nic więcej zrobić.

Poza zniszczeniem dowodów.

7

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dwadzieścia lat później Bangkok, Tajlandia

General Joe Kistner się nie pocił. Fakt ten zdumiewał Willy Jane Maitland, bo ona sama wręcz się rozplątywała mimo cienkiej bawełnianej bielizny, batystowej bluzki bez rękawów i kretonowej spódnicy. Kistner wyglądał na człowieka, który powinien tonąć w strugach potu. Rumiany, ze szczęką jak u buldoga, nos miał pokryty siateczką czerwonych żyłek, a szyję tak potężną, że ledwie się mieściła w sztywnym wojskowym kołnierzu. Mówiący bez ogródek, to jest prostolinijny twardy żołnierz starej daty, pomyślała. Tylko ten wzrok... Uciekający. Niepewny.

alous

Niebieskie oczy, jasne i zimne, patrzyły poprzez werandę na bujne tajskie wzgórza, parujące w skwarze popołudnia.

- To szukanie wiatru w polu, panno Maitland - powiedział. -

Minęło dwadzieścia lat. Przecież pani wie, że ojciec nie żyje.

- Moja matka nigdy się z tym nie pogodziła. Musi mieć ciało, scand

żeby je pogrzebać, panie generale.

Kistner westchnął.

- No tak. Żony. Zawsze te żony. Tyle było wdów, że się zapomina...

- Ona nie zapomniała.

- A tak naprawdę, panno Maitland, czemu ma to służyć? Poza zaspokojeniem pani ciekawości?

8

Zirytował ją. Sprawił, że jej misja wydała się trywialna, a wpadała w złość, kiedy ktoś ją lekceważył.

Szczególnie taki nadęty prymitywny żołdak. Ranga nie robiła na niej wrażenia, szczególnie teraz, po miesiącach spotkań z bufonami, którzy wyrażali współczucie, ale mówili, że nie mogą pomóc, i zbywali jej pytania. Ale Willy nie należała do kobiet, które można łatwo spławić. Tak długo wierciła im dziurę w brzuchu, aż odpowiadali na jej pytania lub ją po prostu wyrzucali.

Ostatnio poproszono ją o opuszczenie kilku gabinetów.

- To sprawa dla Komisji Wypadków - ciągnął Kistner. - To jest właściwa droga...

- Mówią, że nie mogą mi pomóc.

- Ja też nie mogę.

alous

- Oboje wiemy, że to nieprawda. Zapadła cisza.

- Tak? - spytał cicho.

Pochyliła się do przodu, by wykorzystać przewagę.

- Odrobiłam lekcje, panie generale. Pisałam listy, rozmawiałam z dziesiątkami osób - ze wszystkimi, które miały coś wspólnego z tą scand

misją. Kiedy wspominałam Laos albo Air America czy lot 5078, zawsze pojawia się pana nazwisko.

Uśmiechnął się blado.

- Jak to miło, że o mnie pamiętają.

- Był pan attache wojskowym w Vientiane. Ostatni lot mojego ojca to było zlecenie pańskiego biura. Pan osobiście je nadzorował.

- Gdzie pani usłyszała tę plotkę?

9

- W Air America. Od starych kumpli ojca. To wiarygodne źródło.

Kistner przez chwilę milczał. Przyglądał się jej z namysłem, jak gdyby patrzył na plan bitwy.

- Może wydałem taki rozkaz - zgodził się łaskawie.

- To znaczy, że pan nie pamięta?

- To znaczy, że nie mogę rozmawiać na ten temat. To tajne informacje. To, co wydarzyło się w Laosie, jest niezwykle delikatną sprawą.

- Nie mówimy teraz o tajemnicach wojskowych. Wojna skończyła się ponad piętnaście lat temu!

Kistner zamilkł, zdziwiony porywczością tej drobnej kobiety.

Najwidoczniej Willy Maitland, licząca metr pięćdziesiąt parę alous

centymetrów wzrostu, i to na bosaka, potrafi pyskować jak wyrośnięty marynarz i nie boi się otwartej walki. Od chwili, kiedy pojawiła się na werandzie, wiedział, że trzeba się z nią liczyć. Kojarzyła mu się z powiedzonkiem Eisenhowera: „Nieważne, ile jest psa w walce, ale walki w psie”. Trzy wojny, Japonia, Korea i Wietnam, nauczyły scand

Kistnera, że nie wolno nie doceniać wroga.

I nie miał też zamiaru nie doceniać córki Billa Maitlanda.

Przeniósł wzrok znad szerokiej werandy na jaskrawozielone wzgórza. W klatce zaskrzeczała papuga, jakby się przeciwko czemuś buntowała.

W końcu Kistner przemówił:

10

- Ten samolot wystartował z Vientiane z trzema osobami załogi -

pani ojcem, ładunkowym i drugim pilotem. Podczas lotu znaleźli się nad terytorium Wietnamu Północnego i przypuszczamy, że tam zostali zestrzeleni przez nieprzyjaciela. Wskoczyć zdołał tylko Luis Valdez, ładunkowy. Został od razu schwytany przez Wietnamczyków. Pani ojca nie odnaleziono.

- To nie znaczy, że nie żyje. Valdez przeżył...

- Trudno to tak nazwać...

Zamilkli na wspomnienie człowieka, który przetrwał pięć lat obozu jenieckiego, ale nie przetrzymał powrotu do cywilizacji. Luis Valdez wrócił do domu w sobotę, a w niedzielę się zastrzelił.

- Coś pan pominął, generale - powiedziała Willy. - Słyszałam, że mieli pasażera...

alous

- O tak - odrzekł Kistner, nie mrugnawszy nawet okiem. -

Zapomniałem.

- Kto to był?

Kistner wzruszył ramionami.

- Laotańczyk. Jego nazwisko nie ma znaczenia.

scand

- Z wywiadu?

- To tajna informacja.

Temat Laotańczyka najwyraźniej nie podlegał dyskusji.

- Po katastrofie samolotu - kontynuował generał -

zorganizowaliśmy poszukiwania. Ale trwało ostrzeliwanie z ziemi.

Stało się jasne, że jeżeli nawet ktoś przeżył, to dostał się w ręce wroga.

- Więc ich tam zostawiliście.

- Nie popieramy marnowania życia, a czymś takim byłaby operacja ratownicza. Poświęcaniem żywych dla umarłych.

Rozumiała jego tok myślenia. Facet jest taktykiem wojennym, nie ulega sentymentom.

Nawet w tej chwili siedzi w fotelu wyprostowany jak struna, a jego oczy przeszukują otaczającą willę zielone wzgórza, nieustannie tropiąc wroga.

- Nie zlokalizowaliśmy miejsca katastrofy. Dżungla jednak chłonie wszystko. Mgła w dolinach i gąszcz drzew zatrzymują światło. Na ziemi panuje wieczny mrok. Sama zresztą pani zobaczy.

Kiedy pani jedzie do Sajgonu?

- Jutro rano.

alous

- I Wietnamczycy zgodzili się z panią porozmawiać?

- Nie podałam powodu przyjazdu. Bałam się, że nie dostanę wizy.

- I słusznie. Nie lubią spraw kontrowersyjnych. Co im pani powiedziała? scand

- Że jestem zwykłą turystką - roześmiała się – na luksusowej prywatnej wycieczce. Sześć miast w dwa tygodnie.

- I tak należy się w Azji zachowywać. Unikać konfrontacji.

Wokół spornych kwestii trzeba chodzić na paluszkach.

Popatrzył na zegarek, dając jasny sygnał, że rozmowa dobiegła końca. Willy spostrzegła, że ponownie ocenił ją wzrokiem. Uścisk 12

jego dłoni był szybki i zdecydowany, jak przystało na starego psa wojny.

- Powodzenia, panno Maitland. Mam nadzieję, że znajdzie pani to, czego pani szuka.

Odwrócił się i znowu zatrzymał wzrok na górach. Dopiero wtedy zauważyła małe kropelki potu, błyszczące na jego czole jak brylanciki.

Generał Kistner patrzył na kobietę opuszczającą werandę w towarzystwie służącego.

Czuł się nieswojo. Pamiętał Billa Maitlanda bardzo dobrze, a córka jest taka jak on. Będą kłopoty.

Podszedł do stolika i podniósł srebrny dzwonek. Po chwili zjawił

się sekretarz.

alous

- Czy pan Barnard już przyjechał? - spytał.

- Czeka od pół godziny.

- A kierowca panny Maitland?

- Odesłałem go, jak pan kazał.

- Dobrze. - Kistner kiwnął głową.

scand

- Czy mam poprosić pana Barnarda?

- Nie. Powiedz mu, że odwołuję wszystkie spotkania. Jutro też.

- Nie będzie zadowolony. - Sekretarz zmarszczył czoło.

- Racja, chyba nie - odrzekł Kistner, idąc w stronę swojego gabinetu. - Ale to już jego sprawa.

13

Tajski służący w wykrochmalonej białej marynarce odprowadził

Willy przez pobrzmiwający echem jak w katedrze hol do sali recepcyjnej.

- Życzy pani sobie, żebym wezwał samochód?

- Nie, dziękuję. Mój kierowca mnie odwiezie. Służący zdziwił

się.

- Ale pani kierowca jakiś czas temu odjechał.

- Niemożliwe! - Wyjrzała przez okno zirytowana. - Miał

przecież czekać...

- Może zaparkował w cieniu. Wyjdę i zobaczę. Willy patrzyła przez oszklone drzwi, jak służący z gracją zbiega po schodach na ulicę.

Posiadłość była rozległa i gęsto zarośnięta; samochód mógł

alous

łatwo ukryć się w tej dżungli.

Tuż przy podjeździe ogrodnik przystrzygał jaśminowy żywopłot.

Wysypana żwirem ścieżka prowadziła przez trawnik do ocienionego drzewami ogrodu kwiatowego z kamiennymi ławkami. W oddali, nad centrum Bangkoku, wisiała jasnoblękitna mgiełka.

scand

Willy usłyszała jakiś dźwięk. Odwróciła się i spostrzegła mężczyznę stojącego w odległym rogu sali recepcyjnej. Skinął jej niedbale głową. Zobaczyła uśmiech i pasmo ciemnych włosów spadające na opalone czoło. Znow skupił uwagę na wiszącym na ścianie starym gobelinie.

14

Dziwne. Ten mężczyzna nie wygląda na kogoś, kto interesuje się zżartymi przez mole tkaninami. Na plecach koszuli khaki widniała plama poru, rękawy

były podwinięte do łokci. Spodnie wyglądały tak, jakby facet spał w nich przez tydzień. Obok niego stała teczka ze znakiem Laboratorium Identyfikacyjnego Armii Stanów Zjednoczonych, ale nie wyglądał na wojskowego. Przynajmniej jego zachowanie nie zdradzało żadnych oznak dyscypliny. Lepiej by się czuł w jakimś barze niż tu, w chłodnej marmurowej sali recepcyjnej generała Kistnera.

- Panno Maitland? - Służący przepaszająco kręcił głową. - To jakieś nieporozumienie. Ogrodnik mówi, że pani kierowca wrócił do miasta.

alous

- No nie. - Ze zmartwioną miną popatrzyła w stronę okna. - I jak ja teraz wrócę do Bangkoku?

- Może kierowca generała panią odwiezie? Teraz go nie ma, ale niedługo wróci. Może zechciałaby pani obejrzeć w tym czasie ogród?

- Owszem. Z chęcią. Służący otworzył drzwi.

scand

- To słynny ogród. Generał Kistner jest znany ze swojej kolekcji krzewów. Znajdzie je pani przy końcu ścieżki, koło stawu z karpami.

Wyszła na zewnątrz i czując się jak w saunie, podążyła żwirowaną ścieżką w stronę stawu. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie klekotem nożyc ogrodnika. Ruszyła w stronę drzew, ale w połowie drogi zatrzymała się raptownie i odwróciła.

15

Najpierw zobaczyła słońce odbijające się w marmurowej fasadzie domu, a potem sylwetkę mężczyzny w jednym z okien.

Czyżby to był służący?

Poszła dalej ścieżką, świadoma, że ktoś ją obserwuje.

Guy Barnard stał przy oszklonych drzwiach i patrzył, jak kobieta przecina trawnik, zmierzając do ogrodu. Słońce tańczyło w jej krótko ostrzyżonych włosach koloru miodu, i to mu się podobało. Podobały mu się też jej ruchy. Przesunął wzrok na bluzkę i spódnicę, niestety, dosyć długą. Szczupła talia, kształtne biodra. Zgrabne łydki. Ładna...

Niechętnie przerwał ten niepokojący tok myślenia. To nie czas na odrywanie się od rzeczywistości. Nie mógł sobie jednak darować ostatniego, pełnego podziwu spojrzenia na jej drobną figurę. Jest za chuda, ale ma świetne nogi.

alous

Na marmurowej posadzce zadźwięczały kroki sekretarza Kistnera, Taja o gładkiej twarzy bez uśmiechu.

- Panie Barnard? Przepraszamy, ale wynikło coś pilnego.

- Przyjmie mnie teraz?

- Obawiam się, że... - Sekretarz najwyraźniej czuł się scand

niezręcznie.

- Czekam od trzeciej.

- Rozumiem, ale mamy problem. Wygląda na to, że general Kistner nie może się z panem zobaczyć, jak planował.

- Czy mogę panu przypomnieć, że to nie ja zażądałem tego spotkania, tylko general?

- Tak, ale...

16

- Poświęcam czas, mimo że jestem bardzo zajęty - pozwolił

sobie na lekką przesadę - przyjeżdżam tutaj i...

- Rozumiem, ale...

- Proszę mi przynajmniej powiedzieć, dlaczego generałowi tak zależało na tym spotkaniu.

- O to będzie pan musiał zapytać jego samego.

Guy, który dotąd kontrolował irytację, wyprostował się. Chociaż nie był szczególnie wysoki, sekretarza przewyższał o całą głowę.

- Czy pan generał zawsze tak się zachowuje?

- Bardzo mi przykro. To coś zupełnie niespodziewanego...

Wzrok Guya Barnarda podążył za szybkim spojrzeniem sekretarza, skierowanym na kobietę o włosach barwy miodu.

Sekretarz poruszył się niespokojnie, dając mu do zrozumienia, alous

że ma inne obowiązki.

- Zapewniam pana, panie Barnard - powiedział - jeżeli zadzwoni pan za kilka dni, umówimy spotkanie.

Guy schwycił teczkę i ruszył do drzwi.

- Za kilka dni będę w Sajgonie. Zmarnowane popołudnie, scand

pomyślał z niechęcią, schodząc ze schodów. Znowu zaklął, gdy zobaczył, że jego samochód jest zaparkowany o dobre sto metrów dalej, w cieniu.

Kierowcy nie było w zasięgu wzroku. Guy się domyślał, że Puapong pewnie flirtuje już z córką ogrodnika.

Zrezygnowany powlókł się w stronę samochodu. Słońce prażyło niemiłosiernie, fale gorąca unosiły się z wysypanej żwirem ścieżki.

17

Gdy zerknął w stronę ogrodu, ujrzał miodowowłosą siedzącą na kamiennej ławce. Wyglądała na zniechęconą. Nic dziwnego, bo do miasta jest daleko, a Bóg wie kiedy zjawi się kierowca.

A niech tam, pomyślał i podszedł do niej. Potrzebował

towarzystwa.

Była pogrążona w myślach i go nie zauważyła.

- Cześć - powiedział.

- Dzień dobry. - Jej słowa zabrzmiały neutralnie.

- Słyszałem, że chce się pani dostać do miasta.

- Już załatwione, dziękuję.

- To może potrwać. Jadę w tamtą stronę. - Nie odpowiedziała, więc dodał: - To żaden kłopot.

Jej bystre, szaro-srebrne oczy zdawały się go przeświecać. Nie alous

boi się byle czego, pomyślał.

- Kierowca Kistnera miał mnie odwiedzić...

- Jego nie ma, a ja jestem.

Znowu spojrzała na niego twardym wzrokiem. Pewnie uznała, że jest w porządku, bo w końcu wstała.

scand

- Dziękuję. Będę zobowiązana.

Ruszyli w stronę samochodu. Tylne drzwi były szeroko otwarte, wystawała z nich para brudnych śniadych stóp. Puapong spał na tylnym siedzeniu jak zabity.

Kobieta przystanęła, wpatrując się w pozbawione oznak życia ciało.

- O Boże! On nie...

18

Z samochodu dobiegło ich chrapanie.

- Nie - odrzekł Guy. - Hej, Puapong! Uderzył pięścią w dach samochodu. Chrapanie obudziłoby nieboszczyka.

- Wstawaj, Śpiąca Królowno! Obudzisz się czy mam cię najpierw pocałować?

- Co się dzieje? - usłyszeli jęk.

Puapong poruszył się i otworzył jedno nabiegłe krwią oko.

- To pan, szefie? Co tak szybko?

- Dobrze spałeś? - zapytał Guy uprzejmie.

- Nie najgorzej.

Guy z gracją wykonał gest zapraszający kierowcę do opuszczenia samochodu.

- Nie chcę być niemiły, ale może pozwolisz? Zaproponowałem alous

tej damie podwiezienie.

Puapong wygrzebał się z auta i zaspany, przeniósł się za kierownicę. Kilka razy pokiwał głową, a potem zaczął szukać na podłodze kluczyków.

Willy przyglądała się wszystkiemu z narastającym scanda powątpiewaniem.

- Jest pan pewien, że on umie prowadzić? - mruknęła pod nosem.

- Ten człowiek ma refleks kota. Kiedy jest trzeźwy.

- A jest?

- Puapong! Jesteś trzeźwy?

- A nie wyglądam? - zapytał kierowca, urażony w swej dumie.

- Ma pani odpowiedź. Willy westchnęła.

19

- No to czuję się już lepiej.

Spojrzała jeszcze raz na dom. Tajski służący pojawił się na stopniach i pomachał im na pożegnanie.

Kiedy zjeżdżali krętą górską drogą do miasta, milczała i wydawało się, że myślami jest daleko.

- Długo pani była u generała - zauważył.

- Miałam wiele pytań.

- Jest pani reporterką?

- Słucham? O nie. To sprawa... rodzinna. Zaczekał, aż coś doda, ale odwróciła się do okna.

- To musiała być jakaś ważna rodzinna sprawa.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Po pani wyjściu generał odwołał wszystkie spotkania.

alous

- Nie przyjął pana?

- Rozmawiałem tylko z sekretarzem. A to Kistner chciał się ze mną widzieć.

Zastanowiła się, a potem wzruszyła ramionami.

- Jestem przekonana, że nie mam z tym nic wspólnego.

scand

A ja jestem przekonany, że masz, pomyślał z nagłą irytacją.

Dlaczego ta kobieta sprawia, że czuje się nieswojo? Siedziała bez ruchu, ale miał wrażenie, że w tej ładnej główce przetacza się nawałnica. Przyznał w końcu, że jest ładna w pewien bezpretensjonalny sposób. I na tyle bystra, by się nie malować; to by tylko zbanalizowało jej urodę. Nigdy nie interesował go ten typ - typ dziewczyny z sąsiedztwa. Ale ta jest inna. Ma oczy koloru dymu, 20

zdecydowanie zarysowany podbródek i mały zadarty nosek, obsypany lekko piegami. Usta - we właściwej sytuacji - zachęcające do całowania.

- A więc jak długo będzie pani w Bangkoku? -zapytał

odruchowo.

- Jestem tu już od dwóch dni. Jutro wyjeżdżam. Zaklął w myślach.

- Do Sajgonu - dodała.

- Do Sajgonu? Jadę tam za dwa dni. Co za zbieg okoliczności -

rzeki zdumiony.

- Naprawdę?

Spojrzała na leżącą na siedzeniu teczkę z napisem Laboratorium Identyfikacyjne Armii Stanów Zjednoczonych.

alous

- Sprawy państwowe? Skinął głową.

- A pani?

- Sprawy rodzinne.

- W porządku - odparł, zastanawiając się, co to za przeklęte sprawy. - Była pani kiedyś w Sajgonie?

scand

- Raz. Ale miałam wtedy dziesięć lat.

- Tata był w wojsku?

- Coś w tym rodzaju. - Jej wzrok był ciągle utkwiony w jakimś odległym punkcie. - Niewiele pamiętam miasto. Kurz, upał i samochody. Jeden wielki korek. I piękne kobiety...

- Wiele się od tego czasu zmieniło. Większość samochodów zniknęła.

21

- A piękne kobiety? Roześmiał się.

- Tych nadal jest pełno. I upału oraz kurzu. Ale cała reszta się zmieniła.

Zamilkł na chwilę, a potem, jakby po zastanowieniu, dodał:

- Może mógłbym panią oprowadzić?

Zawahała się, wyraźnie zainteresowana propozycją. No, dalej, zgódź się, pomyślał. Zobaczył w lusterku wstecznym, jak Puapong uśmiecha się i mruga porozumiewawczo.

Miał nadzieję, że dziewczyna tego nie widzi. Ale Willy oczywiście zauważyła miny Puaponga i pomyślała ze znużeniem: zaczyna się. Teraz zapyta, czy poszłabym na kolację, ja odmówię, on zaproponuje drinka, ja się złamię i powiem „tak”, bo to taki cholernie przystojny facet...

alous

- Proszę posłuchać, przypadkowo mam wolny wieczór. Czy nie chciałaby pani zjeść ze mną kolacji?

- Nie mogę - odrzekła, zastanawiając się, kto wymyślił ten wyświechtany scenariusz i jak się można od niego uwolnić.

- To może pójdziemy na drinka? Uśmiechnął się lekko, a ona scanda

poczuła, że zawisła nad przepaścią. Całe wariactwo polega na tym, że właściwie to on wcale nie jest przystojny. Nos ma krzywy, jak gdyby dał go sobie złamać, a potem nie zadał sobie trudu, by dać go wyprostować. Włosy potrzebują fryzjera, a przynajmniej grzebienia.

Przypuszczała, że ma około czterdziestu lat, ale wskazywały na to tylko zmarszczki mimiczne wokół oczu. Od śmiechu. Widywała już przystojniejszych.

22

Oferowali więcej niż spocone uściski na jedną noc w obcym hotelu.

Ale dlaczego ten facet tak na nią działa?

- To tylko drink - spróbował jeszcze raz.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Nie, dziękuję. Ku jej uldze nie nalegał. Kiwnął głową i popatrzył w

okno, po czym zaczął bębnić palcami w teczkę. Ten bezmyślny rytm ją denerwował. Próbowwała go zignorować, ale bezskutecznie.

Kiedy zatrzymali się przed hotelem Oriental, omal nie wyskoczyła z samochodu.

- Dziękuję za podwiezienie - powiedziała, zatrzasnąwszy drzwi.

- Proszę zaczekać! - zawołał przez okno. - Nie wiem, jak się pani nazywa!

alous

- Willy.

- Ma pani jakieś nazwisko?

Wbiegła na schody i zawołała przez ramię:

- Maitland.

- Do zobaczenia, Willy Maitland! - zawołał. Niekoniecznie, scand

pomyślała. Ale kiedy dotarła do holu, nie mogła się powstrzymać, by się nie odwrócić i spojrzeć na samochód, który właśnie zniknął za rogiem. Wtedy zdała sobie sprawę, że nie zna nawet jego imienia.

Guy siedział na łóżku w hotelu Liberty i zastanawiał się, co go podkusiło, by zatrzymać się w takiej ruderze. Może nostalgia. I niskie ceny. Zatrzymywał się tu podczas podróży do Bangkoku od czasów wojny i aż do teraz nie widział powodu, aby coś zmieniać. Na pewno 23

to miejsce niesie ze sobą wiele wspomnień. Nigdy nie zapomni tych gorących, pełnych napiętności nocy roku 1973. Był wtedy dwudziestoletnim szeregowcem na urlopie, a ona trzydziestoletnią pielęgniarką. Darlene. Kiedy ją ostatnio widział, miała troje dzieci, dwadzieścia kilo nadwagi i paliła jednego papierosa za drugim.

Szkoda. Zeszła na psy, tak jak ten hotel.

Może ze mną dzieje się to samo, pomyślał ze znużeniem, wyglądając przez brudne okno na ulicę. Kiedyś kochał Bangkok, leniwe wędrówki po bazarach, gdzie kolory były tak jaskrawe, że bolały oczy; gdzie muzyka i dziewczyny nigdy nie dawały za wygraną. Nic go wtedy nie wzruszało - ani hałas, ani skwar, ani smród.

Nawet kule. Czuł się nietykalny i nieśmiertelny. To zawsze ktoś alous

inny złapał kulkę, innego faceta transportowano do domu w skrzyni.

Bo gdybyś myślał zbyt długo o swojej śmiertelności, stałbyś się marnym żołnierzem.

W końcu stał się marnym żołnierzem. Do tej pory dziwił się, że przeżył. Nigdy tego nie zrozumie:

prostego faktu, że wrócił żywy.

scand

Szczególnie kiedy myślał o tych wszystkich ludziach w samolocie transportowym z Da Nang. Zaczarowany ptak miał ich ocalić od tego szaleństwa.

Jeszcze miał blizny po katastrofie. Ciągłe nosi w sobie śmiertelny strach przed lataniem.

24

Starał się nie myśleć o locie do Sajgonu. Podróże samolotami były, niestety, częścią jego pracy i ta miała być kolejna. Nie mógł jej uniknąć.

Otworzył teczkę, wyjął stos skoroszytów i rozłożył je na łóżku.

Pierwszy, który otworzył, był jednym z kilkudziesięciu, jakie przywiózł z Honolulu. Każdy zawierał nazwisko, stopień wojskowy, numer identyfikacyjny, zdjęcie i szczegółowy opis - możliwie najdokładniejszy - okoliczności zaginięcia. Ten dotyczył pilota, komandora porucznika Eugene'a Stoddarda, którego ostatnio widziano, jak katapultował się z uszkodzonego bombowca sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Hanoi. Dołączono także kartę zabiegów dentystycznych i starą kliszę rentgenowską obrazującą złamanie ręki z czasów, kiedy zaginiony był jeszcze nastolatkiem.

alous

Pominięto sprawy, które nie były zasadnicze: żonę, dzieci, wątpliwości. Zawsze były wątpliwości, gdy żołnierz zaginął podczas akcji.

Guy przerzucił kartki, zapamiętał kilka szczegółów i sięgnął po następny skoroszyt. Były to przypadki, które najlepiej pasowały do scand

najnowsze zbioru szczątków przekazanych przez rząd wietnamski.

Zadanie Guya polegało na potwierdzeniu, że nie są to szkielety Wietnamczyków i połączeniu ich z odpowiednim nazwiskiem, stopniem i numerem. Nie była to zbyt przyjemna praca, lecz należało ją wykonać.

Odłożył drugi zestaw dokumentów i sięgnął po następny. Nie zawierał fotografii; włożył te papiery do teczki w ostatniej chwili. Na 25

okładce widniała pieczęć „Tajne”, zmieniona później na

„Odtajnione”. Zmarszczył czoło i otworzył skoroszyt.

Kryptonim: Braciszek Tuck

Status: Otwarty (stan na październik 1985) Akta zawierają:

1. *Zeznania świadków*

2. *Możliwe tożsamości*

3. *Badanie statusu*

Braciszek Tuck. Legenda znana każdemu żołnierzowi, który walczył w Wietnamie. W czasie wojny Guy przypuszczał, że opowieści o amerykańskim pilocie latającym dla wroga to zwykła fantazja.

Ale kilka tygodni temu przekonał się, że jest inaczej.

alous

Siedział w Laboratorium U.S. Army, kiedy w jego biurze pojawiło się dwóch mężczyzn reprezentujących organizację nazywaną Grupą Ariel.

- Mamy propozycję - powiedzieli. - Wiemy, że niedługo jedzie pan do Wietnamu, i chcielibyśmy, żeby poszukał pan przestępcy scand

wojennego.

Miał nim być Braciszek Tuck.

- Chyba żartujecie - roześmiał się Guy. - Nie jestem żandarmem wojskowym. I nie ma takiego człowieka. To bajeczka.

W odpowiedzi wręczyli mu czek na dwadzieścia tysięcy dolarów. Na wydatki, powiedzieli. Będzie więcej, jeżeli odda zdrajcę w ręce sprawiedliwości.

26

- A jeśli nie wezmę tej roboty? - zapytał.

- To propozycja nie do odrzucenia - usłyszał. Powiedzieli mu dokładnie, co o nim wiedzą, o jego przeszłości, o tym, co zrobił

podczas wojny. Była to straszliwa tajemnica, która mogła go zniszczyć. Tajemnica, którą ukrywał za murem strachu i obrzydzenia do samego siebie. Powiedzieli mu dokładnie, czego mógłby oczekiwać, gdyby wyszła na jaw. Proces. Cella więzienna.

Zapędzili go do rogu. Wziął czek i czekał na następny kontakt.

Dzień przed wyjazdem z Honolulu specjalną przesyłką z Waszyngtonu dostał akta. Nie zaglądając do środka, wrzucił je do teczki.

Teraz czytał je po raz pierwszy, zatrzymując się na liście możliwych tożsamości. Kilka nazwisk rozpoznał ze swojego stosu alous

papierów dotyczących zaginionych podczas akcji i uderzyła go niesprawiedliwość tego spisu.

Ci ludzie najprawdopodobniej nie żyją. Żeby ich jeszcze napiętnować jako zdrajców! To obraza dla ich pamięci.

Czytał po kolei nazwiska pilotów podejrzanych o zdradę i nie scand

będących w stanie się obronić.

W połowie listy zatrzymał się, koncentrując na jednym z nich.

„*William T. Maitland, pilot, Air America*”. *Obok widniała gwiazdka, a pod spodem odnośnik: „Patrz Akta M-70-4163, Wywiad Wojskowy (Tajne)”*.

William T. Maitland, pomyślał. Gdzieś słyszał to nazwisko.

Maitland, Maitland.

27

Wtedy przypomniał sobie kobietę z willi Kistnera, tę drobną blondynkę o zgrabnych nogach. Sprawy rodzinne, powiedziała.

Dlatego rozmawiała z generałem Kistnerem, człowiekiem, którego koneksje z Wywiadem są nie do podważenia.

Do zobaczenia, Willy.

To zbyt wielki zbieg okoliczności. A jednak...

Wrócił do pierwszej strony i ponownie przeczytał od początku do końca to, co dotyczyło Braciszka Tucka. Potem wstał z łóżka i zaczął przemierzać pokój. Jakie ma możliwości? Żadna z nich go nie pociągała.

Nie lubił wykorzystywać ludzi, ale stawka była niebotycznie wysoka. I bardzo osobista. Ilu ludzi ma swoje małe tajemnice z czasów wojny? Tajemnice, o których nie mogą mówić? Tajemnice, alous które mogą ich zniszczyć?

Zamknął akta. Informacja w nich zawarta jest niewystarczająca; potrzebuje pomocy tej kobiety.

Czy mam tyle zimnej krwi, by ją wykorzystać? A czy mogę sobie pozwolić na to, by jej nie wykorzystać? - podszeptał głos scand

konieczności. To była paskudna decyzja, lecz nie miał wyboru.

Była piąta po południu i Bong Bong Club jeszcze się nie rozkręcił. Na scenie wiły się jak węże trzy

kobiety o świecących od olejku ciałach. Stary głośnik stereo ryczał muzyką o prymitywnym rytmie. Siedząc przy swoim ulubionym stoliku w rogu, Siang obserwował mężczyzn sączących drinki i kelnerki wyczekujące napiwków. A także dziewczynę na scenie. Była niezwykła.

28

Rozłożyste biodra, pełne uda, różowy drapieżny język. Miała to trudne do nazwania „coś”. Musi potem zapytać o numer siedem przyczepiony do jej stringów.

- Dzień dobry, panie Siang.

Siang podniósł wzrok na człowieka stojącego w cieniu. Nawet teraz, po dwudziestu latach od pierwszego spotkania, jego postura sprawiała wrażenie. Siang czuł się jak dziecko w obecności tego giganta.

Mężczyzna zamówił piwo i usiadł przy stoliku. Przez chwilę patrzył na scenę.

- Nowy układ? - zapytał.

- Ta w środku jest nowa.

- Ach tak. Bardzo ładna. Twój typ, prawda?

alous

- Tego się dopiero dowiem.

Siang, nie odrywając oczu od estrady, upił łyk whisky.

- Mówiłeś, że masz dla mnie robotę - dodał.

- To drobna sprawa.

- Mam nadzieję, że nie oznacza to drobnego wynagrodzenia.

scand

- Nie, nie. Przecież zawsze jestem hojny, prawda? Mężczyzna zaśmiał się cicho.

- Nazwisko?

- Kobieta. - Rzucił na stół zdjęcie. - Nazywa się Willy Maitland.

Trzydzieści dwa lata. Wzrost średni, krótko obcięte włosy, ciemny blond, szare oczy. Zatrzymała się w Orientale.

- Amerykanka?

- Tak.

- To niezwykle zadanie - powiedział Siang po chwili.

- Dość... pilne.

O! Cena idzie w górę, pomyślał Siang.

- Dlaczego?

- Jutro rano wyjeżdża do Sajgonu. Masz tylko noc. Siang kiwnął

głową i znów zerknął na scenę.

Ucieszył się, że dziewczyna w środku, numer siedem, patrzy prosto na niego.

- Jest dosyć czasu - odrzekł.

Willy Maitland stała na brzegu rzeki i wpatrywała się w wodę.

Guy spostrzegł z tarasu jej drobną figurkę z rozwianymi włosami. Pochylone ramiona i zamyślony wzrok świadczyły, że chcealous

być sama. Wstąpił wcześniej do baru na piwo - oranjeboom, dobre duńskie piwo, którego nie pił już wiele lat. Stał przez chwilę, obserwując ją i rozkoszując się chłodem butelki.

Nie poruszyła się. Ciągle patrzyła jak zahipnotyzowana w dół

rzeki, jakby w błotnistej głębi coś zobaczyła. Ruszył w jej kierunku, scand

podziwiając czerwone i złote refleksy słońca w jej włosach.

- Piękny widok - zauważył.

Spojrzała na niego obojętnie i odwróciła się.

- Pomyślałem, że sprawdzę, co u pani. Może zmieniła pani zdanie co do tego drinka.

Patrzyła uparcie w wodę.

- Wiem, jak to jest w obcym mieście. Nie ma z kim dzielić frustracji. Może się pani czuć trochę...

- Niech mi pan da spokój - powiedziała i odeszła. Wychodzę z wprawy, pomyślał i ruszył za nią.

Demonstracyjnie go ignorując, maszerowała wzdłuż tarasu, zbyt energicznie, by miało to jakiś wdzięk.

- Chyba powinniśmy zjeść kolację i trochę porozmawiać.

Starał się dotrzymać jej kroku.

- O czym?

- Moglibyśmy zacząć od pogody. Potem o polityce. Mojej rodzinie, pani rodzinie.

- Pewnie miałyby to do czegoś prowadzić.

- Tak.

alous

- Niech zgadnę. Do zaproszenia do pańskiego pokoju?

- Myśli pani, że to właśnie próbuję zrobić? Poderwać panią? -

zapytał urażonym tonem.

- A nie?

Potem odwróciła się i znowu odeszła.

scand

Tym razem nie poszedł za nią. Nie widział sensu. Popijał piwo i przyglądał się, jak szła po schodach na taras restauracyjny. Usiadła tam przy stoliku i schowała się za kartą. Było za późno na herbatę, a za wcześnie na kolację. Poza tuzinem hałaśliwych Włochów siedzących niedaleko, taras był pusty. Pokręcił się jeszcze chwilę, by skończyć piwo i zastanowić się nad następnym krokiem. Ta kobieta
31

jest twardym orzechem do zgryzienia, jak na osóbkę sięgającą mu ledwie do ramienia. Myszka z zębami.

Trzeba wypić drugie piwo. I opracować nową strategię.

Skierował się z powrotem do baru. Przechodząc przez taras, nie mógł się powstrzymać, by się nie obejrzeć. Mało brakowało, a by się zderzył z dobrze ubranym Tajem nadchodzącym z naprzeciwka.

Guy wymamrotał zwyczajowe przeprosiny, lecz mężczyzna nie odpowiedział i szedł dalej, utkwivszy wzrok przed siebie. Guy postąpił dwa kroki do przodu, i nagle włączył mu się wewnętrzny alarm. Czysty instynkt, żołnierskie przeczucie. Oczy. Oczy tego człowieka.

Widział już kiedyś ten martwy spokój na twarzy Wietnamczyka, jak wychodził z popularnego nocnego klubu w Da Nang. Mimo alous

upływu lat pamiętał chłód, jaki go ogarnął, kiedy spojrzał mu w oczy.

Dwie minuty później, gdy Guy stał na ulicy, czekając na kolegów, bomba rozdarła budynek na strzępy. Zginęło siedemnastu Amerykanów.

Z uczuciem narastającego zagrożenia obserwował, jak Taj scand

zatrzymuje się i bada otoczenie.

Chyba znalazł to, czego szukał, i skierował się w stronę tarasu.

Zajęte były tylko dwa stoliki. Włosi i Willy. Na skraju tarasu Taj przystanął i sięgnął do marynarki.

Guy odruchowo ruszył w jego stronę. Zanim jego oczy zarejestrowały niebezpieczeństwo, ciało już zareagowało. W

czerwonych promieniach zachodzącego słońca błysnął jakiś 32

przedmiot. Dopiero wtedy Guy zrozumiał, o czym wcześniej ostrzegł

go instynkt.

- Uważaj, Willy!

Potem rzucił się na zabójcę.

alous

scand

33

ROZDZIAŁ DRUGI

Słyszając krzyk, Willy opuściła kartę dań i odwróciła głowę. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że znany jej zwariowany Amerykanin przewraca w biegu krzesła, odtrąca kelnera i rzuca się na elegancko ubranego Taja.

Co ten idiota robi? W tej samej chwili usłyszała, że coś z sykiem przecięło powietrze i poczuła nieoczekiwany ból w ręce. Poderwała się z krzesła, bo obaj mężczyźni tarzali się na podłodze u jej stóp.

Siedzący przy sąsiednim stoliku Włosi też zerwali się na nogi i wymachując rękami, zaczęli się przekrzykiwać.

Mężczyźni na podłodze walczyli, wywracając stoliki. Spadające alous

z nich cukierniczki tłukły się o posadzkę. Willy stała oszołomiona. Co się dzieje? Dlaczego ten kretyn bije się z tajskim biznesmenem?

Teraz obaj zerwali się na nogi. Taj wysoko uniósł nogę i z rozmachem kopnął Amerykanina w brzuch. Ten zgiął się w pół i z jękiem wylądował na plecach przy ścianie.

scand

Taj zniknął.

Włosi byli już na skraju hysterii. Willy przedarła się przez powywracane krzesła i rozbitą porcelanę, po czym uklękła przy Amerykaninie. Na jego policzku pojawił się siniak wielkości piłki golfowej. Z przeciętej wargi lała się krew.

- Nic ci nie jest? - zapytała głośno. Dotknął policzka i się skrzywił.

- Bywało gorzej.

34

Willy rozejrzała się wokół.

- Popatrz na ten bałagan! Co ty robisz? - zawołała, kiedy nagle chwycił ją za ramię. - Zabierz ręce!

- Jesteś ranna!

- Co?

Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła na rękawie czerwoną plamę. Kamienna posadzka tarasu też była poplamiona krwią.

Jej reakcja była natychmiastowa i instynktowna. Zachwiała się i usiadła na podłodze, tuż obok Guya. Poczwała, że ktoś lekko popycha jej głowę w kierunku kolan i usłyszała odgłos rozdieranego materiału. Czyjeś ręce delikatnie dotykały jej ramienia.

- Spokojnie, nic się nie stało. Wystarczy kilka szwów. Oddychaj powoli.

alous

- Zabierz swoje łapy - wymamrotała.

Jednak w momencie, kiedy podniosła głowę, taras zaczął

pływać. Wokół zapanował chaos. Przerażeni kelnerzy stali z rozdziawionymi ustami. Amerykanin wyglądał na zmartwionego.

Popatrzyła mu w oczy. Choć była oszołomiona, zauważyła, że są scand

ciepłe i szczere.

Wkrótce na tarasie pojawił się dyrektor hotelu, zniewieściały Anglik w nieskazitelnym garniturze. Kręcił z dezaprobatą głową i rozglądając się, oceniał straty.

- To niedopuszczalne. Nie możemy tolerować takiego zachowania. Nie na tym tarasie. Czy pan jest naszym gościem? Nie?

Zadzwońcie na policję - zwrócił się do kelnera. - Niech go aresztują.

35

- Czy wy wszyscy jesteście ślepi?! - wrzasnął Guy. - Nie zauważyliście, że on chciał ją zabić?

- Co? Kto?

Guy pogrzebał w kawałkach rozbitej porcelany i znalazł nóż.

- To nie są wasze sztuczki - powiedział, podnosząc groźnie wyglądającą broń. Nóż miał hebanową rękojeść inkrustowaną macicą perłową, a ostry był jak brzytwa. - Ten nóż jest przeznaczony do rzucania - dodał.

- Co za bzdury! - prychnął Anglik.

- Niech pan spojrzy na jej ramię!

Dyrektor zwrócił się w stronę Willy i popatrzył na jej nasiąknięty krwią rękaw. Przerażony, cofnął się o krok.

- Dobry Boże. Wezwę... wezwę lekarza.

alous

- Nie trzeba - odrzekł Guy, pociągając za sobą Willy. - Będzie szybciej, jeżeli zawiozę ją prosto do szpitala.

Już nie protestowała, gdy Guy brał ją na ręce. Gdy ją niósł przez taras, widziała twarze szokowanych kelnerów i gości hotelowych.

- To żenujące. Nic mi nie jest. Zostaw mnie.

scand

- Zemdlejesz.

- Nigdy w życiu nie zemdlałam!

- To nie jest dobry moment, żeby teraz zacząć. Wsadził ją do taksówki, gdzie na tylnym siedzeniu skuliła się jak zranione zwierzę.

Lekarz z izby przyjęć nie był zwolennikiem znieczuleń, Willy nie popierała uzalania się nad sobą. Kiedy zakrzywiona igła wbijała się raz po raz w jej ramię, zaciskała zęby i żałowała, że zwariowany
36

Amerykanin nie trzyma jej za rękę. Trzeba było nie odgrywać twardzielki i nie odsyłać go do poczekalni. Jednak mimo że z bólu połykała łzy, nie przyznawała się nawet przed samą sobą, że bardzo by chciała, aby jakiś mężczyzna trzymał ją za rękę. Byłoby miło.

Byłoby cudownie.

Ciągle jednak nie знаła jego imienia.

Lekarz, którego podejrzewała o ukryte skłonności sadystyczne, założył ostatni szew i zawiązał jedwabną nić.

- Widzi pani? Nie było tak źle - zakomunikował radośnie.

Zaprzęgnęła strzelić go w policzek i powiedzieć: Widzi pan?

Teraz też nie było tak źle.

Położył na szew gazę i przykleił ją plastrem, a potem dał jej żartobliwego klapsa - oczywiście w ranę - i odesłał do poczekalni.

alous

Amerykanin nadal kręcił się przy recepcji. Jego siniaki i skaleczenia sprawiały, że wyglądał jak włóczęga, który wtargnął tu z ulicy. Ale spojrzenie, jakie jej posiał, było ciepłe i pełne troski.

- Jak ręka? - zapytał. Ostrożnie dotknęła ramienia.

- Czy w tym kraju nie wierzą w nowokainę?

scand

- To dla mięczaków. Nie dla takich jak ty.

Na dworze było jak w piecu. Taksówki znikły, więc wsiedli do motorowej rikszy prowadzonej przez bezzębego Taja.

- Nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz - zapytała, przekrzykując warkot silniczka.

- Nie sądziłem, że cię to interesuje.

- Mam paść na kolana i błagać, żebyś się przedstawił?

37

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Guy Barnard. A Willy to zdrobnienie od...?

- Wilhelmina. To jest najbliższy żeński odpowiednik Williama Maitlanda Juniora.

Nie skomentował tego, ale zauważyła w jego oczach dziwny błysk i zainteresowanie.

- Maitland-powiedział obojętnie.- Chyba pamiętam to nazwisko z czasów wojny. Był taki pilot, Dzikie Bill Maitland. Latał dla Air America. To rodzina?

- To mój ojciec.

- Żartujesz! Jesteś córką Dzikiego Billa?

- Słyszałeś, co o nim opowiadali?

- A kto nie słyszał? Był żywą legendą. Razem z Burzą alous

Magoonem.

- Dla mnie też był tylko legendą - mruknęła. Zastanawiała się, czy Guy wychwycił gorycz w jej głosie. Jeżeli tak, to tego nie okazał.

- Nie znałem twojego ojca osobiście, ale raz go widziałem na lotnisku w Da Nang. Należałem do personelu naziemnego.

scand

- Air America?

- Nie, Army Air Cav. Byłem szeregowcem. To najniższa forma życia na ziemi.

- No to wysoko zaszedłeś.

- O tak! - Zaśmiał się. - Twój ojciec przyprowadził samolot, C-46, zero paliwa, podwozie podziurawione. Wylądował jak na stole.

Potem wysiadł i obejrzał dziury po kulach. Inny pilot ukląkłby i 38

całował ziemię. Ale twój stary tylko wzruszył ramionami, położył się pod drzewkiem i uciał sobie drzemkę. To był gość.

- Wszyscy mi to mówią.

Willy odgarnęła włosy z czoła. Niech już przestanie mówić o jej ojcu! Zawsze tak było, odkąd pamiętała. Kiedy była dzieckiem w Vientiane, na każdym przyjęciu piloci nieodmiennie opowiadali anegdoty o Dzikim Billu. Miała ochotę krzyknąć, kiedy wznosili toasty za jego zimną krew, odwagę, zwariowane poczucie humoru.

Wszystkie te historyjki podkreślały tylko, jak mało ważne w jego życiu były ona i jej matka.

Może dlatego Guy Barnard zaczynał ją denerwować. Ale nie tylko tym, że mówił o jej ojcu. W jakiś bliżej nieokreślony sposób Guy jej ojca przypominał!

alous

Riksza uderzyła nagle o kamień i Willy niechcący oparła się o ramię Guya. Przeszył ją ostry ból.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Zaczyna boleć. - Przygryzła wargi, z trudem hamując łzy.

scand

Wziął ją za rękę i przytrzymał.

- Zaraz będziemy na miejscu.

Trwało to jednak znacznie dłużej, niż Guy obiecywał.

- Masz jakieś środki przeciwbólowe? - zapytał, kiedy znaleźli się w jej pokoju hotelowym.

- W łazience jest aspiryna. Zaraz znajdę.

- Usiądź. Ja przyniosę.

39

Poszedł do łazienki i wrócił ze szklanką wody i buteleczką z aspiryną. Miała świadomość, że Guy ją obserwuje, niemniej jego bliskość dodawała jej pewności siebie.

Pogrzebał w lodówce i wyciągnął miniaturową buteleczkę whisky, odkręcił ją i jej podał.

- Znieczulenie w płynie. Stary sposób, ale skuteczny.

- Nie lubię whisky.

- I nie musisz. Lekarstwo nie musi być smaczne, z definicji.

Przełknęła łyk i poczuła palenie w gardle.

- Dziękuję. Wystarczy.

Guy zaczął krążyć po pokoju, przyglądając się wygodnym meblom i widokowi z okna. Rozsuwane szklane drzwi wychodziły na balkon. Od strony rzeki Chaophya dochodził warkot motorówek.

alous

Guy podszedł do stolika nocnego, wziął owoc rambutanu z kosza i zdjął kłującą skórkę.

- No, no, no, elegancko tu. Ładniej niż w mojej norze. A tak przy okazji, to czym się zajmujesz?

Wypiła następny łyk whisky i zakaszła.

scand

- Jestem pilotem.

- Tak jak twój stary?

- Niezupełnie. Latam, żeby mieć z czego żyć, nie dla dreszczyku. Ale nie zbijesz fortuny na przewożeniu cargo.

- Nie jest tak źle, skoro mogłaś się tu zatrzymać.

- Nie ja płacę.

- A kto? - Podniósł brwi.

40

- Moja matka.

- Jest bardzo hojna.

Zirytowała ją nuta cynizmu w jego głosie. Co mu daje prawo, żeby ją obrażać? Wygląda jak obszarpany wagabunda, zjada jej owoce i napawa się widokiem z jej okna! Włosy ma rozwichrzone odjazdy rikszą, a podbite oko spuchło i ledwie się otwiera. Po co zawracała sobie głowę tym palantem?

On tymczasem patrzył na nią z ciekawością.

- Za co jeszcze mamusia płaci?

- Za własny pogrzeb.

Spojrzała mu prosto w oczy i z satysfakcją zauważyła, jak jego głupi uśmiech znika.

- Jak to? Nie żyje?

alous

- Żyje, ale jest umierająca.

Willy spojrzała przez okno na światła latarni nad rzeką. Przez moment zatańczyły jak świetliki. Otrząsnęła się i przeczesła włosy palcami.

- Co ja tu, do cholery, robię?

scand

- Chyba nie jesteś na wakacjach.

- Masz rację.

- A więc co?

- Szukam wiatru w polu.

Wypiła resztkę whisky i odstawiła buteleczkę.

- To ostatnie życzenie mojej matki. A te trzeba spełniać.

Prawda?

41

- Powiedziałaś wcześniej, że jesteś tu w sprawach rodzinnych.

Czy to ma jakiś związek z twoim ojcem?

Potaknęła kiwnięciem głowy.

- I dlatego widziałaś się dziś z Kistnerem?

- Miałyśmy nadzieję, a przynajmniej ja ją miałam, że powie nam, co stało się z ojcem.

- Kistner? On nie zajmuje się katastrofami lotniczymi.

- Ale wywiadem wojskowym tak. W 1970 Kistner stacjonował

w Laosie. To on zlecił ojcu ostatni lot, a po zniknięciu samolotu kierował poszukiwaniami.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego?

- Tylko tego, czego oczekiwałam. Że po dwudziestu latach to nie ma sensu. Ojciec nie żyje. Nie odnaleziono jego szczątków.

- Nie jest łatwo coś takiego usłyszeć. Cała podróż na nic.

- To będzie trudne dla matki.

- A dla ciebie?

- Nie bardzo.

Wstała i wyszła na balkon.

- Bo widzisz, mój ojciec nic mnie nie obchodzi. Powietrze było ciężkie od zapachów dochodzących z rzeki. Willy wiedziała, że Guy ją obserwuje; czuła jego spojrzenie na plecach, wyobrażała sobie jego zszokowaną minę. Ale taka jest prawda.

Wyczuła, bardziej niż usłyszała, że stanął obok niej i oparł się o balustradę. Jego twarz pozostała w cieniu.

42

- Nie wiesz, jak to jest być córką legendy. Przez całe życie opowiadano mi, jakim to był bohaterem. Pewnie uwielbiał pławić się w chwale.

- Wielu facetów to uwielbia.

- A wiele kobiet z tego powodu cierpi.

- Tak jak twoja matka?

- Moja matka... - Potrząsnęła głową i roześmiała się. - Opowiem ci o niej. Śpiewała w najlepszych nocnych klubach Nowego Jorku.

Przeglądałam jej album z wycinkami i w jednej z recenzji znalazłam zdanie: „Jej głos przedzie pajęczynę magii, która usidli każdą publiczność”. Miała dobre perspektywy, ale wyszła za mąż. Z

gwiazdy stała się dodatkiem do życia jakiegoś mężczyzny. Przez kilka lat mieszkaliśmy w Vientiane. Pamiętam, jaka była dzielna. Bardzo alous

chciała wrócić do kraju, a tymczasem spędzała czas na wyszukiwaniu czegoś normalnego do jedzenia, podczas gdy ojciec wiodł żywot bohatera. To ona mnie wychowała. Ale tak już jest na tym świecie, prawda?

Milczał, a ona znów skierowała wzrok na rzekę.

scand

- Kiedy kontrakt ojca z Air America się skończył, zamieszkaliśmy na krótko w San Francisco. Pracował dla lokalnej linii lotniczej. Cieszyliśmy się, że żyjemy w mieście bez moździerzy i

granatów .Brakowało mu chyba adrenaliny. I chwały. Więc tu wrócił.

- Rozwiedli się?

- Nigdy o to nie prosił. Zresztą mama nie zgodziłaby się na rozwód. Ona go kochała. Ciągle go kocha.

- Głos Willy zadrzał.

43

- Wrócił do Laosu sam?

- Podpisał kontrakt na kolejne dwa lata. Chyba wolał

towarzystwo uzależnionych od niebezpieczeństwa. Wszyscy byli tacy, ci piloci z AA. Ochotnicy, nie z poboru, śmiali się śmierci w twarz.

Myślę, że tylko latanie dawało im kopa, czuli wtedy, że żyją. Ojciec musiał być na kosmicznym haju, kiedy umierał.

- I dlatego tu teraz przyjechałaś. Po dwudziestu latach.

- Racja. Dlatego tu przyjechałam.

- Znaleźć faceta, który nic cię nie obchodzi. Dlaczego?

- To nie ja zadaję pytania. To moja matka. Nigdy nie chciała zbyt wiele. Ani ode mnie, ani od nikogo. Ale chce się czegoś dowiedzieć.

- Ostatnie życzenie. Willy kiwnęła głową.

alous

- To jedyna pozytywna rzecz związana z chorobą nowotworową.

Masz czas na załatwienie zaległych spraw. A mój ojciec to właśnie taka cholerna niezłatwiona sprawa.

- Kistner ci powiedział, że ojciec nie żyje. Czy to nie kończy sprawy?

scand

- Niestety, wcześniej usłyszałam wiele kłamstw.

- Kto cię okłamywał?

- A kto nie? - Zaśmiała się. - Wierz mi, odrobiłyśmy zadanie domowe. Rozmawialiśmy z Dwustronną Komisją do Spraw Wypadków Lotniczych, Wywiadem, CIA. Wszyscy nam radzili, żebyśmy to zostawiły.

- Może mają rację.

44

- Może mają coś do ukrycia.

- To znaczy?

- Że ojciec przeżył katastrofę.

- Masz jakiś dowód?

Przyglądała mu się przez chwilę, zastanawiając się, ile mu powiedzieć. Dlaczego już tyle mu wyznała. Nie wiedziała o nim nic poza tym, że ma szybki refleks i poczucie humoru. Że ma brązowe oczy i sympatyczny uśmiech. I że na swój luzacki sposób jest najatrakcyjniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek poznała.

Ta ostatnia myśl spadła na nią niczym grom z jasnego nieba. On naprawdę jest atrakcyjny. Może to wynika z jego pewności siebie albo sposobu bycia. Albo to sprawka tej cholernej whisky. Niemniej czuła w sobie ciepło, a kolana stawały się coraz bardziej miękkie.

alous

Schwyciła się mocniej balustrady.

- Były aluzje, że pewne sprawy przed nami ukrywano.

- Coś konkretnego?

- Czy naoczny świadek to coś konkretnego?

- Zależy. scand

- To był laotański chłop.

- Widział twojego ojca?

- Nie. I o to chodzi: nie widział.

- Nie rozumiem.

- Kiedy samolot się rozbił, koledzy ojca wydrukowali ulotki i ogłosili, że jest nagroda, dwa kilogramy złota, za informacje dotyczące wypadku. Rozrzucili je wzdłuż granicy i na całym 45

terytorium Pathet Lao. Kilka tygodni później zgłosił się po nagrodę chłop, który znalazł w dżungli wrak samolotu, na samej granicy Wietnamu. Opisał go dokładnie, podał numer na ogonie. Przysiągł, że były tylko dwa ciała, jedno w luku transportowym i jedno w kokpicie.

A załoga samolotu liczyła trzy osoby.

- Co na to komisja badająca sprawę?

- Dowiedzieliśmy się o tym z tajnego raportu z dopiskiem „od przyjaciela”, który ktoś włożył do naszej skrzynki pocztowej. Pewnie któryś z dawnych kolegów ojca z Air America zorientował się, że są próby ukrycia prawdy, i postanowił nas o tym poinformować.

Guy stał cicho, jak kot czający się w ciemnościach. Kiedy przemówił, słysząc było w jego głosie zainteresowanie.

- Co zrobiła wtedy twoja matka? alous

- Oczywiście poszła tym tropem. Nie dała za wygraną. Nękała CIA i Air America. Niczego się nie dowiedziała, ale dostała kilka anonimowych telefonów. Radzono jej, żeby się zamknęła.

- Bo?

- Bo dowie się o ojcu czegoś, czego nie chciałyby wiedzieć.

scand

- Inne kobiety?

To pytanie zawsze Willy wściekało.

- Sugerowali... sugerowali, że pracował dla drugiej strony. Że był zdrajcą.

Nastąpiła chwila ciszy.

- A ty w to nie wierzysz. Uniosła wysoko głowę.

46

- Cholerny świat, oczywiście, że nie wierzę! Po prostu chcieli nas zniechęcić. To nie jedyny numer, jaki próbowali wyciąć. Kiedy próbowaliśmy dociec prawdy, wstrzymywali wypłacanie zaległej pensji ojca, a w grę wchodziły dziesiątki tysięcy dolarów. W każdym razie robiliśmy wszystko, żeby się czegoś dowiedzieć. Potem wojna się skończyła i myślałyśmy, że coś się wyjaśni. Wracali jeńcy wojenni.

Matce było trudno oglądać w telewizji łączące się rodziny i słuchać, jak Nixon peroruje o naszych powracających do domu dzielnych chłopcach. Bo ojciec nie wracał. Ale zdziwiła nas wiadomość, że wrócił jeden z członków załogi samolotu ojca.

- A więc ktoś przeżył?

- Luis Valdez, ustawiacz ładunku. Wyskoczył, kiedy samolot już spadał. Złapano go od razu po

wylądowaniu. Następne pięć lat spędził

alous

obozie jenieckim w Wietnamie Północnym.

- Czy to nie tłumaczy, dlaczego brakowało zwłok? Jeżeli Valdez wyskoczył...

- Słuchaj dalej. Valdez wrócił do Stanów i tego samego dnia do nas zadzwonił. Odebrałam telefon. Czułam, że się boi. Wywiad scand

ostrzegął go, że ma z nikim nie rozmawiać, ale on uważał, że ma wobec ojca dług i że powinien nam przekazać, co się stało.

Powiedział, że na pokładzie był pasażer, Laotańczyk, który już nie żył, kiedy samolot spadał. W kokpicie było ciało chyba drugiego pilota, o nazwisku Kozłowski. A więc i tak brakuje jednej osoby.

- Twojego ojca. Skinęła głową.

47

- Przekazałyśmy tę informację CIA. Zaprzeczyli, że na pokładzie był pasażer. Powiedzieli, że był tylko ładunek z częściami samolotowymi.

- A co powiedzieli w Air America?

- Że nie ma żadnego dowodu na obecność pasażera.

- Miałyście jednak zeznania Valdeza.

- Dzień po tym telefonie miał do nas przyjść, ale się zastrzelił.

Samobójstwo. Przynajmniej tak twierdzi policja.

Z ciszy, która zapanowała na dłuższą chwilę, wywnioskowała, że Guy jest zszokowany.

- Cóż za zbieg okoliczności.

- Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, że matka się boi. Nie o siebie, a o mnie, więc odpuściła. Aż do... - Willy zawahała się.

alous

- Było coś jeszcze?

- Mniej więcej rok po śmierci Valdeza, chyba w 1976, wydarzyło się coś dziwnego. Na koncie bankowym mamy znalazło się piętnaście tysięcy dolarów. W banku powiedziano jej, że wpłaty dokonano w Bangkoku. Rok później znowu, tym razem dziesięć scand

tysięcy.

- I nie dowiedziała się, kto te pieniądze wpłacił?

- Nie. Zastanawiała się, czy to któryś z kolegów ojca, czy może sam ojciec... Kilka miesięcy temu zdiagnozowano u niej raka. I nagle stało się dla niej ważne, żeby odkryć prawdę. Z powodu stanu zdrowia nie mogła sama odbyć tej podróży, więc poprosiła mnie. A ja walę głową w ten sam mur, w który ona waliła dwadzieścia lat temu.

48

- Może nie zwróciłaś się do właściwych ludzi?

- A ci właściwi ludzie to niby kto?

- Mam znajomości. Mógłbym popytać - rzekł półgłosem.

Ich dłonie spotkały się na oparciu balustrady. Willy poczuła na ramieniu przyjemny dreszcz. Odsunęła rękę.

- Jakie znajomości?

- Kolegów z branży.

- A właściwie co to za branża?

- Liczenie ciał. Tabliczki identyfikacyjne. Pracuję dla Wojskowego Laboratorium Identyfikacyjnego.

- Rozumiem. Więc jesteś w wojsku. Roześmiał się i oparł

bokiem o balustradę.

- W żadnym razie. Odszedłem po wojnie wietnamskiej.

alous

Wróciłem do college'u, zrobiłem magisterium z kamieni i kości, to znaczy antropologii fizycznej, ze specjalizacją w Azji Południowo-Wschodniej. Najpierw pracowałem w muzeum, a potem okazało się, że armia lepiej płaci. Jestem cywilem pracującym na zlecenie. Dalej sortuję kości, tyle że mają one nazwiska, stopień wojskowy i numer scand

identyfikacyjny.

- I dlatego jedziesz do Wietnamu? Kiwnął głową.

- Muszę odebrać dwa komplety szczątków w Sajgonie i Hanoi.

Szczałki. Takie rzeczowe słowo w przypadku kogoś, kto kiedyś był człowiekiem.

- Znam kilka osób. Może będę mógł ci pomóc.

- Dlaczego?

49

- Zaciekawiałaś mnie.

- To wszystko? Ciekawość?

Jego następny ruch ją zaskoczył. Guy wyciągnął rękę i odgarnął

na bok jej krótkie, rozwichrzone włosy. Przelotne dotknięcie jego palców rozpaliło ją. Zastygła, nie wiedząc jak zareagować na ten nieoczekiwany, intymny kontakt.

- Może po prostu jestem miły - wyszeptał.

O cholera, zaraz mnie pocałuje, pomyślała. Chyba mnie pocałuje, a ja mu pozwolę. A co się stanie później, to już Bóg jeden wie...

Odsunęła jego dłoń i spanikowana zrobiła krok do tyłu.

- Nie wierzę w miłych facetów.

- Boisz się mężczyzn?

alous

- Nie, ale też im nie dowierzam.

- Mimo to wpuściłaś mnie do pokoju - rzekł z uśmiechem.

- Może już pora cię wypuścić. Podeszła do drzwi i je otworzyła.

- Chyba nie będziesz robił trudności?

- Ja? Nigdy nie robię trudności - odparł i ku jej zdumieniu scand

poszedł za nią.

- Już ci wierzę.

- Poza tym nie mam dziś czasu. Mam ważniejsze sprawy.

- Nie wątpię.

Popatrzył na zamek w drzwiach.

- Widzę, że masz ciężką zasuwę. Zamknij się. I posłuchaj mojej rady: nie wychodź dziś do miasta.

50

- Do licha! Właśnie miałam to zrobić.

- A gdybyś mnie potrzebowała... - uśmiechnął się do niej w progę - to mieszkam w Liberty. Dzwoni o każdej porze.

Zanim zdążyła burknąć: „Nie licz na to”, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

alous

scand

51

ROZDZIAŁ TRZECI

Tobias Wolff odwrócił w stronę starego przyjaciela.

- Na twoim miejscu, Guy, trzymałbym się od tego z daleka.

Minęło pięć lat od czasu, kiedy ostatnio się widzieli.

Toby w dalszym ciągu był muskularny, przynajmniej od pasa w górę. Piętnaście lat w wózku inwalidzkim sprawiło, że ramiona i ręce jeszcze bardziej się uwydatniły. Ale czas zrobił swoje. Toby zbliżał

się do pięćdziesiątki i wyglądał na swój wiek. Rozwichrzone włosy, obcięte na Beethovena, były prawie całkiem siwe. Twarz spuchnięta i spocona w tropikalnym skwarze.

Ale oczy były bystre jak zawsze. alous

- Posłuchaj rady starego człowieka z Firmy - powiedział, podając Guyowi szklanę szkockiej. - Przypadkowe spotkania nie istnieją. Są tylko spotkania zaplanowane.

- Mimo wszystko Willy Maitland może stać się przełomem, na jaki czekaliśmy - zauważył Guy.

scand

- Ona może też sprawić ci kłopoty.

- Co mam do stracenia?

- Życie?

- Daj spokój, Toby! Wierzę, że tylko ty dasz mi jasną odpowiedź.

- To było dawno temu. Nie byłem bezpośrednio powiązany z tym przypadkiem.

52

- Ale byłeś w Vientiane, kiedy to się wydarzyło. Musiałeś zapamiętać coś z akt Maitlanda.

- Tylko to, co usłyszałem w przelocie. Jak na Dzikim Zachodzie: plotek w powietrzu było więcej niż moskitów.

- Ale nie więcej niż twoich tajniaków.

- Cóż, taka praca.

- Pamiętasz, kto zajmował się sprawą Maitlanda?

- Chyba Mike Micklewait. Wiem, że przesłuchiwał wieśniaka, tego, który zgłosił się po nagrodę.

- Uwierzył mu?

- Myślę, że nie. Chłop nigdy tej nagrody nie dostał.

- Dlaczego nie powiedziano o tym rodzinie?

- Maitland nie był jakimś naiwnym poborowym. Pracował dla Alous

Air America. Innymi słowy, CIA. To praca, o której się nie mówi.

Maitland zdawał sobie sprawę z ryzyka.

- Rodzina chyba zasługiwała na to, aby poznać nowe informacje.

- Guy przypomniał sobie, w jak pokrętny sposób wiadomość ta dotarła do Willy i jej matki.

scand

- Przecież wiesz, że panowała ukryta wojna. Miało nas nie być w Laosie. Informowanie rodzin było najmniej ważne.

- Czy były jeszcze jakieś powody wyciszenia tej sprawy? W

związku z pasażerem?

Brwi Toby'ego powędrowały w górę.

- Gdzie usłyszałeś taką plotkę?

53

- Willy Maitland dowiedziała się, że na pokładzie był

Laotańczyk, Wszyscy zaprzeczają jego istnieniu, więc myślę, że musiał to być ktoś ważny. Kto to był?

- Nie mam pojęcia.

Toby podjechał do okna. Z zewnątrz dochodziły dźwięki i zapachy ulic Bangkoku, mięsa grilowanego na ulicznych rusztach, śmiejących się kobiet, przemykających riksza.

- Dużo się wtedy wydarzyło rzeczy, o których nigdy nie mówiliśmy, bo się wstydziliśmy. Z tym wywiadem i kontrwywiadem, generałami i najemnikami nigdy nie było wiadomo, kto właściwie rządzi. Wszyscy pociągali za sznurki, próbując szybko się wzbogacić.

Nie mogłem się doczekać, żeby stamtąd zwać - klepnął wózek ze złością - i wylądowałem tutaj. Wspaniałe odejście na emeryturę.

alous

Zostaw to, Guy. Jeżeli naprawdę ktoś chce stuknąć tę małą Maitland, to ta sprawa śmierdzi.

- Toby, i o to chodzi! Dlaczego ta sprawa śmierdzi? Dlaczego po tylu latach ktoś się denerwuje z powodu córki Maitlanda? Boją się, że coś znajdzie? scand

- Czy ona wie, w co się pakuje?

- Wątpię, ale nic jej nie powstrzyma. Nieodrodna córeczka tatusia.

- A więc będą kłopoty. Jak ją zmusisz do współpracy?

- Tego jeszcze nie wiem.

- Zawsze możesz odegrać Romea.

- Będę pamiętał. - Guy się uśmiechnął.

54

W rzeczywistości była to taktyka, którą brał pod uwagę przez cały wieczór. Nie dlatego, że miał nadzieję, że zadziała, ale dlatego, że Willy jest atrakcyjną kobietą, a on chciał się dowiedzieć, jaka jest naprawdę pod tą fasadą twardej zawodniczki.

- Możesz też powiedzieć jej prawdę - dodał Toby. - Że nie lecisz na nią, tylko na te trzy miliony.

- Dwa miliony.

- Co za różnica, dwa czy trzy. Tak czy tak to kupa forsy.

- Więc przydałaby mi się pomoc - odparł Guy znacząco.

- Okej - westchnął Toby, odwracając wózek w jego kierunku. -

Podam ci nazwisko, jeśli chcesz. Facet pomoże ci albo nie. Znajdź

Alaina Gerarda. To Francuz, mieszka teraz w Sajgonie. Miał ścisły związek z Firmą, wiedział o całym tym głównie w Vientiane.

alous

- Facet z Firmy w Sajgonie? Dlaczego Wietnamczycy go nie wykopali?

- Jest dla nich użyteczny. Podczas wojny zrobił pieniądze na eksporcie, nazwijmy to, surowców farmaceutycznych. Na stare lata zajął się filantropią. Embargo Stanów na handel z Wietnamem odcięło scand

go od rynków zachodnich. Gerard dostarcza sprzętu medycznego z Francji, antybiotyków, klisz rentgenowskich. W zamian za to pozwalają mu tam mieszkać.

- Mogę mu zaufać?

- Pracował dla Firmy.

- No to nie mogę.

- Mnie ufasz - mruknął Toby.

55

- Ty to co innego.

- Tylko dlatego, że jestem ci coś winny, Barnard. Choć często myślę, że powinieneś być mi pozwolić spłonąć w tym samolocie. -

Toby położył ręce na swoich bezużytecznych udach. - Do czego może się przydać pół faceta?

- Nie nogi czynią człowieka, Toby.

- Ba. Powiedz to Wujowi Samowi. Podniósł się wyżej na swoich mocnych rękach.

- Kiedy wyjeżdżasz do Sajgonu, Guy?

- Jutro rano. Przesunąłem lot o kilka dni. Szkoda, że nie mogę popłynąć statkiem.

Ręce zaczęły mu się pocić na samą myśl o samolocie. Wziął

duży łyk uśmierzającej lęki szkockiej. Toby roześmiał się.

alous

- Dalej się boisz latać?

- Jak wszyscy diabli. - Odstawił szklanę i podszedł do drzwi. -

Dzięki za drinka i wskazówkę.

- Zobaczę, co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić - zawołał Toby.

- Mam jeszcze trochę kontaktów. Może ktoś cię popilnuje. I tej scand kobiety. A przy okazji, czy ktoś jej dziś pilnuje?

- Jacyś kolesie Puaponga. Nie dopuszczą do niej nikogo.

Powinna dotrzeć na lotnisko w jednym kawałku.

- A potem?

Guy zatrzymał się w drzwiach.

- Potem będziemy w Sajgonie. Tam jest bezpieczniej.

- W Sajgonie? Nie liczyłbym na to.

56

Tłum w Bong Bong Club szalał, pijani mężczyźni krzyczeli i rzucali się na scenę, na której tańczyły dziewczyny o nieobecnych oczach. Nikt nie zwracał uwagi na dwóch osobników skulonych przy stoliku w ciemnym kącie.

- Panie Siang, rozczarował mnie pan. Jest pan zawodowcem, przynajmniej dotąd tak uważałem. Oczekiwałem, że się pan wywiąże.

A ta kobieta wciąż żyje.

Głęboko dotknięty Siang poczuł, jak twarz mu tężeje. Nie był

przyzwyczajony do porażek ani do krytyki. Cieszył się, że ciemność ukrywa jego płonące policzki. Odstawił szklanę z wódką.

- Nie mogłem przewidzieć, że ktoś się wtrąci...

- Powiedziano mi, że to Amerykanin. Jakiś Barnard.

- Zna pan jego nazwisko? - zdziwił się Siang.

alous

- Staram się wiedzieć wszystko.

Siang dotknął swojej pokiereszowanej twarzy i wzdrygnął się.

Ten cały Barnard ma ciężką rękę. Jeżeli jeszcze się spotkają, zapłaci za upokorzenie.

- Ona wyjeżdża jutro do Sajgonu - rzekł mężczyzna.

scand

- Jutro? To nie mam dużo czasu.

- Ma pan dzisiejszy wieczór.

- Wieczorem? Niemożliwe.

W rzeczywistości Siang przez ostatnie cztery godziny próbował

się do niej zbliżyć, ale recepcjonista w hotelu Oriental pilnował

kluczy niczym cerber, ochroniarz nie ruszał się ze swojego stanowiska obok wind, a chłopak hotelowy przemierzał hol tam i z powrotem.

57

Kobieta była niedosiężna. Przez chwilę Siang rozważał wspięcie się na balkon, ale uniemożliwiało to dwóch włóczęgów koczujących na brzegu rzeki, tuż pod jej oknem. Chociaż wyglądali na wrogo usposobionych, nie stanowili zagrożenia dla kogoś takiego jak Siang, który nie chciał jednak ryzykować.

A teraz jego opinia zawodowa jest narażona na szwank.

- Sprawa robi się pilna. Musi pan to załatwić szybko.

- Skoro wyjeżdża, nie mogę dać gwarancji.

- To proszę to zrobić w Sajgonie. Tu czy tam, musi pan to zrobić.

- W Sajgonie? Nie mogę tam wrócić... - Siang miał zdumioną minę.

- Wyślemy pana jako dyplomatę. Może attache kulturalnego.

alous

Zastanowię się i załatwię odpowiednie dokumenty.

- Wietnamczycy są bardzo skrupulatni. Nie będę mógł wwieźć żadnej...

- Poczta dyplomatyczna wychodzi dwa razy w tygodniu.

Następna jest za trzy dni. Zobaczę, jaką broń będę mógł dołączyć. Do scand

tego momentu musi pan improwizować.

Siang zamilkł, zastanawiając się, jak się poczuje na ulicach Sajgonu. A co z Chantal? Ile lat jej nie widział?

Czy wciąż go nienawidzi za to, że ją zostawił? Na pewno, ona nigdy nie daruje. Będzie musiał jakoś wkraść się znów w jej łaski. To nie będzie trudne. Życie w nowym Wietnamie nie jest teraz łatwe, 58 szczególnie dla kobiety. Chantal ceniła wygodę; za odrobinę luksusu robi wszystko. Nawet sprzeda duszę.

- To będzie kosztowało.

- Pan wie, że potrafię być hojny.

Siang wiedział już, czego będzie potrzebował. Starych ciuchów -

postrzępionych koszul i wytartych spodni - żeby nie wyróżniać się w tłumie. Papierosów, mydła i żyletek - aby płacić za drobne przysługi.

Kilku specjalnych prezentów dla Chantal...

Kiwnął głową na znak zgody.

- Jeszcze jedno - rzekł mężczyzna, wstając.

- Tak?

- Zdaje się, że jeszcze ktoś się tym interesuje. Na przykład Firma. Tego tygrysa za ogon bym nie ciągnął. Proszę ograniczyć alous

rozlew krwi. Tylko kobieta. Nikt więcej.

- Rozumiem.

Kiedy mężczyzna wyszedł, pogrążony w myślach Siang został

przy stoliku. Sajgon. Czy naprawdę minęło już piętnaście lat? Ostatnie wspomnienia to spanikowane twarze, ręce rozpaczliwie czepiające się scand

drzwi helikoptera, ryk silników i kurz spowijający znikające w dole dachy.

Siang pociągnął duży haust wódki i wstał. Spod sceny dobiegły go gwizdy i frenetyczne oklaski. Naga dziewczyna o skórze koloru kawy stała w świetłach z ponad dwumetrowym boa dusicielem

okręconym wokół talii. Zadrżała, kiedy wąż ześliznął się w dół, pomiędzy jej uda. Mężczyźni szaleli.

59

Siang uśmiechnął się. Ach, ten klub. Zawsze coś nowego.

Sajgon

Z ogrodu na dachu hotelu Rex Willy obserwowała falę rowerów przewalającą się przez skrzyżowanie Le Loi i Nguyen Hue. To tylko kwestia czasu, kiedy nastąpi kolizja. Rowerzyści pędzili na łeb na szyję, pogodnie ignorując pojedynczego naiwnego pieszego, nieśmiało próbującego, krok po kroczku, przejść na drugą stronę.

Willy z takim zaangażowaniem mu po cichu kibicowała, że ledwo rejestrowała monotony głos przydzielonego jej przez władze przewodnika.

- Jutro zabierzemy panią samochodem do Pałacu Narodowego, gdzie marionetkowy rząd pławiał się w luksusie, a potem do Muzeum Historycznego. Pozna pani dzieje naszej walki z Chińczykami i alous francuskimi imperialistami. Pojutrze zwiedzi pani fabrykę laki, gdzie będzie mogła pani kupić wiele pięknych prezentów. Potem...

- Panie Ainh - powiedziała Willy, zwracając się do przewodnika

- pański plan wycieczki brzmi fascynująco, ale czy pomyślał pan o moich sprawach?

scand

Ainh zamrugał. Chociaż jego sylwetka przypominała bambusowy pęd, twarz miał jak u cherubinka i w swoich okrągłych okularkach przypominał sówkę.

- Panno Maitland - odrzekł urażonym głosem - załatwiłem prywatny samochód! I dużo dobrego jedzeni a.

- Doceniam to, ale...

- Nie podoba się pani plan naszej wycieczki?

60

- Jeżeli mam być szczerą, nie zależy mi na wycieczce. Chcę się dowiedzieć czegoś o moim ojcu.

- Ale zapłaciła pani za wycieczkę! I będzie ją pani miała.

- Zapłaciłam za wycieczkę, żeby dostać wizę. A skoro już jestem tutaj, muszę porozmawiać z właściwymi ludźmi. Może pan to załatwić?

- To trochę... skomplikowane. Nie wiem... - Pogrążył się w bezradnym milczeniu.

- Kilka miesięcy temu napisałam do waszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie mojego ojca. Nie odpisano mi. Może umówi mnie pan...

- Kiedy pani napisała?

- Pół roku temu.

alous

- Cierpliwości. Nie może pani oczekiwać natychmiastowej reakcji.

- Najwidoczniej.

- Poza tym napisała pani do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a ja nie mam z nimi nic wspólnego. Pracuję dla Ministerstwa scand

Turystyki.

- I nie porozumiewacie się ze sobą?

- Zajmują inny budynek.

- Więc może, jeżeli to nie problem, zabierze mnie pan do ich budynku?

Popatrzył na nią bez wyrazu.

- Ale wtedy kto pojedzie na wycieczkę?

61

- Panie Ainh - odparła przez zaciśnięte zęby -niech pan odwoła tę wycieczkę.

Ainh wyglądał jak ktoś, kogo straszliwie rozboleła głowa. Willy zrobiło się go żal. Wyobrażała sobie to biurokratyczne bagno, w które będzie musiał wstąpić, by spełnić jej żądanie.

Wiedziała już, jak ten system działa, czy raczej jak nie działa.

Tego dnia pokonanie bariery urzędu imigracyjnego na lotnisku Ton Son Nhut zajęło jej trzy godziny. Trzy godziny w palącym słońcu!

Chociaż dopiero przed godziną wzięła prysznic, jej ubranie było już mokre od potu. Opadła na fotel i przyglądała się panoramie Sajgonu, złocącego się teraz w słońcu. Musiało to być kiedyś wspaniałe miasto o zacienionych drzewami bulwarach i ulicznych kafejkach, gdzie można było spędzać całe popołudnia.

alous

Ale po upadku zwariowane, bezczelne bogactwo Sajgonu zostało zastąpione przez pełne rezygnacji ubóstwo. Wszędzie widniały ślady rozkładu, począwszy od odpryskującej farby na francuskich kolonialnych budynkach, a skończywszy na szkieletach domów, których nigdy nie ukończono. Nawet hotel Rex, luksusowy jak na scand

miejskowe standardy, lekko się rozsypywał. Płytki na tarasie popękały, a w stawie trzy apatyczne karpie pływały niczym zwiędłe liście. Woda w basenie na dachu miała niezdrowy odcień zieleni. Na brzegu siedział samotny turysta i machał nogami w mętnej wodzie, jak gdyby zastanawiał się, czy kąpiel w tym basenie nie jest zbyt ryzykowna.

62

Willy pomyślała sobie, że jej sytuacja jest równie mętna.

Wietnamczycy najwidoczniej uważają, że wszystko powinno biec własną drogą, toteż bez pomocy Ainha nie da sobie rady.

I co wtedy? - pomyślała ze znużeniem. Sama nic nie zrobię.

Potrzebuję pomocy. Przewodnika. Potrzebuję...

- A oto dama, która szuka szczęścia. - Willy usłyszała znajomy głos i ujrzała opaloną twarz Guya. Ucieszyła się na widok kogoś znajomego.

Posłał jej uśmiech, który oczarowałby nawet zakonnice.

- Witam w Sajgonie, stolicy straconych złudzeń. Jak leci, dziecko?

- Musisz pytać?

- Nie. Przerabiałem już to wszystko, to znaczy biegałem jak alous

kurczak z obciętą głową i błagałem o pieczątki na każdym skrawku papieru. Ten kraj wyniósł biurokrację do rangi sztuki.

- Przeżyję bez tej pocieszającej gadki, dziękuję.

- Mogę ci postawić piwo?

Zastanowiła się, co kryje się za jego uśmiechem, podejrzewając scand

najgorsze.

Guy zorientował się, że Willy mięknie, i zamówił dwa piwa, a potem opadł na krzesło i przyjaźnie na nią spojrzał.

- Myślałam, że nie dotrzesz tu do środy - powiedziała.

- Zmiana planów. Elastyczność to jedna z moich mocnych stron.

Może jedyna.

63

Barman przyniósł dwa zmrożone heinekeny. Guy zaczekał, aż odejdzie, zanim znów coś powiedział.

- Przywieziono kolejne szczątki z Dak To - oznajmił.

- Zaginionych w akcji?

- Tego się dopiero dowiem. Potrzebuję kilku dni, żeby je zbadać.

A poza tym Bangkok zaczął mnie nudzić.

- Jasne.

- Naprawdę. Chciałem odmiany.

- I porzuciłeś pokusy Wschodu, żeby przyjechać tutaj i badać szczątki zmarłych żołnierzy?

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale traktuję pracę poważnie. A skoro już tu jestem, mogę ci pomóc.

Jego pewność siebie irytowała ją. alous

- Ale ja dam sobie radę - oznajmiła.

- Tak? To kiedy masz pierwsze oficjalne spotkanie?

- Jest w trakcie załatwiania. Pan Ainh się tym zajmuje.

- Pan Ainh? Chyba nie masz na myśli swojego przewodnika? -

Wybuchnął śmiechem.

scand

- A cóż w tym zabawnego?

- Masz rację - Guy próbował powstrzymać rechot - to nie jest śmieszne. To jest żałosne. Mam spojrzeć w kryształową kulę? Bo mogę ci powiedzieć, co jutro będzie. Rano pan Ainh pojawi się z przepaszającą miną i ci powie, że ministerstwo jest dziś zamknięte z powodu wielkiego święta 18 lipca.

- Święta? Jakiego święta?

64

- Nieważne. Coś wymyśli. Potem zapyta, czy nie wolałabyś zwiedzić fabryki laki, gdzie będziesz miała możliwość zakupu pięknych prezentów...

Roześmiała się, bo właśnie tak brzmiały słowa pana Ainha.

- Pojutrze będzie inny powód. Na przykład, całe ministerstwo zapadnie na grypę albo wystąpi katastrofalny brak ołówków, ale...

możesz zwiedzić Pałac Narodu!

- Myślę, że już wiem, do czego zmierzasz.

- On nawet nie sabotuje świadomie twoich planów. Po prostu wie, jak beznadziejna jest biurokracja. Chce tylko wykonywać swoją pracę: być przewodnikiem i pisać nieszkodliwe raporty o miłej turystyce. Nie oczekuj od niego więcej. Nie płacą mu wystarczająco nawet za to, co robi.

alous

- Nie jestem bezradna. Zawsze mogę sama po-stukać do drzwi.

- Tak, ale których? A znasz tajemne hasło?

- Guy, robisz z tego kraju cyrk.

- To nie jest właściwe słowo.

- A jakie jest?

scand

- Chaos. Popatrz na pieszych i rowerzystów. Tłum anarchistów.

Każdy robi swoje. Tak też działa rząd. Ministerstwa konkurują z ministerstwami, prowincje z prowincjami. Każdy urzędnik pilnuje własnego tyłka, bojąc się zrobić krok bez aprobaty zwierzchnika. To nie jest system dla słabych.

- Słaba nigdy nie byłam.

65

- Zaczekaj, aż posiedzisz w dusznej poczekalni przez pięć godzin, a od brudnej wody rozboli cię brzuch. Najbliższa toaleta to dziura w...

- Więc co proponujesz?

- Trzymaj się mnie. Mam kontakty. Wprawdzie nie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale mogą się przydać.

Czego on chce? Chociaż patrzył jej prosto w oczy, wyczuła w nim napięcie i skrywane oczekiwanie.

- Jesteś niezwykle uczynny. Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- To nie jest odpowiedź.

- Może gdzieś w głębi serca dalej jestem harcerzykiem przeprowadzającym przez ulicę starsze panie.

A może miłym alous

gościem.

- A może powiedziałbyś mi prawdę?

- Zawsze miałaś problem z zaufaniem do facetów?

- Tak, i nie zmieniaj tematu.

Przez chwilę słyhać było tylko, jak Guy stuka koniuszkami scand

palców o butelkę z piwem.

- W porządku. Nigdy nie byłem harcerzem. Ale propozycja jest aktualna.

Nie odpowiedziała. Milczenie, sceptyczna mina wskazują na brak zaufania. Dlaczego? Czy życie ją tak ciężko doświadczyło? Zbyt wielu mężczyzn okłamało?

66

Uważaj, mała, ten nie jest lepszy, pomyślał z odrobiną obrzydzenia do samego siebie.

Szybko się otrząsnął. Stawka jest zbyt wysoka, by zważać na sumienie. Szczególnie w jego wieku.

Musi podrzucić jej kolejne kłamstwo.

- Masz rację, nie robię tego z dobroci serca. Nie wyglądała na zaskoczoną. To go zirytowało.

- Czego oczekujesz w zamian? Pieniądzy? Seksu?

Jej ostatnie słowo, rzucone beznamiętnie, sprawiło, że poczuł

ciepło. Myślał już o tym wcześniej, nawet często, od momentu, kiedy ją spotkał. A teraz ona siedzi blisko i wpatruje się w niego nieustępliwie. Rozważał taką możliwość, ale szybko z niej zrezygnował, bo i tak się czuł paskudnie.

alous

Spokojnie sięgnął po heinekena.

- Nie. Seks nie wchodzi w rachubę.

- Rozumiem. - Przygryzła wargi. - A więc pieniądze.

Skinął głową.

- Nie mam pieniędzy. Przynajmniej dla ciebie.

scand

- Nie mówię o twoich pieniądzach.

- A czyich?

Zamilkł i zmusił się do przybrania obojętnej miny.

- Słyszałaś o Grupie Ariel? - zapytał cicho.

- Nie.

- Ja też nie. Aż do momentu, kiedy dwa tygodnie temu skontaktowało się ze mną jej dwóch przedstawicieli. To organizacja 67

komatantów mająca za zadanie sprowadzanie do kraju żołnierzy zaginionych w akcji - żywych. Nawet jeżeli oznacza to operację wojskową w stylu Rambo.

- Rozumiem. Mówimy o paramilitarnych maniakach.

- Tak w pierwszej chwili pomyślałem. Już miałem ich wykopać z biura, kiedy pokazali mi czek na dwadzieścia tysięcy. Na wydatki.

- Wydatki? Co masz zrobić?

- Wiedzieli, że polecę do interioru. Chcą, żebym przeprowadził

małe prywatne śledztwo. Nie interesują ich kości ani tabliczki identyfikacyjne. Chcą żywych.

- Żywych? Chyba nie myślisz, że ktoś jeszcze został?

- Oni tak myślą. I potrzebują tylko jednego człowieka. Dowodu, żeby zmusić Waszyngton do działania. alous Zamilkł, kiedy podszedł kelner, by sprzątnąć puste butelki.

Dopiero gdy kelner zniknął, Willy zapytała:

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Ty nic, tylko twój ojciec. Z tego, co mówisz, wynika, że jest szansa, oczywiście mała, że żyje. Jeżeli tak, pomogę ci go znaleźć i scand

sprowadzić do domu.

Jego słowa sprawiły, że Willy zamarła. Guy widział, że szuka w jego twarzy tego, co ukrył. A było tego sporo.

- A co ty będziesz z tego miał?

- Oprócz przyjemności z twojego towarzystwa?

- Powiedziałeś, że wchodzi w grę pieniądze. Skoro ja ci nie płacę, musi być ktoś inny. Ariel? Proponują ci więcej niż wydatki?

68

- Bystra uczennica. Przesiądź się do pierwszej ławki.

- Ile?

Szczerze? Dwa miliony.

- Dwa miliony dolarów? Mocno ścisnął ją za rękę.

- Ciszej.

Zniżyła głos do szeptu.

- Mówisz poważnie? Dwa miliony?

- Taka jest ich propozycja. Pomyśl teraz o mojej. Działajmy razem. Może odnajdziesz ojca, a ja przejdę na emeryturę. Wygramy na tym wszyscy.

Uśmiechnął się, bo wiedział, że ją złapał. Byłaby głupia, gdyby odmówiła.

- Sama widzisz. Jak w niebie.

alous

- Albo w piekle. Szukasz nagrody. To się jakoś nazywa, ale raczej niepochlebnie.

- Zanim zaczniesz brzydko o mnie mówić, pomyśl o swoich możliwościach. Są dość ograniczone. Możesz działać sama, co jak dotąd nie zaprowadziło cię zbyt daleko. Albo... - pochylił się w jej scand

stronę i posłał jeden ze swych najbardziej przekonujących uśmiechów - możesz działać ze mną.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z najemnikami.

- A co stoi na przeszkodzie?

- Drobiazg. Zasady.

- Pieniądze, prawda? Fakt, że robię to dla pieniędzy, a nie z dobrego serca.

69

- To nie jest polowanie! Mówimy o ludziach. Ludziach, których rodziny poświęciły oszczędności, żeby zapłacić takim bezużytecznym małym Rambo jak ty! Znam te rodziny. Żyją resztką nadziei. A sam wiesz, że ci żołnierze nie są jeńcami w jakimś zapomnianym obozie i nie czekają, aż ich ktoś wyzwoli. Oni nie żyją.

- Ty uważasz, że twój ojciec żyje.

- To zupełnie inna historia.

- Racja. To samo można powiedzieć o każdym z pięciuset zaginionych w akcji.

- Tak się składa, że ja mam dowody!

- Ale nie masz tyle sprytu, żeby go odnaleźć. Guy patrzył na nią twardo. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca jej twarz niemalże płonęła.

alous

- Jeżeli żyje, to nie możesz sobie pozwolić na to, żeby zawalić sprawę - ciągnął. - A możesz mieć tylko jedną szansę. Wietnamczycy nie wpuszczą cię do kraju na kolejną luksusową wycieczkę. Przyznaj, Willy, że mnie potrzebujesz.

- Nie - odparła. - To ty mnie potrzebujesz. Bez mojej pomocy scand

nie załapiesz się na tę kasę.

- Jak zamierzasz go odnaleźć?

Teraz ona pochyliła się w jego stronę tak, że omal nie odskoczył.

- Nie doceniasz mnie, pętaku.

- A ty się przeceniasz, juniorko. W tym kraju niełatwo znaleźć odpowiedzi. Nikt i nic nie jest tym, na co wygląda. Mrugnięcie, zawieszenie głosu może nadawać nowych znaczeń. Potrzebujesz 70

partnera. Jestem uczciwy, podzielę się z tobą nagrodą. Powiedzmy dziesięć procent. Te pieniądze spadną ci jak z nieba, nie liczyłaś na nie.

- Nic mnie, do cholery, nie obchodzą żadne pieniądze! Zjeżdżaj i zbijaj majątek na ojcu kogoś innego.

Zakręciła się na pięcie i odeszła.

- Pomyśl o tym! - zawołał.

Maszerowała przez ogród, nieświadoma zdziwionych spojrzeń.

- Uwierz mi, Willy! Potrzebujesz mnie!

Trójka radzieckich turystów o twarzach czerwonych od wódki przyglądała im się, aż jeden z nich podniósł kieliszek i zawołał:

- A może wolisz ruskiego?

Nie zwolniła, ale wszyscy siedzący na dachu usłyszeli jej alous

odpowiedź, która zabrzmiała rozczulająco słodko:

- Spieprzajcie, towarzysze.

scand

71

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wybiegła z ogrodu. Spódnica z cienkiej bawełny aż zawirowała wokół jej pięknych nóg. Guy, choć zdenerwowany, nie mógł

powstrzymać śmiechu, kiedy usłyszał, jak dowaliła Rosjanom.

Spieprzajcie, towarzysze. Śmiał się głośno, podchodząc do baru, by zamówić kolejnego heinekena. Piwo było tak zimne, że aż bolały zęby.

- Jak na faceta, którego właśnie po królewsku odstawiono, masz dobry humor - powiedział jakiś Anglik.

Guy zobaczył przy barze krzepkiego dżentelmena. Z dwiema kępkami włosów na łysej głowie wyglądał jak sowa. Pod alous

krzaczastymi brwiami mrugały jasnoniebieskie oczy.

- Raz się uda, a raz nie. - Guy wzruszył ramionami.

- Zdrowe podejście. Ale z góry było widać, że nic z tego nie będzie - rzekł mężczyzna i podniósł do ust szklankę szkockiej.

- Widzę, że jest pan ekspertem.

scand

- Nie, ale siedziałem za nią w samolocie. Słyszałem, jak jakiś obleśny Francuzik przedstawił jej cały swój repertuar. Był naprawdę niezły, ale nie dała się złapać. A pana nie było w samolocie z Bangkoku?

Guy kiwnął głową. Nie pamiętał faceta, ale też cały czas starał

się utopić swój strach w whisky. Tak działały na niego samoloty.

Nawet te wielkie boeingi 747 z miłymi francuskimi stewardesami.

Zawsze go dziwiło, że nie urywają im się skrzydła.

72

W drugim końcu ogrodu Rosjanie zaczęli śpiewać, fałszując przy tym niemiłosiernie.

- I kto by powiedział? Pamiętam, jak przy tym samym stoliku pili Amerykanie. Kto zgadłby, że kiedyś zasiądą tam Rosjanie?

- Kiedy pan tu był?

- Od 1968 do 1975. - Wyciągnął pulchną dłoń. - Dodge Hamilton, „London Post”.

- Guy Barnard, były poborowy. Robi pan reportaż? - Guy odwzajemnił uścisk.

- Robiłem, ale zawaliło mi się.

- Rozmowy?

- Nie, cała koncepcja. Myślałem, że będzie to podróż nostalgiczna. Odwiedzę starych przyjaciół w Sajgonie. Ale zniknęła.

alous

- Kobieta.

- Tak, kobieta. Połowa ludzkości, ale chyba pochodzą z kosmosu, bo trudno je zrozumieć.

Odstawił głośno szklankę i wykonał gest w stronę barmana, który z rezygnacją podał mu całą butelkę.

scand

- Widzi pan, planowałem poszukiwanie utraconej miłości.

Dzięki temu sprzedają się gazety. Mój naczelny zapalił się. Dawna miłość! Przyszedłem dziś do niej do domu na Rue Catinat, jej brat jeszcze tam mieszka, ale okazało się, że moja dawna ukochana uciekła ze swoim nowym ukochanym. Sierżantem z Memphis.

Napełnił szklanekę po brzegi, a Guy pokiwał głową ze współczuciem.

73

- Kobieta ma prawo zmienić zdanie.

- Dzień po tym, jak wyjechałem?

Guy nie miał jej tego za złe. Wiedział, jak było wtedy w Sajgonie - strach, niepewność. Nikt nie miał pojęcia, co nastąpi, i wszyscy spodziewali się najgorszego. Pamiętał zdjęcia z upadku miasta i Wietnamczyków walczących desperacko o ostatnie miejsca w helikopterach.

Nie mógł winić kobiety, że za wszelką cenę chciała wydostać się z kraju.

- W dalszym ciągu możesz o tym pisać. Spróbuj od innej strony.

Kobieta ucieka z piekła. Cena za przeżycie.

- Nie mam już do tego serca. Ani do tego miasta. Kiedyś je kochałem! Zapach, zgiełk. Nawet huk moździerzy. Ale Sajgon się alous

zmienił. Stracił ducha. Tylko ten hotel wygląda tak samo. Lubiłem stać tu przy barze i słuchać, jak generałowie szepczą: „Co my tu, do cholery, robimy?”. Nigdy chyba się tego nie dowiedzieli. Memphis.

Dlaczego jak raz do Memphis?

Dodge wygłaszał teraz jakiś prywatny monolog o kobietach jako scand

przyczynie wszelkich nieszczęść tego świata. Guy właściwie się z nim zgadzał. Wystarczyło, by pomyślał o własnym mizernym życiu uczuciowym, i też ogarniała go nagła potrzeba zalania się w trupa.

Kobiety. Wszystkie są takie same. Ale w jakiś sposób różne. Na przykład Willy. W gębie mocna, ale widać było, że to poza, pod którą kryje się miękkość i wrażliwość. Jest tylko dzieciakiem starającym się 74

sprostac ojcu, udającym, że nie potrzebuje mężczyzny. Podziwiał ją za to, że jest taka dumna.

I sprytna, skoro go odprawiła. Zresztą nie wiadomo, czy wystarczyłoby mu odwagi, żeby przez to przejść. Niech Ariel zaciska pętlę. Zbyt długo już żyje z tą swoją tajemnicą, może pora ją ujawnić.

Powiniennem wykonać swoją pracę, pomyślał. Jechać do Hanoi, pozbierać martwych żołnierzy i

odesłać do domu, pomyślał. I zapomnieć o Willy Maitland.

Ale...

Pijąc następne piwo, zastanawiał się nad tym, jak jej pomóc. Co by się stało, gdyby zrobił to nie z przymusu, ale z dobrego serca?

Dobre serce? To coś nowego. Nigdy nie był harcerzykiem. W tych mundurkach, w szczerzej porządności i pobożności było coś alous

zabawnego. I oto on, harcerz Barnard, proponuje swoje usługi, za friko. Bez zobowiązań.

No, może niezupełnie. Nie mógł się powstrzymać od pofantazjowania. Jak by to było? Zabrać ją do pokoju, rozebrać, poczuć, jak mu ulega. Odruchowo sięgnął po butelkę heinekena.

scand

- Nie ma wątpliwości - wymamrotał Dodge. - Mówię ci, to ich wina.

- Czyja wina? - zapytał Guy.

- To jasne, kobiet. Sprawiają więcej kłopotów niż to warte.

- Święte słowa, kolego. - Guy westchnął i podniósł butelkę do ust. - Święte słowa.

75

Mężczyźni. Sprawiają więcej kłopotów niż to warte, pomyślała Willy i nastawiła budzik.

Łowca nagród. Powinna była się domyślić. Dzwonek alarmowy w jej głowie powinien był zabrzmieć w chwili, kiedy tak wspaniałomyślnie zaproponował pomoc.

Pomoc. Śmiech na sali. Przypomniała sobie o tych wszystkich listach, jakie otrzymały z matką od organizacji najemników z ofertami takiej samej bezsensownej pomocy za kilka tysięcy dolarów. Różne fundacje poszukiwania zaginionych w akcji i te ich ohydne hasła: Wyciągnijmy ich z ognia! Ile pogrążonych w żałobie rodzin ulokowało swe nadzieje i oszczędności w daremnych poszukiwaniach?

Rozebrała się i padła na łóżko. Materac był niewygodny, a alous

poduszka jak z betonu. Nie miało to znaczenia, bo ściany wibrowały od dźwięków disco. Jaka jest korzyść z komunizmu, jeżeli nie może zakazać takiego badziewia?

Przyszło jej na myśl, że w tej właśnie chwili Guy Barnard kręci się po holu. Ten człowiek to szumowina. Nie jest wart, by o nim scand

myśleć.

Musiała przyznać, że nie jest pozbawiony luzackiego wdzięku.

Ładne równe zęby i olśniewający uśmiech, oczy brązowe jak u wilka.

Z powodu tych oczu można by popaść w kłopoty. A Bóg wie, że ja nie potrzebuję takich kłopotów, pomyślała i westchnęła. Ktoś zastukał do drzwi. Usiadła i zawołała:

- Kto tam?

76

- Kelner.

- Pomyłka. Niczego nie zamawiałam. Odpowiedziało jej milczenie. Z westchnieniem włożyła szlafrok, podeszła bosą do drzwi i je uchyliła.

- No i co, zastanowiłaś się? - W ciemnościach rozległ się głos Guya.

- Nad czym?

- Tobą i mną. Działamy razem? Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Albo jesteś głuchy, albo nic nie rozumiesz.

- To było dwie godziny temu. Mogłaś zmienić zdanie.

- Nigdy nie zmieniam zdania. Dobranoc. Trzasnęła drzwiami i zamknęła je na zasuwkę.

alous

Rozległo się stukanie do okna. Odsunęła zasłonę i zobaczyła przez szybę uśmiechniętą twarz Guya.

- Tylko jedno pytanie! - zawołał.

- Co?

- Czy to ostateczna odpowiedź?

scand

Zasłoniła okno i czekała, gdzie ten facet znowu się pojawi.

Spadnie z sufitu? Wskoczy spod podłogi? Co to za szelest?

Zobaczyła kartkę papieru wślizgującą się pod drzwi. Schwyciła ją i przeczytała: „Zadzwoń, jeżeli będę potrzebny”. Podarła ją na kawałki i wrzasnęła:

- Prędzej piekło zamarznie!

Nie było odpowiedzi. No tak, już sobie poszedł.

77

Chantal, oblizując wargi, wpatrywała się w czekoladki, butelkę szampana, puszki kawioru i pasztetu sztrasburskiego.

- Jak śmiesz pokazywać się po tylu latach? Siang uśmiechnął się.

- Nie lubisz już szampana? Szkoda, będę musiał wypić go sam.

Sięgnął po butelkę i powoli odkręcił drucik. Korek wyskoczył, podłogę z ubitej ziemi zalały jasnozłote bąbelki. Chantal jęknęła.

Wyglądała, jakby miała paść na kolana i zlizać cenny napój. Siang napełnił jeden z kieliszków przywiezionych aż z Bangkoku. Nie można przecież pić szampana z filiżanek. Wypił łyk i westchnął z lubości.

- Taittinger. Cudowny.

- Taittinger? - wyszeptała.

Napełnił drugi kieliszek i postawił przed nią na koślawym alous stoliku. Nie mogła oderwać wzroku od bąbelków.

- Potrzebuję pomocy - oznajmił.

Sięgnęła po kieliszek i podniosła go do drżących ust. Jej zwiotczone ciało zachowało piękną, smukłą szyję - spadek po wietnamskiej matce. Ale francuska połowa Chantal nie trzymała się scand

tak dobrze. Zauważył plamy od słońca, drobne zmarszczki wokół

zielonkawych oczu.

Już nie delectowała się szampanem, lecz go chciwie piła.

Zachłannie wysączyła ostatnią kropelkę i sięgnęła po butelkę, ale Siang ją odsunął.

- Powiedziałem, że potrzebuję twojej pomocy. Otarła usta wierzchem dłoni.

78

- Czego chcesz?

- Niewiele.

- Zawsze tak mówiłeś.

- Potrzebny mi pistolet. Automat. I trochę amunicji.

- A jeżeli go nie mam?

- To go znajdziesz. Potrząsnęła przecząco głową.

- Już nie jest tak jak dawniej. Nie masz pojęcia, jak jest teraz trudno. Sajgon to piekło.

- Nawet w piekle można się urządzać. Zobaczysz. Milczała.

Czytał w jej myślach, jak gdyby miała

przezroczyście oczy. Patrzyła na skarby przywiezione z Bangkoku. W ustach czuła jeszcze smak szampana.

- Broń. Po co ci broń?

alous

- Robota.

- Wietnamczyk?

- Amerykanka.

Oczy Chantal zabłyśły. Ciekawość. Może zazdrość.

- Kochanka? Pokręcił głową.

scand

- To dlaczego chcesz ją zabić?

- Interesy. Klient zaoferował wysoką zapłatę. Podzielę się z tobą.

- Tak jak kiedyś? - odpaliła.

- Chantal, Chantal. Wiesz, że nie miałem wyboru. To był ostatni lot z Sajgonu.

Westchnął i dotknął jej twarzy. Straciła już dawną jedwabistość.

Ta cholerna francuska krew: ostre słońce nie działa na nią dobrze.

79

- Obiecuję, że tym razem ci zapłacę. Spoglądała to na niego, to na butelkę.

- A jeżeli zajmie mi to trochę czasu?

- Będę musiał improwizować. Potrzebny też mi ktoś do pomocy.

Dyskretny i zaufany. Twój kuzyn ciągle jest bez pieniędzy?

Ich oczy się spotkały. Siang posłał jej długi, znaczący uśmiech, a potem napełnił kieliszek szampanem.

- Otwórz kawior - powiedziała.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Willy. Guy, oszołomiony i na wpół śpiący, stał w drzwiach oślepiiony porannym słońcem. Rozczochrany i nieogolony, miał na sobie tylko ręcznik, i to dość skąpy. Willy usiłowała patrzeć wyłącznie na jego twarz, ale jej alous

wzrok uciekał w stronę torsu.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Nie mogłaś mi tego powiedzieć wczoraj wieczorem? Musiałaś czekać do świtu?

- Guy, jest ósma rano.

scand

- Nie żartuj. - Ziewnął.

- Może powinieneś wcześniej kłaść się spać?

- A kto powiedział, że się nie kładę? Może nie miałem w planie snu?

Oparł się o framugę i uśmiechnął drwiąco.

80

Cholera, może w pokoju jest kobieta? Odruchowo zajrzała do środka, ale łóżko w zaciemnionym pokoju, choć skotłowane, było puste.

- Złapałem cię - rzekł ze śmiechem.

- Widzę, że nie będzie z ciebie pożytku. Odwróciła się i odeszła.

- Willy! Nie wygłupiaj się. Mówisz serio? Złapał ją za rękę i zawrócił.

- Zapomnij o tym. Pomyłka.

- Wczoraj wieczorem miało zamarznąć piekło, zanim zwrócisz się do mnie o pomoc. Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Nie od razu odpowiedziała. Była zbyt zaabsorbowana udawaniem, że nie widzi zsuwającego się

ręcznika. Na szczęście złapał go w porę i mocniej owinał biodra.

alous

- Miałeś rację. Jest tak, jak mówiłeś. Nikt nie chce ze mną rozmawiać. Nikt nie odpowiada na telefony. Kiedy mam przyjść, włącz pod biurka!

- Cierpliwości. Zaczekaj jeszcze tydzień.

- Za tydzień nie będzie lepiej.

scand

- Dlaczego?

- Nie słyszałeś? Urodziny Ho Szi Mina. Guy wzniósł oczy ku niebu.

- Jak mogłem zapomnieć?

- Co mam zrobić?

Przez chwilę pocierał nieogolony podbródek.

- Zastanówmy się.

81

Usiadła sztywno na jego łóżku, podczas gdy ubierał się w łazience. Sądząc po skrzywionych prześcieradłach, ten facet nie sypia spokojnie. Jej wzrok spoczął na stoliku nocnym i leżącym na nim stosie akt. Teczka na wierzchu nosiła napis: Operacja Braciszek Tuck.

Odtajnione.

Dziwne, pomyślała i ją otworzyła.

- Tak wyglądają sprawy w tym kraju - usłyszała przez zamknięte drzwi. - Jeżeli chcesz się dostać z punktu A do punktu B, nie wybieraj linii prostej. Dwa kroki w lewo, dwa w prawo, obrót i krok wstecz.

- A więc co powinnam teraz zrobić?

- Dwa kroki w bok.

Wszedł do pokoju ubrany i ogolony. Zauważył otwartą teczkę i ze spokojem ją zamknął.

alous

- Przepraszam, to nie jest jawne - oświadczył. - Teraz powiedz mi, co się dzieje.

- Co masz na myśli?

- Mam wrażenie, że coś ukrywasz. Jest ósma rano. Nie mogłaś zacząć walczyć z biurokracją tak wcześnie. Co cię naprawdę skłoniło scanda

do zmiany zdania?

- Nie zmieniałam zdania. Dalej uważam cię za najemnika.

Jej obrzydzenie wisiało w powietrzu jak przykry zapach.

- Ale teraz chcesz współpracować. Dlaczego? Westchnęła i z ociąganiem otworzyła torebkę, z której wyjęła pomiętą kartkę.

- Dziś rano znalazłam to pod drzwiami. Rozprostował papier, na którym drżącą ręką ktoś napisał: „Jankesko, umrzesz”.

82

Kilka minut wcześniej pokazała tę kartkę Ainhowi, lecz on jedynie z żalem pokręcił głową. Przynajmniej Guy, jako Amerykanin, podzielił jej gniew.

Oddał jej kartkę.

- No i co?

- Cooo? Grożą mi śmiercią. Cały rząd wietnamski schodzi do podziemia na dźwięk mojego nazwiska. Ainh praktycznie zmusza mnie do zwiedzania tej durnej fabryki laki. A ty w tej sytuacji mówisz: „No i co”?

Cmokając ze współczuciem, usiadł obok niej. Dlaczego musi siadać tak blisko? - pomyślała. Próbowwała zignorować mrowienie w nodze dotykającej jego ciała, zmuszając się do siedzenia prosto, choć obciążony materac sprawiał, że przechylała się w jego stronę.

alous

- Po pierwsze - tłumaczył - to nie musi być osobista groźba.

Może to przesłanie polityczne.

- Aha, tak po prostu - mruknęła beznamiętnie.

- Pomyśl o fabryce laki jak o wizycie u dentysty. Nie chce ci się iść, ale musisz. A co do uników Ministerstwa Spraw Zagranicznych, scanda

to i tak niczego byś się od tych biurokratów nie dowiedziała. A skoro mowa o biurokratach, to gdzie jest twój opiekun?

- Pan Ainh? - Westchnęła. - Czeka na mnie w holu.

- Musisz się go pozbyć.

- Chciałabym.

- Nie może się za nami pętać. Nie tam, gdzie idziemy.

Guy podał jej rękę i pomógł wstać.

83

- A dokąd idziemy? - zapytała, podążając za nim.

- Spotkać się z przyjacielem. Mam nadzieję.

- To znaczy, że może nas nie przyjąć?

- To znaczy, że może nie być przyjacielem. Jęknęła, kiedy wsiedli do windy.

- Wspaniale.

Ainh czekał na nią w holu przy recepcji.

- Panno Maitland! Musi się pani pospieszyć. Mamy dziś bardzo napięty program.

Willy spojrzała na Guya, który tylko wzruszył ramionami i zapatrzył się w przestrzeń. Niech go szlag trafi!

- Jeżeli chodzi o tę wycieczkę do fabryki laki... - zaczęła.

- Będzie fascynująca! Nie przyjmują dolarów, więc jeżeli pani alous

chce wymienić je na dongi, mogę...

- Obawiam się, że nie czuję się na siłach - powiedziała sucho.

- Jest pani chora? - Tak, mam...

Zauważyła, że Guy kręci głową.

- Nie, nie mam. Chciałam powiedzieć...

scand

- Pani chciała powiedzieć, że zaproponowałam jej, że ją oprowadzę. Rozumie pan - tu Guy mrugnął porozumiewawczo - to prywatna wycieczka.

- P...prywatna? A co z moją wycieczką? Wszystko jest załatwione! Samochód, zwiedzanie, lunch... -
Ainh zaczerwienił się, zerkając na Willy.

84

- Coś ci powiem, przyjacielu - powiedział Guy konspiracyjnie. -

Dlaczego nie pojedzie pan sam na tę wycieczkę?

- Już na niej byłem - odparł ponuro Ainh.

- Ale to była praca. Tym razem pan i kierowca zrobicie sobie wolne. Zwiedzicie Sajgon. Pójdziecie na lunch pani Maitland.

Przecież jest zapłacony.

- Darmowy lunch? - zainteresował się Ainh.

- I piwo.

Guy włożył mu kilka dolarów do kieszeni koszuli, ujął Willy pod rękę i skierował się do wyjścia.

- Ależ panno Maitland! - zawołał Ainh cichutko.

- Ale dacie, chłopcy, czadu! Samochód z klimatyzacją, darmowy lunch, żadnego programu! - W głosie Guya pobrzmiwała zazdrość.

alous

Ainh szedł za nimi do wyjścia, za którym zaczynała się parowa łaźnia.

- Panno Maitland! Tak się nie robi! - powiedział zrozpaczony.

Guy odwrócił się i poklepał go uroczyście po ramieniu.

- I w tym, panie Ainh, jest cała przyjemność. Zostawili biednego scand
człowieka na schodach.

- Jak myślisz, co zrobi? - zapytała szeptem Willy.

- Myślę, że skorzysta z darmowego lunchu.

Obejrzała się i zobaczyła, jak jej przewodnik wchodzi z powrotem do hotelu. Zauważyła też, że są śledzeni.

Dopadł ich chłopak, może dwunastoletni.

- Lien-xo? - zaświergotał.

85

Próbowali go ignorować, ale skakał wokół nich i bez przerwy ćwierkał. Koszulę miał w strzępach, a stopy brudne już na zawsze.

Znów wskazał na Guya.

- Lien-xo?

- Nie, nie ruski. Amerykański.

- Amerykański? Tak? Halo, tatusiu! Tatuś bogaty?

- Nie. Tatuś biedny.

Chłopak roześmiał się, traktując to jak wspaniały żart. Biegł

dalej za nimi, odganiając jednocześnie innych uliczników pragnących dołączyć do procesji. Wokół śmigały rowery, a na chodnikach siedzieli w kucki uliczni sprzedawcy ze swoim ubogim towarem.

Chłopak uczeplił się ramienia Guya.

- Hej, tatusiu. Masz papierosa? alous

- Nie.

- Daj spokój, tatusiu. Ja ci pomagam, odganiem żebraków.

- No dobrze. - Guy wyjął paczkę marlboro z kieszeni koszuli i dał mu papierosa.

- Guy, jak mogłeś - zaprotestowała Willy. - To jeszcze dzieciak!

scand

- Nie wypali go. Zamieni na coś innego. Na przykład na jedzenie.

Chłopiec zawijał swój skarb w kawałek brudnej szmaty.

- Zawsze zabieram ze sobą kilka kartonów - dodał. - Przydają się, kiedy musisz coś załatwić. A właśnie mamy coś załatwić. Hej, mały, jak się nazywasz?

Chłopak wzruszył ramionami.

86

- Musisz mieć jakieś imię.

- Inni amerykański mówić, ja wyglądać jak Oliver. Guy roześmiał się.

- Pewnie Oliver Twist. Dobra, Oliver. Mam sprawę. Zrób coś dla nas.

- Jasne, tatusiu.

- Szukam ulicy. Rue des Voiles. To stara nazwa. Nie ma jej na mapie. Wiesz, gdzie to jest?

- Rue des Voiles? Teraz Bing Tan. Dlaczego tam? Sklepów nie ma, nie ma nic.

Guy wyjął banknot. Tysiąc dongów.

- Zaprowadź nas tam. Oliver złapał pieniądze.

- Okej, tatusiu. Zaczekać. Obiecać, zaczekać. Pognał ulicą, na alous

rogu obejrzał się i dla pewności jeszcze raz zawołał:

- Zaczekać!

Minutę później pojawił się z riksą.

- Znaleźć najlepszy. Bardzo szybki.

Guy i Willy z konsternacją przyjrzeni się dwóm dziadkom przy scand

kierownicy. Jeden pokazał w uśmiechu bezzębne dziąsła, drugi sapał

jak lokomotywa.

Guy potrząsnął głową.

- Skąd, u licha, wytrzasnął takie dwa mamuty? Oliver z dumą wskazał na staruszków i wyszczerzył zęby.

- Moje wujki!

- Idźcie stąd - powiedział głos zza drzwi.

87

- Pan Gerard? - zawołał Guy.

Odpowiedzi nie było, ale mężczyzna musiał stać blisko. Willy czuła, że przykucnął po drugiej stronie drzwi. Guy sięgnął do staroświeckiej kołatki. Zastukał kilka razy.

- Panie Gerard! Cisza.

- To ważne! Musimy z panem porozmawiać!

- Powiedziałem, idźcie sobie!

- Czy nie sądzisz, że może nie chceć z nami rozmawiać?

- Porozmawia.

Guy znowu zaczął walić w drzwi.

- Jestem Guy Barnard! Przyjaciel Toby'ego Wolffa! Zgrzytnęła zasuwka. W szparze drzwi ukazało się jedno jasne oko i zezowało to na Guya, to na Willy.

alous

- Toby Wolff to idiota - usłyszeli.

- Toby Wolff upomina się.

Oko mrugnęło. Szpara w drzwiach poszerzyła się na centymetr i ukazała się łysa głowa człowieczka przypominającego kraba.

- Dobra. Macie zamiar tak stać? - szczechnął. Wewnątrz było scand

ciemno jak w norze, a wszystkie okna szczelnie zasłonięte. Guy i Willy ruszyli za skorupiakiem wąskim korytarzem. W ciemnościach ledwo było widać zarys postaci Gerarda, ale Willy słyszała jego kroki.

Weszli do dużego pokoju. Przez zniszczone firanki przenikała odrobina światła. W klaustrofobicznych ciemnościach czaiły się ledwo rozpoznawalne meble.

- Siadajcie - nakazał Gerard.

88

Guy i Willy skierowali się w stronę kanapy, ale Gerard warknął:

- Nie tam! Nie widzicie, że to prawdziwy Ludwik? Wskazał na parę masywnych krzesel z różanego drewna. Sam usadowił się w brokatowym fotelu przy oknie. Ze splecionymi ramionami i szpiczastymi kolanami wyglądał jak kupa starych kości.

- Czego Toby chce tym razem? - zapytał.

- Powiedział, że masz pewne informacje.

- Skończyłem już z interesami. Za wysoka stawka - prychnął

Francuz.

Willy rozejrzała się po pokoju, odnotowując w ciemnościach miękki połysk kości słoniowej i starej porcelany. Nagle pojęła, że znalazła się w środku kolekcji antyków. Nawet dom był zabytkiem, jedną z francuskich rezydencji kolonialnych. Wedle prawa należał do alous

państwa. Jak udało mu się go zatrzymać?

- Od dawna nie prowadzę interesów z Firmą. Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc.

- To stara sprawa. Jeszcze z czasów wojny.

- Ciągłe wojna! Z kim? Chińczykami? Francuzami?

scand

Czerwonymi Khmerami?

- Wiesz, która wojna - odparł Guy.

- Ta wojna się skończyła.

- Nie dla wszystkich - dodała Willy.

Francuz zwrócił się w jej stronę. Poczula jego baczne spojrzenie.

Nie lubiła, gdy ją ktoś oceniał. Twardo wytrzymała jego wzrok.

- Co ona ma z tym wspólnego?

89

- Chodzi o jej ojca. Zaginął w akcji w 1970.

- Zajmuję się importem. Nic nie wiem o zaginionych żołnierzach.

- Mój ojciec nie był żołnierzem. Był pilotem w Air America -

sprostowała Willy.

- Dziki Bill Maitland - dodał Guy.

Zapadła nagle gęsta cisza, którą można było kroić na kawałki.

Po długiej przerwie Gerard powtórzył cicho:

- Air America.

- Pamięta go pan? - spytała Willy.

- Czasami coś dla mnie przewozili.

- Co?

- Leki - podrzucił Guy.

alous

Gerard z irytacją walnął ręką w oparcie fotela.

- Panie Barnard, obaj znamy prawdę! Opium. Ja nie zaprzeczam.

Trwała wojna i należało robić pieniądze. Więc je robiłem. Tak się składało, że na Air America można było polegać. A piloci nigdy nie zadawali pytań. Płaciłem im za to złotem.

scand

Znów zapadła cisza. Willy zebrała się na odwagę, by zadać następne pytanie.

- A mój ojciec? Czy jemu też płacił pan złotem?

- Zdziwiłoby to panią? - Wzruszył ramionami. Jakoś nie, ale co by powiedzieli starzy przyjaciele,którzy mieli jej ojca za bohatera?

- Był jednym z najlepszych - dodał Gerard.

- W przemyśle narkotyków? - Chciało jej się śmiać.

90

- W lataniu. Było jego powołaniem.

- Powołaniem mojego ojca było robić to, na co miał ochotę. Nie zważając na innych - powiedziała gorzko.

- Tego dnia, kiedy jego samolot się rozbił... przewoził coś dla ciebie? - zapytał Guy.

Francuz nie odpowiedział. Pokręcił się w fotelu, a potem wstał i podszedł do okna.

- Gerard? - Guy ponowił pytanie.

- Dlaczego tu jesteście? Po co te pytania?

- Muszę wiedzieć, co się z nim stało - wyjaśniła Willy.

Gerard wyrzwał przez szparę w firance.

- Panno Maitland, niech pani wraca do domu, zanim dowie się pani czegoś, o czym wolałaby pani nie wiedzieć.

alous

- Czego?

- To nieprzyjemne sprawy.

- Był moim ojcem! Mam prawo... Gerard rozeźmiał się.

- Prawo? Był w strefie wojny! Zdawał sobie sprawę z ryzyka.

Jeszcze jeden facet, który nie wrócił żywy.

scand

- Chcę wiedzieć, co robił w Laosie i dlaczego.

- Od kiedy to wiadomo, co oni naprawdę robili w Laosie? -

Gerard kręcił się po pokoju, pożądliwie dotykając swoich skarbów. -

Nie wyobraża pani sobie, co się wtedy działo. O Laosie nie mówiło się, ale wszyscy tam byliśmy. Rosjanie, Chińczycy, Amerykanie, Francuzi. W Vientiane przyjaciele i wrogowie zapełniali te same

91
śmierzące bary. My wszyscy, świetni żołnierze, chcieliśmy zarobić.

Nadal nie rozumiem tej wojny.

- Ale wiedziałeś więcej niż inni. Pracowałeś dla wywiadu -

zauważył Guy.

- Znałem tylko część prawdy.

- Toby Wolff twierdzi, że brałeś udział w dochodzeniu po wypadku.

- Mało miałem z tym wspólnego.

- Kto wtedy dowodził?

- Amerykański pułkownik o nazwisku Kistner.

- Joseph Kistner? - zdziwiła się Willy.

- Teraz już generał - dodał po cichu Guy.

- Mówił, że jest attache militarnym - dodał Gerard.

alous

- To znaczy, że był w CIA.

- To wiele znaczy. Byłem łącznikiem w wywiadzie francuskim i słabo mnie informowano. Tak pracował pułkownik. Dla niego informacja oznaczała władzę. Nie dzielił się nią.

- Co wiesz o katastrofie?

scand

- Stwierdzili, że to „wkalkulowana strata”. Ogień nieprzyjaciela.

Poszukiwania wszczęto na żądanie innych pilotów, ale nie znaleziono nikogo, kto by przeżył. Następnego dnia pułkownik Kistner wydał

rozkaz przetopienia szczątków samolotu. Nie wiem, czy rozkaz wykonano.

- Przetopienia? - zainteresowała się Willy.

92

- W żargonie wojskowym oznacza to zniszczenie. Kiedy samolot rozbija się podczas tajnej misji, zawsze tak robią, żeby pozbyć się śladów - wytłumaczył jej Guy.

- Przecież to był zwykły lot transportowy.

- Wszystkie tak były rejestrowane - dodał Gerard.

- List przewozowy opiewał na części zapasowe do samolotów.

To nie powód, żeby musieli go topić. Co naprawdę było na pokładzie?

- spytał Guy.

Gerard milczał.

- Mieli pasażera - powiedziała Willy. Gerard odwrócił się do niej zaskoczony.

- Kto pani to powiedział?

- Luis Valdez, ładunkowy. Wskoczył, kiedy samolot spadał.

alous

- Rozmawiała pani z nim?

- Krótko, przez telefon, kiedy wypuścili go z obozu jenieckiego.

- A więc... żyje? Potrząsnęła przecząco głową.

- Zastrzelił się w dzień po powrocie do Stanów. Gerard znów zaczął nerwowo chodzić po pokoju, dotykając mebli. Przypominał jej scand

chciwego gnoma obmacującego swoje skarby.

- Kim był ten pasażer, Gerard? - spytał Guy. Gerard podniósł pudełko z laki i odstawił je na miejsce.

- Wojsko? Wywiad?

Gerard zatrzymał się.

- To był fantom, panie Barnard.

- To znaczy, że nie znasz jego nazwiska?

93

- Miał wiele nazwisk i twarzy. Niektórzy mówili, że jest generałem. Albo księciem. Albo królem narkotyków. Kimkolwiek był, stanowił zagrożenie dla kogoś bardzo wysoko postawionego.

Willy pomyślała o wywiadzie wojskowym, CIA i Air America.

Który z tych graczy poczuł się zagrożony przez jakiegoś anonimowego Laotańczyka?

- Kim on naprawdę był, Gerard? - spytała.

- To już jest bez znaczenia. On nie żyje. Nikt z tego samolotu nie przetrwał.

- A mój ojciec?

- Pani ojca nikt nie widział od dwudziestu lat. Gdybym był na pani miejscu, zostawiłbym to.

- Ale jeżeli żyje...

alous

- Jeżeli żyje, to może nie chce, żeby go odnaleziono. - Gerard popatrzył na nią, ale w półmroku nie widziała jego twarzy. -

Człowiek, za którego głowę wyznaczono cenę, może mieć powód, żeby chcieć pozostać martwym.

scand

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Cenę? Nie rozumiem.
 - Nikt pani nie mówił o nagrodzie?
 - Nagrodzie? Za co?
 - Za aresztowanie Braciszka Tucka. Kartonowa teczka.
- „Operacja Braciszek Tuck. Odtajnione”.
- Wiesz, o czym mówi, prawda? Kim jest Braciszek Tuck? -
- zwróciła się do Guya, którego twarz przypominała maskę.
- To tylko taka historyjka.
 - Ale masz jego teczkę.
 - To pseudonim dla pilota zdrajcy. Legenda...

alous

- Wcale nie legenda. To prawda, był zdrajcą. Wywiad nie wyznacza dwumilionowej nagrody za legendę - upierał się Gerard.

Wiedziałaś, pomyślała. Ty gnojku, wiedziałaś. Furia ścisnęła jej gardło.

- Myśli pan, że chodzi o mojego ojca?

scand

- Tak przypuszcza wywiad.
- Są jakieś dowody? To, że umiał latać? Że nie może już się bronić?
- Czas, okoliczności. Maitland zaginał w lipcu 1970. W sierpniu tego samego roku doszły do nas pierwsze raporty o pilocie obcokrajowcu latającym dla wroga z bronią i złotem.
- W Laosie były setki pilotów! Mógł być Francuzem, Rosjaninem...

- Wiemy, że był Amerykaninem.

- Mówicie, że mój ojciec jest zdrajcą.

- Może dlatego nie chce, żeby go odnaleziono. Poszedłby do więzienia, panno Maitland.

Guy się nie odzywał. Dowodzi to tylko jego winy. Dla kogo pracujesz? CIA?. Ariela? Dla siebie, ty kłamczuchu? Nie mogła na niego patrzeć. Nawet przebywanie w jednym pokoju napawało ją obrzydzeniem.

- Dziękuję, Gerard. Powiedział mi pan coś, o czym musiałam się dowiedzieć.

- Zgadza się pani, że najlepiej zostawić tę sprawę?

- Nie. Pan myśli, że mój ojciec jest zdrajcą, i nie jest pan w tym odosobniony. Ale wszyscy się mylicie. alous

- A jak pani to udowodni? Jak pani uczyni ten cud po dwudziestu latach? - prychnął Gerard.

Nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że dokona tego sama.

Szła za Gerardem korytarzem, czując obecność Guya za plecami. Wiedziała, że nie mogę mu zaufać. Od scand

samego początku.

Dopiero przy drzwiach Gerard odezwał się:

- Panie Barnard? Przekaze pan wiadomość Wolffowi?

- Oczywiście.

- Proszę mu powiedzieć, że spłaciłem zobowiązania. Nic więcej ode mnie nie dostanie.

96

Otworzył frontowe drzwi, zza których wylało się oślepiające słońce.

Po kilku krokach wybuchnęła gniewem.

- Kłamałeś, ty szumowino. Wykorzystałeś mnie! Wiedziałaś o Braciszku Tucku. O nagrodzie. Szukałeś mojego ojca!

Guy wzruszył ramionami. Skoro prawda wyszła na jaw, nie ma to już znaczenia.

- Na czym miał ten układ polegać? Powiedz mi, jestem ciekawa.

Gdybyśmy go znaleźli, tobyś go wydał? Czy pozwoliłbyś mi zabrać go do Ameryki i tam kazał aresztować? Jaki miałeś plan?

- Nie było planu.

- Dobrze, dobrze. Taki facet jak ty zawsze ma plan. Wyglądał na zmęczonego i pokonanego. Patrzyła na niego, zaciskając i alous

rozluźniając pięści.

- Założę się, że wiedziałeś, na co wydać te dwa miliony.

Każdego centa. Trzeba było tylko wsadzić mojego ojca. Ty gnojku.

Powinna była dać mu w twarz, lecz tylko przyspieszyła kroku.

- Nie chciałem cię wykorzystać! - zawołał.

scand

Szła dalej, lecz ją dogonił.

- Willy. Do cholery, słuchaj.

- Czego? Kolejnych kłamstw?

- Nie. Prawdy. Roześmiała się.

- Od kiedy to zawracasz sobie głowę prawdą? Złapał ją za ramię i pociągnął tak, że stanęli twarzą w twarz.

- Od teraz.

97

- Puść mnie.

- Najpierw mnie wysłuchasz.

- Dlaczego-mam ci wierzyć?

- Przyznaję, wiedziałem o Braciszku. O nagrodzie. I...

- I o tym, że mój ojciec jest na tej liście.

- Tak.

- To dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Miałem taki zamiar.

- Zaplanowałeś to od początku. Że doprowadzę cię do ojca.
- Tak myślałem. Na początku.
- Nisko upadłeś, Guy. Czy pieniądze tak wiele dla ciebie znaczą?
- Nie robiłem tego dla pieniędzy. Nie miałem wyboru. Wrobili mnie.

alous

- Kto?
- Ariel. Mówiłem ci, że dwa tygodnie temu przyszli do mnie.

Wiedzieli, że jadę do Wietnamu. Nie powiedziałem ci tylko, że nie szukają zaginionych, a zbrodniarza wojennego.

- Braciszka Tucka.

scand

- Powiedziałem, że mnie to nie interesuje. Zaproponowali kasę.

Dużo. A potem to już była propozycja nie do odrzucenia.

- Za co?
- Za milczenie.

Zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc. Widziała w jego oczach rozpacz.

- A więc o to chodzi. Szantaż. Co mają na ciebie? Co ukrywasz?

98

- Nie mogę o tym mówić.
- Rozumiem. Pewnie coś szokującego. Ale to nie usprawiedliwia tego, co próbowałeś mi zrobić.

Odwróciła się i pomaszerowała przed siebie. Guy szedł za nią jak zblakany pies. Po chwili pojawił się Oliver i skacząc obok niej, proponował riksę za tysiąc dongów. Dziadkowie też dołączyli do procesji.

- Odejdź, nie chcę rikszy.
- Słońce, gorący. Zemdleć. Widzieć ruski pani zemdleć.
- Odejdź!

Niez mordowany Oliver zwrócił się do Guya.

- A ty, tatusiu?

Guy wcisnął kilka banknotów do brudnej ręki chłopaka.

alous

- Masz tysiąc i zjeżdżaj.

Oliver zniknął, Guy jednak szedł za nią aż do miasta. Mijali sprzedawców melonów i mango, straganów z mięsem i chmarą much.

- Miałem zamiar powiedzieć ci o twoim ojcu, ale nie wiedziałem, jak to przyjmiesz.

scand

- Nie boję się prawdy.

- Bronisz go. Ignorujesz dowody.

- Nie był zdrajcą!

- Ciągle go kochasz.

Znow próbowała mu się wymknąć.

- To czuły punkt?

- Dlaczego miałabym się nim przejmować? Opuścił nas.

99

- A ty czujesz się winna.

- Ja? Winna?

- Tak. Gdzieś w swojej dziecinnej główce obwiniasz siebie.

Może darliście koty, jak dzieci i rodzice, a ty powiedziałaś coś, czego żałujesz. I zanim się pogodziliście, odszedł, a jego samolot się rozbił.

I teraz, dwadzieścia lat później, wciąż usiłujesz mu to wynagrodzić.

- Zostałeś psychoterapeutą?

- Nie trzeba nim być, żeby zrozumieć, co się dzieje w głowie dzieciaka. Miałem czternaście lat, gdy mój stary nas zostawił. Nigdy się z tym nie pogodziłem. Teraz martwię się o własnego dzieciaka. To

boli.

- Masz dziecko?

- Można tak powiedzieć. Nie mamy ślubu. Nie jestem z tego alous
specjalnie dumny.

Zostawiłeś ich. Twój ojciec zostawił ciebie. Świat się nie zmienia.

- Nie był zdrajcą - wróciła do tematu. - Dużo można o nim powiedzieć: że był nieodpowiedzialny,
nieostrożny, mało wrażliwy.

scand

Ale nie zwróciłby się przeciwko własnej ojczyźnie.

- Jest na liście podejrzanych. Jeżeli sam nie jest Braciszkiem Tuckiem, to musi być z nim jakoś
powiązany. I to jest niebezpieczne.

Dlatego ktoś usiłuje cię powstrzymać, dlatego napotykasz mur, kiedy usiłujesz czegoś się
dowiedzieć. Dlatego śledzą każdy twój krok.

- Co?! - Odruchowo omiotła wzrokiem tłum.

- Nie tak otwarcie.

100

Guy złapał ją za ramię i pociągnął do wystawy sklepowej.

- Mężczyzna na drugiej godzinie - dodał półgłosem i podbródkiem wskazał odbicie w szybie. -
Niebieska koszula, czarne spodnie.

- Wygląda na Wietnamczyka.

- Ale może pracować dla Rosjan albo Chińczyków. Obie nacje mają tu swoje interesy.

Mężczyzna wtopił się w tłum, ale wciąż czuła jego wzrok.

- Co mam zrobić? Jak się go pozbyć?

- Nic. Po prostu pamiętaj o nim. Jesteś pod stałym nadzorem.

Całej armii.

- Cześć, tatusiu! Guy westchnął.

- Nawet jego nie możemy się pozbyć.

alous

Willy patrzyła na odbicie Guya w szybie. Ale ja mogę się pozbyć ciebie, pomyślała.

Major Nathan Donnell z Zespołu Badania Wypadków miał

jaskraworude włosy, dudniący głos i śmierdział cygarami. Guy nie wiedział, co jest gorsze - zapach tytoniu czy odór dobywający się z scand

czterech szkieletów na stole. Może dlatego Nate pali te przeklęte cygara? Maskują zapach śmierci.

Każdy ze szkieletów wraz z numerem identyfikacyjnym złożony był na osobnym brezencie. W czterech plastikowych torebkach znajdowały się znalezione przy nich przedmioty. Po dwudziestu lub więcej latach w tym klimacie niewiele pozostało poza kośćmi i zębami. Przynajmniej tyle, bo czasami mieli jeszcze mniej.

101

Nate czytał na głos z dołączonych raportów:

- Numer 784-A, znaleziono w dżungli, dwanaście stopni na zachód od Obozu Hawthorne. Numer identyfikacyjny obok, nazwisko Elmore Stukey, szeregowy.

- Tabliczka z numerem leżała obok? Nie wisiała na szyi? - spytał

Guy.

Nate spojrzał na wietnamskiego oficera łącznikowego stojącego z boku.

- Tak jest w raporcie. - Wietnamczyk potwierdził skinieniem głowy.

- Elmore Stukey - mruknął Guy, otwierając teczkę z wojskowymi danymi medycznymi. - Metr osiemdziesiąt pięć, rasa kaukaska, zęby zdrowe.

alous

Rzut oka na kość udową wykluczał, by żołnierz mógł mieć więcej niż metr sześćdziesiąt pięć.

- To nie ten facet - stwierdził.

- Wykreślić?

- Tak. Zanotuj, że ktoś zwinął jego numer.

scand

- Zły znak - zauważył Nate.

- A ci trzej?

Nate przerzucił następny raport.

- Znalaziono ich osiem stopni na północ od LZ Bird. Obok był

hełm z napisem „US Army”. Nic więcej.

Guy odruchowo sprawdził kształt miednicy, ustawienie siekaczy.

102

- Te dwa to kobiety, prawdopodobnie Azjatki. Ale ten... - Wyjął

taśmę i zmierzył kość udową. - Mężczyzna, około metr siedemdziesiąt pięć. Wypełnienia
amalgamatowe w jedynce i dwójce. Numer 786-A.

Może się zgadzać. Weźmiemy go, 784-A też. Na wszelki wypadek.

Kobiety są wasze.

- Załatwimy to - rzekł Wietnamczyk i wyszedł. Nate zapalił

kolejne cygaro.

- Szybko ci poszło. Spodziewałem się ciebie dopiero jutro.

- Coś wyskoczyło.

- Może ci w czymś pomóc. - Nate wypuścił kłęb cuchnącego dymu.

- Może.

- Chodźmy stąd. Dostaję tu dreszczy.

alous

Wyszli na zakurzone podwórko starego kompleksu wojskowego.

Okalający mur zwieńczony był drutem kolczastym. Z rozklekotanego klimatyzatora kapiała woda.

- Sprawa służbowa czy osobista?

- I to, i to. Potrzebuję informacji. W 1973 byłeś w zespole scand

repatriacyjnym?

- Od '73 do '75. Głupia robota. Uśmiechałem się dużo i wydawałem maszynki do golenia i szczoteczki do zębów. Witałem wypuszczanych jeńców.

- Miałeś kogoś z Tuyen Quan?

- Niewielu. Może kilku. To był paskudny obóz. Pod koniec mieli epidemię tyfusu. Wielu jeńców zmarło.

103

- Ale nie wszyscy. Pamiętasz może Luisa Valdeza?

- Tylko nazwisko. I tylko dlatego, że zastrzelił się dzień po powrocie do kraju.

- Nigdy go nie widziałeś?

- Nie. Jego przesłuchanie było tajne. Szedł zupełnie innymi kanałami. Ograniczono mu kontakty.

Ciekawe, dlaczego wywiad odseparował Valdeza.

- A inni jeńcy z Tuyen Quan? - zapytał Guy. - Mówili coś?

- Nie. Byli w strasznym stanie, czekali tylko na powrót do domu.

I chyba nie znali Valdeza. W obozie siedzieli w celach po dwóch, a towarzysza Valdeza nie było.

- Nie przeżył?

- Wyobraź sobie, że nie chciał wracać do kraju.

alous

- Pamiętasz jego nazwisko?

- Tak. Musiałem napisać dziesięciostronicowy raport. Sam Lassiter. Dostałem za to naganę.

- Co się stało?

- Chcieliśmy na siłę wsadzić go do samolotu. Wrzeszczał, że scand

chce zostać w Wietnamie. Wielki chłop, metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Kopał i darł się jak mały dzieciak. Wyrwał się i ruszył w tłum. Pomyśleliśmy sobie, a do cholery... Jak chce, niech zostaje.

- I nigdy nie wrócił do kraju?

- Nie. Przez jakiś czas obserwowaliśmy go. Kilka lat temu ktoś go widział w Cantho. Potem mógł wyjechać albo umrzeć. Wariat.

Trzeba być wariatem, żeby tu zostać.

104

Niekoniecznie, pomyślał Guy. Może nie miał wyboru.

- A co się stało z innymi facetami z Tuyen? Po tym, jak wrócili do domów?

- To co zwykle. Stres pourazowy. Ale przystosowali się na tyle, na ile to możliwe.

- Poza Valdezem.

- Nic nie mogliśmy zrobić dla niego ani dla takich czubków jak Lassiter. Jak już pojechali, to pojechali. Oni wszyscy byli za młodzi, żeby iść na wojnę. Nie mogę o nich myśleć.

- Zrobiłeś, co mogłeś.

- Tak. Przynajmniej 786-A w końcu pojedzie do domu.

Rosjanie znowu śpiewali, lecz poza tym był to całkiem przyjemny wieczór. Piwo zimne, barman dyskretnie usłużny. Guy alous

obserwował w barze na dachu liczne kolejki Stolicznej. Przynajmniej oni dobrze się bawili.

Tymczasem on musi stworzyć jakiś plan, i to szybko. To, czego dowiedział się od Gerarda i Nate'a, potwierdziło jego przypuszczenia, że Willy wpadła po uszy. Zamach w Bangkoku nie był zwykłą próbą scand

rabunku. Ktoś chciał ją powstrzymać, by nie grzebała w przeszłości ojca. CIA? Wietnamczycy? Sam Bill?

Nie, to niemożliwe. Żaden człowiek, nawet jeśli jest zdesperowany, nie naśle nikogo na własną córkę. A może to było ostrzeżenie?

Głowa mu pękała. Czy Maitland żyje? Jaki jest jego związek z Braciszkiem? Czy to ta sama osoba? Co ma z tym wspólnego Ariel?

105

Przypomniał sobie tę wizytę sprzed dwóch tygodni. Nie było w tych facetach nic niezwykłego: dobrze ogoleni, ciemne garnitury, banalne krawaty, twarze, jakie się natychmiast zapomina. Dopiero widok czeku na dwadzieścia tysięcy dolarów sprawił, że się im przyjrzał.

Ariel, Ariel. Coś z Biblii. Mężczyźni jak lwy. Dziwna nazwa dla organizacji kombatantów. Jeżeli nimi byli.

Nie tylko oni szukali Braciszka Tucka. CIA też wyznaczyła nagrodę. A w środku cyklonu tkwi

naiwna, uparta, niemożliwa Willy.

To, że jest atrakcyjna, pogarsza tylko sprawę. Ta kobieta stanowi wnerwiająca kombinację twardości i wrażliwości. Sprawia, że wahał

się, czy ma ją wykorzystać, czy się nią zaopiekować. Czy to ma jakiś sens?

alous

Z dołu dochodził rytmiczny łomot muzyki disco. Zastanawiał

się, czy nie zejść na parkiet, znaleźć chętną do tańca i podeptać kilka palców. Wypił trochę piwa i kątem oka zauważył Willy idącą do stolika przy balustradzie. Patrzyła na coś w oddali, ignorując go kompletnie. scand

Do cholery, spróbuje jeszcze raz.

Willy wyczuła, że podchodzi, i zlekceważyła go.

- Dalej myślę, że możemy działać razem - powiedział.

- Wątpię.

- A przynajmniej porozmawiać o tym.

- Nie mam panu nic do powiedzenia, panie Barnard.

- Pan?

106

- Mogę pana inaczej nazwać. Na przykład...

- Czy możemy pominąć grę wstępną? Rozmawiałem z przyjacielem...

- Masz przyjaciół? Zdumiewające.

- Nate pracował w '75 dla zespołu repatriacyjnego. Widział

wielu powracających jeńców. Także z Tuyen Quan.

Nagle się zainteresowała.

- Znał Luisa Valdeza?

- Nie. Skierowano go na tajne przesłuchanie. Nikogo do niego nie dopuszczono. Ale Valdez siedział w celi w Tuyen z niejakim Lassiterem. Nate mówi, że Lassiter nie wrócił do Ameryki.

- Umarł?

- Nigdy stąd nie wyjechał.

alous

Pochyliła się do przodu, zeszywniała z napięcia.

- Jest tu, w Wietnamie?

- Był jeszcze kilka lat temu. W Cantho. Sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w delcie rzeki.

- Niedaleko. Jak wyjadę jutro rano, mogłabym tam być po scand

południu.

- A jak zamierzasz tam się dostać?

- Jak to jak? Samochodem.

- I myślisz, że pan Ainh pozwoli ci na samodzielną wycieczkę?

- Po to są łapówki. Niektórzy zrobią wszystko dla dolara.

Prawda?

Wytrzymał jej twarde spojrzenie.

107

- Skończ z tą cholerną forsą. Nie widzisz, że ktoś chce wykorzystać nas oboje? Chcę wiedzieć dlaczego. Załatwiłem kierowcę do Cantho na jutro. Wczesnie rano. Powiemy Ainhowi, że zabieram cię na przejażdżkę. Dwoje turystów... Roześmiała się.

- Chyba myślisz, że mam łeb jak brukiew. Dlaczego miałabym ci zaufać? Łowca nagród.

Oportunista. Palant.

- Piękny wieczór, prawda? - wtrącił się radosny głos.

Patrzył na nich uśmiechnięty Dodge Hamilton, trzymając szklanekę w ręku. Przywitała go milczeniem.

- Przepraszam. Chyba przeszkadzam.

- Ależ nie - powiedziała Willy, wzdykając i wskazując krzesło wszędobylskiemu Anglikowi.

alous

Widać było, że szuka towarzystwa do topienia smutków.

Mógłby ponarzekać z powodu niedoszedłego reportażu, a ona poskarżyć się na stratę ojca.

- Nie śmiałbym...

- Bardzo proszę. - Willy rzuciła Guyowi mordercze spojrzenie. -

scand

Pan Barnard właśnie wychodzi.

- Jeżeli pani nalega... Panno Maitland, chciałbym spytać, czy zgodziłaby się pani udzielić wywiadu.

- Ja? Dlaczego?

- Postanowiłem nadać inny ton mojej opowieści o Sajgonie: córka poszukuje ojca. To takie wzruszające. Podróż sentymentalna do...

108

- To nie jest dobry pomysł - wtrącił Guy.

- Dlaczego? - Hamilton się zdziwił.

- W tym nie ma namiętności, romansu, niczego podniecającego -
improvizował.

- Jak to? Utracony ojciec...

- Hamilton! - Guy pochylił się nad stolikiem. -Nie.

- On pyta mnie. I to jest mój ojciec - rzekła Willy.

- Willy, pomyśl - ostrzegł Guy.

- Myślę, że trochę rozgłosu mogłoby otworzyć kilkoro drzwi.

- Raczej zamknąć. Wietnamczycy nie piorą brudów publicznie.

A jeżeli wiedzą, co stało się z twoim ojcem, i nie był to happy end?

Nie będą chcieli szczegółów w londyńskich gazetach. Będzie im znacznie łatwiej usunąć cię z kraju.

alous

- Proszę mi wierzyć - powiedział Hamilton - będę dyskretny.

- Dyskretny reporter. To coś nowego - mruknął Guy.

- Nie wydrukuję ani słowa, zanim pani stąd nie wyjedzie.

- Wietnamczycy nie są idiotami Dowiedzą się, nad czym pracujesz.

scand

- Wymyślę przykrywkę, żeby ich zbić z tropu.

- Sprawa jest delikatniejsza, niż myślisz, Hamilton.

- Pisałem już o delikatnych sprawach. Kiedy mówię, że coś jest nie do druku, trzymam się tego.

- Poddaję się. - Willy wstała. - Idę spać.

- Nie skończyliśmy rozmowy - zaprotestował Guy.

- Ty i ja dawno już skończyliśmy rozmawiać.

109

- A co z jutrem?

- A co z moim wywiadem?

- Hamilton- powiedziała-jeżeli szukasz brudów, dlaczego nie porozmawiasz z nim? - Wskazała na Guya i opuściła lokal.

- Co to za brudy? - zapytał Hamilton. Guy tylko się uśmiechnął.

Uśmiech nie schodził mu z ust, kiedy zgniatał w ręku puszkę po piwie.

Boże, strzeż mnie od palantów tego świata, prosiła Willy ze znużeniem, wsiadając do windy. A nade wszystko strzeż mnie przed Guyem Barnardem. Oparła się o ścianę i czekała, aż winda dowlecze się na czwarte piętro. Śmierdziało alkoholem i potem. Wysoko w szybie słychać było stłumione piski nietoperzy. Czy można pragnąć więcej? Cudownie. Nietoperze i Guy Barnard.

alous

Gdyby tylko mogła wykorzystać jego doświadczenie i więcej go nie oglądać! Jest sprytny i obyty, ma kontakty. Szkoda, że nie może mu ufać. Na myśl o bliskiej współpracy poczuła podniecenie. Zły znak. Ten facet na nią działa.

Po prostu nie będę o nim myśleć. To nie czas ani miejsce, ani scand

sytuacja. Ani właściwy facet.

Winda stanęła z jękiem i drzwi rozsunęły się na pusty zewnętrzny korytarz. Zobaczyła, jak za balustradą w górę wzbija się chmara nietoperzy. Ręce się jej trzęsły, gdy w półmroku szukała klucza.

Grzebiąc w torebce, kątem oka dostrzegła jakąś postać. Szósty zmysł albo przeczucie zagrożenia kazało jej się odwrócić. Z cienia 110

wyszedł mężczyzna. Przez moment widziała błyszczące włosy i nieruchomą twarz, jakby odlaną z wosku. Coś przykuło jej wzrok. Coś w jego ręku. Nóż.

Upuściła torebkę i rzuciła się przed siebie, za zakręt korytarza, w kierunku schodów. Mężczyzna był tuż za nią. Nie schylił się po torebkę. To jej chciał dopaść.

Do schodów. Piętro niżej jest sala balowa. Tam są ludzie. Będzie bezpieczna...

Nagle, poprzez mgłę paniki, zobaczyła, że droga ucieczki jest odcięta. W drugim końcu korytarza stanął inny facet. Nie widziała wyrazu jego twarzy, dostrzegła tylko błysk. Zatrzymała się i odwróciła. Wtedy usłyszała, że coś świsnęło obok jej policzka. Nóż.

Odruchowo podniosła go i zaczęła nim wymachiwać. Przenosiła alous

wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Brali ją w kleszcze.

Jej krzyk utonął w muzyce tanecznej, odbił się echem od ścian i popłynął w ciemność.

Nikt mnie nie słyszy, pomyślała w desperacji. Rozejrzała się, szukając drogi ucieczki. Przed nią, za balustradą, cztery piętra niżej, scand

było podwórko. Za nią, wtopiony w połać kwadratowego dachu, szyb klimatyzacyjny. Poniżej kraty obracał się wentylator o łopatach szerokich jak śmigła samolotu. Powiew gorącego powietrza wydymał

jej spódnice.

Mężczyźni zbliżali się, by ją zabić.

111

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie miała wyboru. Przeszła przez barierkę i wyskoczyła na kratę. Ta wygięła się pod jej ciężarem, przybliżając ją niebezpiecznie do wentylatora. Kawałek zardzewiałej blachy wpadł do środka; hałas gnieczonego metalu ją ogłuszył.

Powoli okrążyła kratę, by schronić się na bezpiecznej wysepce dachu. Nogi jej drżały, bo znalazła się w ślepych zaułku - niżej była przepaść. Od zabójców dzieliła ją tylko przerdzewiała krata.

Mężczyźni zastanawiali się, jak do niej dotrzeć. Musieliby przejść przez kratę, a ta ledwie

wytrzymała ciężar Willy. Nie zaryzykują, pomyślała, patrząc na obracające się łopaty wentylatora.

alous

Ale ku jej przerażeniu jeden z nich przeskoczył przez barierkę i stanął na kracie, która wprawdzie się wygięła, ale wytrzymała jego ciężar. Willy zobaczyła w jego beznamiętnych oczach determinację człowieka, który ma po prostu zadanie do wykonania. Jestem w pułapce!

scand

Mężczyzna był już w połowie drogi, trzymając nóż w gotowości.

Ona trzymała swój i wycofywała się na krawędź dachu. Teraz miała tylko dwie możliwości: skok z czwartego piętra albo walkę na noże z profesjonalistą. Obydwie beznadziejne.

Przykucnęła i czekała. Mężczyzna zrobił następny krok, ostrze było coraz bliżej.

Nagle hałas nocy rozerwał huk wystrzału.

112

Willy w osłupieniu patrzyła, jak zabójca złapał się za brzuch, a potem spojrzał zdumiony na zakrwawioną rękę. Jak marionetka, której przecięto sznurki, upadł na kratę. Willy zacisnęła powieki, a twarz jej zniekształcił grymas.

Nie widziała, jak ciało spadało, ale słyszała zaburzony stukot łopat wentylatora. Osunęła się na kolana i zwymiotowała w ciemność.

Kiedy torsje minęły, podniosła głowę.

Drugi napastnik zniknął. Po drugiej stronie podwórza, na zewnętrznych schodach, błysnęła broń. Zza balustrady patrzyła na nią drobna twarzyczka. Skąd ten chłopak tam się wziął, dlaczego uratował

jej życie?

- Oliver? - zawołała przytłumionym głosem. Chłopiec przyłożył

palec do ust, a potem wtopił się w ciemność jak duch.

alous

Usłyszała krzyki i odgłos szybkich kroków.

- Willy? Czy coś ci się stało? - Zobaczyła spanikowanego Guya.

- Nie ruszaj się! Idę po ciebie!

- Nie! Krata jest wyłaniana...

Guy zerknął na pracujący wentylator, po czym rozejrzał się i scand

znalazł pod oknem drabinę. Przełożył ją przez balustradę i oparł na obramowaniu kraty. Przedostał się przez poręcz i stanawszy na drabinie, wyciągnął do niej rękę.

- Postaw lewą nogę na drabinie i złap mnie za rękę. Nie spadniesz, przysięgam. Chodź, kochanie. Tylko wyciągnij rękę.

Patrzyła na- twarz Guya, napiętą i błyszczącą od potu. Na jego wyciągniętą dłoń. Wiedziała, że może powierzyć mu swoje życie.

113

Zaczerpnęła powietrza dla kurażu i wykonała krok naprzód, ponad ostrzami łopat.

Jego dłoń momentalnie zacisnęła się na jej dłoni. Na ułamek sekundy zachwiała się, ale uścisk Guya przywrócił jej równowagę.

Powoli przechyliła się w jego kierunku, na tę część drabiny, na której on sam z trudem balansował.

- Mam cię! - zawołał i porwał ją w ramiona, jak najdalej od zięjącego szybu. Przerzucił jak piórko przez poręcz balustrady i postawił w bezpiecznym miejscu. - Już w porządku - szeptał, obejmując ją.

Czuła, jak wali mu serce, i zrozumiała, jak bardzo się o nią bał.

Dygotała tak, że z trudem utrzymywała się na nogach. Nie miało to znaczenia. Guy nie pozwoli jej upaść. Oboje zamarli na odgłos ostrej komendy wypowiedzianej po wietnamsku. Tłum, który zdążył się już zebrać, rozstał się, by przepuścić policjanta. Willy musiała zmrużyć oczy, gdy oślepiło ją ostre światło latarki. Potem światło przesunęło się w otchłań szybu klimatyzacyjnego i rozległ się zbiorowy okrzyk przerażenia.

scand

- Dobry Boże! - usłyszała głos Dodge'a Hamiltona. - Co za jatka!

Pan Ainh się pocił. Był głodny i zmęczony i musiał jak najszybciej udać się do toalety.

Ale to wszystko musi poczekać. Tego nauczył się na wojnie -

cierpliwości. Zwycięstwo przychodzi do wytrwałych. Powtarzał to sobie, siedząc na twardym krzeselku i wpatrując się w drewniany blat stolika.

114

- Byliśmy nieostrożni, towarzyszu - powiedział minister cicho, ale władza nie musi krzyżeć.

Mężczyzna miał oczy niczym gładkie, połyskliwe kamienie rzeczne. A chociaż twarz poorany

zmarszczki, a srebrne włosy były delikatne jak pajęczyna, oczy zdawały się należeć do kogoś młodego -

odważne, czarne i błyszczące.

- Śmierć amerykańskiej turystki postawiłaby nas w trudnej sytuacji - dodał.

Ainh mógł się tylko potulnie zgodzić.

- Jest pan pewien, że pani Maitland nie odniosła obrażeń?

Ainh odchrząknął i kiwnął głową.

- Ten Barnard - głos ministra nabrał ostrości brzytwy - zapobiegł

międzynarodowemu incydentowi, do czego nasi ludzie nie byli zdolni.

alous

- Nic tego nie zapowiadało. Nie było powodu przypuszczać, że coś może się wydarzyć.

- Zamach w Bangkoku, czy to nie było ostrzeżenie?

- Próba rabunku. Tak mówi raport...

- A raporty się nie mylą, prawda? Najpierw Bangkok, dzisiaj scand

Sajgon. Ciekawe, w co nasza turystka się zaplątała.

- Te dwa ataki nie muszą być ze sobą powiązane.

- Wszystko, towarzyszu, jest ze sobą powiązane. Czy pan Barnard i panna Maitland - minister ujął to delikatnie - są ze sobą związani?

- Myślę, że nie. Nazwała go palantem. Minister roześmiał się.

115

- Pan Barnard ma kłopoty z kobietami! Rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł urzędnik.

Położył raport na biurku ministra i się wycofał.

- Jakiś postęp w dochodzeniu? - zapytał Ainh.

- Tak. Poskładali kawałki dokumentów ofiary. Był notowany.

- Bandyci zrobią wszystko dla kilku tysięcy dongów.

- To nie był napad rabunkowy. Miał związki z władzą reżimową.

Ainh przebiegł wzrokiem raport podany przez ministra.

- Jest tu wzmianka o kuzynce. Robotnica w fabryce. Pół-krwi Francuzka.

- Jest przesłuchiwana. Zajrzymy do niej?

Chantal siedziała na drewnianej ławie i usiłowała zabić wzrokiem przesłuchującego ją policjanta.

alous

- Nic nie zrobiłam! Dlaczego miałabym życzyć śmierci jakiejś amerykańskiej dziwce? Jeszcze nie zwariowałam. Całą noc byłam w domu! Pogadajcie ze starym, który nade mną mieszka! Słuchałam radia, a ten dupek walił w mój sufit!

- Jesteś kontrrewolucjonistką! Ty i twój kuzyn!

scand

- Prawie go nie znam.

- Pracujecie razem.

- Pracuję w fabryce. Nie mam z nim nic wspólnego. Policjant postawił torbę na stole.

- Kawior. Szampan. Pasztet. Czy robotnica może sobie na to pozwolić?

116

Chantal zacisnęła usta i milczała. Policjant uśmiechnął się i kazał strażnikowi wyprowadzić ją, a potem zwrócił się do ministra i Ainha.

- Jak pan widzi, panie ministrze, nie współpracuje. Ale to kwestia czasu.

- Wypuście ją.

- Zapewniam pana, że zmusimy ją do zeznań. Minister Tranh uśmiechnął się.

- Są inne sposoby, by uzyskać informacje. Wypuście ją, a mucha sama przyleci do miodu.

Policjant wyszedł. Jasne, że minister ma więcej doświadczenia, po tylu latach w wywiadzie wojskowym.

Tranh obejrzał butelkę i westchnął.

alous

- Ach, Taittinger, mój ulubiony, jeszcze z Paryża... Mam wrażenie, że pani Maitland jest wmieszana w coś groźnego. Może zadaje za wiele pytań. Budzi śpiące od lat smoki.

- Ma pan na myśli jej ojca? To już bardzo stary smok.

- Ale może jeszcze nie pokonany...

scand

Jeden ze strażników zamachnął się gazetą i strącił ze stołu wypasionego wędrującego karalucha, po czym spokojnie pisał dalej.

- Jeszcze raz, panno Maitland. Proszę opowiedzieć, co się stało -

rzekł oficer.

- Powiedziałam już wszystko.

- Chyba coś pani pominęła.

- Nie.

117

- Ależ tak. Ktoś strzelał.

- Nikogo nie widziałam.

- Są świadkowie. Słyszeli strzał.

- Powiedziałam panu, nikogo nie widziałam. Krata była przerdzewiała i on wpadł.

- Dlaczego pani kłamie?

- Niech pan da jej spokój! Powiedziała wszystko, co wie. Nie możecie jej trzymać bez końca! - zaprotestował Guy.

- Wypuścimy ją, kiedy powie prawdę. - Policjant nonszalancko wzruszył ramionami i wyszedł.

- Czego oni ode mnie chcą? Dlaczego nie zostawią mnie w spokoju?

- Mam wrażenie, że na coś czekają. Czyjaś zgodę...

alous

- Czyją?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Mijała północ. Po pierwszej zjawił się pan Ainh, blady jak prześcieradło.

- Przepraszamy za kłopot, ale proszę zrozumieć... - rzekł

scand

skruszonym głosem.

- Kłopot? Pani Maitland omal nie zamordowano i siedzi tu już od trzech godzin. Co się, do cholery, dzieje? - krzyknął Guy.

- Sytuacja jest... niezwykła. Napad rabunkowy na cudzoziemkę...

- Pan twierdzi, że to rabunek? - Guy nie wierzył własnym uszom.

118

Widać było, że Ainh czuł się niezręcznie. Zamienił kilka słów ze strażnikiem, a potem skłonił się głęboko.

- Policja mówi, że może pani iść. W imieniu wietnamskiego rządu przepraszam za ten niefortunny incydent. To, co się zdarzyło, nie odzwierciedla naszego szacunku i przyjaznych uczuć dla narodu amerykańskiego. Mamy nadzieję, że nie zepsuje to reszty pani wycieczki.

- Ależ skąd? To tylko drobne usiłowanie zabójstwa! - Guy nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Jutro rano będzie pani mogła kontynuować wycieczkę - dodał

Ainh pospiesznie.

- Z jakimi restrykcjami?

- Żadnymi. Nie mamy nic do ukrycia, w przeciwieństwie do alous

tego, co twierdzi wasza propaganda.

- No pewnie - mruknął Guy sucho.

- Nie rozumiem. Najpierw godzinami cię maglują, a potem dają ci wolną rękę. To nie ma sensu.

Willy z okna taksówki patrzyła na ulice Sajgonu. Gdzeniegdzie scand

błyskało w ciemnościach światelko. Uliczny sprzedawca pochylał się nad parującym kociołkiem. Przez otwarte drzwi i zasłony z koralików widać było śpiące dzieci, zwinięte w kłębuszki jak małe kotki.

- Nic nie ma sensu w tym kraju, wśród tych ludzi. Ani to, co się wydarzyło...

Poprzez otępiające wyczerpanie zaczęło docierać do niej przerażenie. Guy przyciągnął ją do siebie i kiedy poczuła powolne i równe bicie jego serca, drzenie jej ciała ustąpiło.

- Już dobrze, Willy. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało -

wyszeptał i pocałował ją delikatnie w czoło.

Kiedy taksówkarz zatrzymał się przed hotelem, Guy musiał jej pomóc wysiąść i przeprowadzić przez koszmarne oświetlony hol, a potem podtrzymać w windzie. Pomógł jej potem przejść przez ciemny korytarz, obok szybu wentylacyjnego. Nawet nie pytał, czy będzie potrzebowała towarzystwa; po prostu otworzył drzwi swojego pokoju i posadził ją na łóżku. Zamknął drzwi na klucz i zastawił krzesłem.

Zmoczył ręcznik ciepłą wodą i łagodnie wytarł jej pobladłą twarz. Poczł wariackie pragnienie, by ją pocałować, jak gdyby mogło alous

to tchnąć w jej ciało życie. Wiedział, że by go nie odepchnęła; nie miała siły. Ale to nie byłoby w porządku.

- Dobrze, już dobrze... - wyszeptał, odgarniając włosy z jej twarzy.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

scand

- Za co?

- Za to, że tu jesteś.

- Zostanę całą noc. Nie zostawię cię, jeżeli tego nie chcesz.

Skinęła głową. Widział, jaka jest zmęczona i wyczerpana. Nie tak miało być. Zależy mi na niej, pomyślał.

- Jesteś bezpieczna. Rano wrócisz do domu, nawet jeżeli będę musiał sam wsadzić cię do samolotu.

120

- Nie mogę. - Potrząsnęła przecząco głową.

- Co to znaczy, nie możesz?

- Mój ojciec...

- Zapomnij o nim. Nie jest tego wart.

- Obiecałam...

- Obiecałaś matce tylko odpowiedź. Nie ciało. Nie jakiś oficjalny raport z pieczętą. A odpowiedź masz. Powiesz jej, że nie żyje, że zginął w katastrofie. I to pewnie prawda.

- Nie mogę jej okłamać.

- Musisz.

Wziął ją za ramiona i zmusił, by popatrzyła mu w oczy.

- Willy, ktoś chce cię zabić. Dwa razy nie trafił. A za trzecim?

Czy czwartym?

alous

- Po co mnie zabijać? Nic nie wiem!

- Może nie chodzi o to, co wiesz, tylko czego możesz się dowiedzieć.

- Że mój ojciec nie żyje? A może żyje? Jaką to może sprawiać komuś różnicę?

scand

- Nie wiem. Gdybyśmy mogli porozmawiać z Oliverem i dowiedzieć się, dla kogo pracuje...

- Przecież to dzieciak!

- Widocznie nie. Może mieć szesnaście czy siedemnaście lat.

Wystarczy, żeby zostać agentem.

- Dla Wietnamczyków?

121

- Nie. Gdyby tak było, po co by znikał? I dlaczego policja go szuka?

- Ocalił mi życie. Nawet nie wiem dlaczego.

Był zbyt zmęczony, by pomyśleć. Wyciągnął dłoń i pogłaskał jej twarz. Chociaż była spięta, nie odrzuciła go. Kiedy ich usta się spotkały, poczuł, jak przebiega przez nią dreszcz. Chciałaś tego tak jak ja, pomyślał. Całował ją do chwili, aż zdał sobie sprawę, że jeżeli nie przestanie, to za chwilę zrobi coś, czego będzie żałował.

Pragnę jej bardziej niż kiedykolwiek pragnąłem innej kobiety, pomyślał. Położyła mu rękę na piersi i wyszeptała: „Nie”. Gdyby nie jej oczy, zignorowałby to. Był w nich strach i skrajne wyczerpanie.

Nie takiej Willy pragnął.

Popatrzyli na siebie zdumionym wzrokiem.

alous

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Wyglądałaś tak, jakbyś potrzebowała pocałunku.

- Ale nie twojego.

- Chyba cię dawno nikt nie całował, prawda?

Nie odpowiedziała, ale wiedział, że ma rację. Co za szkoda, scand

pomyślał.

Czy to aż tak widać? - przeraziła się Willy. Rzeczywiście nikt jej od dawna nie całował, a już na pewno nie tak. Lata praktyki. Z

jakiegoś wariackiego powodu znenawidziła wszystkie kobiety, które Guy całował przed nią, a jeszcze bardziej te, które dopiero pocałuje.

Rzuciła się na łóżko i odwróciła tyłem.

122

- Zostaw mnie. Mam tego dosyć. Mam ciebie dosyć. Jestem zmęczona. Chce mi się spać! - krzyknęła.

Nie odpowiedział, ale poczuła, jak pogłodził jej włosy. To było tylko muśnięcie palców, ale zrozumiała, że nie odejdzie, że zostanie na całą noc, strzegąc jej.

Wstał i zgasił lampę. Sprawdzał okna i drzwi. Kiedy położył się obok niej, przestraszyła się, że znowu ją pocałuje, choć jednocześnie miała nadzieję, że to zrobi.

- Guy? - wyszeptała.

- Tak?

- Boję się.

Wyciągnął do niej rękę. Z ufnością pozwoliła mu, by przytulił ją do siebie. Poczuli się bezpieczni.

alous

- To normalne, że się boisz. Nawet jeżeli jesteś córką Dzikiego Billa - powiedział szeptem.

Nie mam wyboru, pomyślała, leżąc w jego ramionach.

Najgorzej, że nigdy nie chciała być córką legendarnego bohatera. Nie chciała od Dzikiego Billa chwały, odwagi czy blasku jego sławy.

scand

Chciała tylko mieć ojca.

Siang przykucnął w śmierdzącej kałuży i obserwował chatę Chantal. Minęły już dwie godziny, a na chodniku wciąż tkwił jakiś człowiek. Agent policyjny, i to niezbyt sprawny. Czyżby chrapał?

Siang postanowił działać. Wyciągnął nóż, bezszelestnie wysliznął się z cienia i zbliżył się do mężczyzny, który przestał

123

chrapać i próbował otrząsnąć się ze snu. Złapał go za włosy i podciął

mu gardło.

Nie było krzyku, tylko bulgotanie, a potem syk resztek powietrza uchodzącego z płuc. Siang przeciągnął ciało na tyły domu i zepchnął

je do rynsztoka. Potem wszedł przez uchylone okno do mieszkania Chantal.

Spała, ale kiedy zasłonił jej usta dłonią, zerwała się natychmiast.

- To ty! Niech cię szlag, mam przez ciebie kłopoty!

- Co powiedziałaś policji?

- Zjeżdżaj! Nic im nie powiedziałam.

- Kłamiesz.

- Masz mnie za idiotkę? Myślisz, że przyznałabym się, że mam znajomych w CIA?

alous

Kiedy usiadła, otarła się pierśią o jego ramię. Ta stara kurwa wciąż śpi nago, pomyślał, czując przypływ pożądania.

Wstała z łóżka i włożyła szlafrok.

- Nie zapalaj światła - poprosił.

- Na ulicy jest tajniak. Co z nim zrobiłeś?

scand

- Zająłem się nim.

- A co z ciałem?

- W kanale, za domem.

- Bardzo mądrze. O to też mnie oskarżą. Zapaliła papierosa. W

przelotnym błysku zapalki zobaczył jej twarz otoczoną koroną czarnych włosów. W przytłumionym świetle wyglądała dość ponętnie, młodo i apetycznie.

124

- Co się działo na policji?

- Pytali mnie o kuzyna. Powiedzieli, że nie żyje. To prawda?

- Nie było wyjścia.

Chantal wybuchnęła śmiechem.

- Ona to zrobiła? Ta amerykańska dziwka? Nie umiecie nawet wykończyć baby. Siang, obsuwasz się.

Już miał ją uderzyć, ale się powstrzymał. Ona ma rację. Obsuwa się.

Zaczęła przemierzać pokój niczym kot, pewna swoich ruchów mimo ciemności.

- W co ty mnie wrobiłeś?

- Daj mi papierosa. - Wzruszył ramionami.

- Kup sobie! Nie będę tracić na ciebie forsy!

alous

- Dostaniesz forszę, ile zechcesz. Ale obiecałaś mi broń. I dwudziestkę amunicji.

- Amunicję trudno dostać.

- Nie mogę dłużej czekać.

Zamarli, bo drzwi zaskrzypiały i się otworzyły. Policja, pomyślał

scand

Siang, sięgając po nóż.

- Ma pan rację, panie Siang - odezwał się ktoś doskonalą angielszczyzną. - Trzeba to zrobić, ale jeszcze nie teraz.

Intruz wyjął zapalki i ze spokojem zapalił stojącą na stole lampę naftową.

Oczy Chantal zaokrągliły się ze zdumienia. I strachu.

- To ty. Wróciłeś... - wyszeptała.

125

Intruz uśmiechnął się, położył na stole pistolet i pudełko amunicji kalibru 9,6 milimetra, a potem spojrzał na Sianga.

- Drobną zmianę planów.

alous

scand

126

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Latała wysoko nad chmurami, gdzie niebo było tak czyste, że zdawało się, że samolot pływa w kryształowym morzu. Skrzydła cięły powietrze niczym jedwab. Jakiś głos powiedział: „Wyżej, mała.

Musisz wspiąć się wyżej, jeżeli chcesz dosięgnąć gwiazd”.

Ojciec siedział w fotelu drugiego pilota, otoczony chmurą srebrnego dymu. Wyglądał tak, jak go zapamiętała: czapka pod zawadiackim kątem, błysk w oku. Tak wyglądał, kiedy go kochała.

Kiedy był najodważniejszym tatą na świecie.

- Ale ja już nie chcę wyżej.

- Chcesz. Aż do gwiazd.

alous

- Boję się, tato. Nie każ mi...

Przejął stery i poszybował w górę, ku niebieskiej kopule.

- Na tym to polega, moje dziecko.

Jego głos się zmienił, bo to już nie on siedział za sterami, lecz Guy Barnard, i leciał w nieskończoność.

scand

- Do gwiazd!

A potem znów pojawił się jej ojciec. Spróbowała wyrwać mu stery, ale zostały jej w rękach. Niebo mieli teraz pod sobą, Guy się śmiał, ojciec też, i znowu lecieli wyżej.

- Kim jesteś? - zawołała.

- Nie znasz mnie? - zapytało widmo. Zbudziła się.

- To ja - powiedział głos.

- Tato!

127

Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie.

- Niezupełnie.

Zamrugała i skoncentrowała wzrok na twarzy Guya, jego rozwichrzonych włosach i nieogolonym podbródku. Zza firanek przenikało światło dnia.

- Zły sen?

Pojękując, usiadła i odgarnęła z twarzy włosy.

- Zwykle to mi się nie zdarza.

- Po ostatniej nocy dziwiłbym się, gdyby coś ci się nie śniło.

Ostatnia noc. Ciągle miała na sobie zbryzganą krwią sukienkę, teraz moką i oblepiającą plecy.

- Nie ma prądu - oznajmił Guy, poszturchując klimatyzator.

Podszedł do okna i odsunął firankę.

alous

Wtargnęło słońce tak ostre, że aż ją zabolowały oczy.

- Będzie upał.

- Już jest.

- Dobrze się czujesz?

Stał przy oknie w samych spodniach.

scand

- Gorąco mi. Muszę wziąć prysznic. Ktoś zastukał.

- Kto tam? - zawołał Guy.

- Panie Barnard? Już ósma. Samochód czeka.

- To mój kierowca.

Guy odsunął zasuwę i w drzwiach stanął uśmiechnięty Wietnameczyk.

- Dzień dobry! Dalej chce pan jechać do Cantho?

128

- Chyba nie - odrzekł Guy i dyskretnie wyszedł na korytarz. -

Chciałbym po południu odwiedzić panią Maitland na lotnisko.

Cantho. Willy usiadła, usiłując sobie przypomnieć, dlaczego ta nazwa jest tak ważna. Aha, tam jest ktoś, z kim powinna porozmawiać. Ktoś, kto coś wie. Pomyślała o umierającej matce i usłyszała jej pytanie: „Jesteś pewna, Willy, że nie żyje?”.

A ona znowu skłamię, nienawidząc samej siebie za tchórzostwo i za to, że nigdy nie sprostła legendzie ojca. I jego odwadze.

- Poczekaj - powiedział Guy. - Samolot jest o czwartej, więc powinniśmy wyjechać około...

- Jadę do Cantho - oświadczyła Willy.

- Co?

- Powiedziała, że jadę do Cantho. Mówiłeś, że mnie alous

zabierzesz.

Potrząsnął głową.

- Wszystko się zmieniło.

- Nic się nie zmieniło.

- Zmieniła się stawka.

scand

- Ale pytania nie zniknęły. Guy odwrócił się do kierowcy.

- Przepraszam. Muszę przemówić pani do rozsądku...

Willy zdążyła już wstać.

- Nie rób sobie kłopotu, nic nie działaasz. - Poszła do łazienki i zamknęła drzwi. - Jestem córką Dzikiego Billa Maitlanda.

Zapomniałeś? - zawołała.

Kierowca popatrzył na Guya ze współczuciem.

129

- Pójdę po samochód.

Drogę do Sajgonu zakorkowały ciężarówki, w większości zdezelowane, wypluwające chmury czarnych spalin. Przez otwarte okna dochodził smród dymu i gnijących owoców. Wzdłuż drogi, na tle pól ryżowych, ciągnęły sznury wieśniaków w stożkowatych kapeluszach.

Pięć godzin później, po dwóch przeprawach promem, Guy i Willy stanęli na nabrzeżu w Cantho. Błotnistym Mekongiem płynęły łodzie, na których ludzie wiosłowali pochyleni w dziwnym, lecz pełnym gracji tańcu. Na brzegach panował hałas i zamieszanie jak na targu.

Ulicami przemykały na rowerach uczennice o błyszczących włosach zaplecionych w warkoczyki. Robotnicy wyładowywali worki alous

ryżu, skrzynki melonów i ananasów.

- Jak my go tu znajdziemy? - zapytała Willy. Rzeczywiście nie było to łatwe.

- Wysoki? Blondyn? - W odpowiedzi ludzie kręcili głową.

W końcu Guy wpadł na pomysł, który zaprowadził ich do kilku scand

warsztatów krawieckich.

- Mógł ufarbować włosy lub wyłysieć. Ale nie może ukryć wzrostu. A w tym kraju ktoś, kto jest wysoki, musi szyc sobie ubrania.

Wizyta u pierwszych trzech krawców nie przyniosła rezultatu.

Byli już zniechęceni, kiedy weszli do czwartego sklepiku, wciśniętego w wąski przesmyk między chatami. W półmroku siedziała starsza już kobieta, pochylona nad górą sztucznego jedwabiu. Guy nabazgrał

130

kilka słów po wietnamsku na kawałku gazety, narysował też sylwetkę wysokiego mężczyzny.

Krawcowa zerknęła na rysunek i przez dłuższy czas siedziała, ugniatając palcami błyszczący materiał. Kiedy podniosła w końcu wzrok, nie padło ani jedno słowo.

Guy sięgnął do kieszeni i położył na stole dwudziestodolarowy banknot. Dla kobiety była to fortuna.

Wzięła pióro Guya i z bolesną precyzją zaczęła pisać. Gdy skończyła, Guy złapał papier i wsadził go do kieszeni.

- Idziemy - powiedział do Willy. Przyspieszył kroku, a ona zorientowała się, że są ze wszystkich stron obserwowani.

- Guy. - Pociągnęła go za ramię.

- Mamy adres. To koło targu.

alous

- Lassitera?

- Nic nie mów. Śledzą nas.

- Co?

Złapał ją za rękę, zanim zdążyła się obejrzeć.

- Udawaj, że go nie widzisz.

scand

Jak on może zachowywać zimną krew? Gwizdał jakąś mało melodyjną piosenkę, która działała jej na nerwy. U wylotu uliczki natrafili na labirynt zabudowań. Ku jej zdziwieniu Guy zatrzymał się i nawiązał żartobliwą rozmowę z chłopcem sprzedającym papierosy.

- Co robisz? Chodźmy już stąd.

131

- Zaufaj mi - odparł Guy i kupił paczkę winstonów.

Rozradowany sprzedawca zasalutował. - Przygotuj się - dodał i chwycił ją za rękę.

- Na co?

W tej samej chwili pociągnął ją za róg w inną wąską alejkę.

Skręcili w lewo, w prawo, za baraki pokryte blachą i weszli w otwarte drzwi.

Skulili się w ciemnościach, nad słuchując kroków. W oddali słyszeli śmiech dzieci i klakson samochodu.

- Chłopak zrobił swoją robotę - szepnął Guy.

- Ten od papierosów?

- Tak. Zgubiliśmy ich. Wiejmy stąd.

Zanim zobaczyli targ, dotarli do nich jego odgłosy - okrzyki alous

kupców i chrząkania świń. Trzymali się obrzeży i sprawdzali nazwy uliczek, aż natrafili na wąskie przejście pomiędzy dwiema kamieniczkami.

Zatrzymali się przed obdrapanym zielonym budyneczkiem.

- To tu - oświadczył! Guy.

scand

Drzwi się otworzyły i zawisło na nich oko z tęczą tak czarną, że źrenicy nie było wcale widać. Jeden rzut oka na fragment kobiecej twarzy wystarczył im, by zrozumieć, że się boi. Guy powiedział coś po wietnamsku, a kobieta pokręciła głową i spróbowała zamknąć drzwi. Guy wyciągnął rękę, by ją powstrzymać i powiedział głośno:

- Sam Lassiter.

132

W panice kobieta odwróciła się i zawołała coś po wietnamsku.

Gdzieś w głębi domu zabrzmiał odgłos kroków, a potem wybijanej szyby.

- Lassiter! - krzyknął Guy, odepchnął kobietę i pobiegł w głąb mieszkania. Willy ruszyła za nim.

W pokoju na tyłach znaleźli okno z wybitą szybą, a alejką biegł

jakiś człowiek. Guy wyskoczył na potłuczone szkło i pobiegł za uciekinierem.

Willy miała pójść w ich ślady, kiedy zrozpaczona Wietnamka złapała ją za rękę.

- Proszę! Nie robić nic złego! - zaczęła płakać. Na moment, gdy Willy usiłowała wyrwać się z uścisku kobiety, ich palce się zaplotły, a oczy spotkały.

alous

- Nie zrobimy mu krzywdy - obiecała Willy łagodnie i uwolniła dłoń, po czym wyskoczyła na uliczkę.

Guy już go doganiał. To musi być Lassiter. Wprawdzie włosy miał za ciemne, ale górował nad tłumem wzrostem. Zniknął na chwilę pod dachem targowiska.

scand

Cholera, zaklął Guy, zgubię go.

Rzucił się pod główny namiot i oślepl na chwilę od blasku słońca. Na stoiskach piętrzyły się owoce i warzywa, gdzieś z boku jednak zdołał dostrzec wysoką postać. Lassiter skulił się za piramidą garnków.

Guy przedzierał się w jego kierunku, kiedy ten nagle skoczył, a garnki i patelnie się rozsypały.

133

- Lassiter! Chcę porozmawiać! Tylko porozmawiać!

Mężczyzna rzucił się w boczną uliczkę, rozrzucając górę arbuzów. Guy omal się nie wywrócił w czerwonym błocie.

- Lassiter!

Gonitwa przeniosła się pomiędzy kramy z mięsem. Lassiter w desperacji rzucił klatką z kaczkami, które natychmiast wybrały wolność. Sprzedawca polewał betonową podłogę wodą, która czerwonym strumieniem spływała do ścieku. Lassiter pośliznął się i wpadł po kolana do skrzyni z podrobami. Zanim się pozbierał, Guy trzymał go już za kołnierz.

- Tylko... porozmawiać - wykrztusił, łapiąc oddech.

Lassiter próbował się uwolnić i obaj stracili równowagę. Gdy spróbował się podnieść, Guy złapał go za kostkę. Olbrzym poleciał do alous

przodu i wpadł głową w kocioł wijących się węgorzy. Kiedy Guy go wyciągnął, obaj padli na pokryty śluzem beton.

- Nie! Proszę... - zaszlochał Lassiter.

- Tylko porozmawiać...

- Nic nie powiem! Przysięgam. Powiedz im. Powiedz, że o scand

wszystkim zapomniałem...

- Komu? Kogo się boisz? - Guy potrząsał go za ramiona.

Lassiter nabrał powietrza i jakby podjął decyzję.

- Firmy.

- Dlaczego CIA chce twojej śmierci? - zapytała Willy.

Siedzieli przy drewnianym stole na pokładzie starej barki rzecznej. Teren neutralny, tak Lassiter ją nazwał. Podczas wojny, na 134

podstawie niepisanej umowy, spędzali tu czas żołnierze Wietkongu i Wietnamu Południowego, ciesząc się chwilą pokoju.

O kilometr dalej szalała wojna, ale tu nikt nie wyciągał broni i nie świstały kule. Za nimi płynął Mekong, a na nim łodzie. Wodę złociły ostatnie promienie zachodzącego słońca. Lassiter, wychudzony i nerwowy, łyknął piwa.

- Z jakiegoś względu chcą mnie mieć z głowy, tak jak Valdeza.

Za dużo wiem.

- O czym?

- O Laosie. Bombardowaniach, zrzutach broni. O tym, czego nie wiedział zwykły żołnierz. Ty wiedziałeś?

- Chcieliśmy tylko przeżyć. Nic nas nie obchodziło, co działo się za granicą.

alous

- Valdez wiedział. Każdy, kto był w Laosie, wiedział.

- Poznałeś go w Tuyen Quan?

- Tak. Siedzieliśmy w tej samej celi przez trzy lata. Byłem w sto pierwszej, kiedy dostałem się do niewoli. Odłączyłem się podczas ognia. Wiesz, jak jest w dolinach. Dżungla jest tak gęsta, że nie wiesz, scand

gdzie ziemia, a gdzie niebo. Kręciłem się w kółko i cały czas słyszałem tuż nad głową te cholerne helikoptery, które zabierały ludzi.

Wszystkich, tylko nie mnie. Zrozumiałem, że mnie zostawili, żebym umarł. Albo już umarłem, i tylko trup łazi między drzewami... Kiedy mnie otoczyli, rzuciłem broń i podniosłem ręce. I tak znalazłem się w obozie.

- Gdzie spotkałeś Valdeza.

135

- Przywieziono go rok później z obozu w Laosie. Wtedy już byłem starym wygą. Wiedziałem, co jest grane, miałem własną grządkę. Dawałem sobie radę. Valdez ledwo żył. Miał żółtaczkę i złamaną rękę, która nie chciała się zrosnąć. Minęło kilka miesięcy, zanim mógł zacząć pracować w ogrodzie. Dużo gadaliśmy. Nie mogłem uwierzyć w to, co mówił, o Laosie, o tym, co tam robiliśmy...

- Mówił kiedyś o moim ojcu? - spytała cicho Willy.

- Kiedy Valdez widział go po raz ostatni, twój ojciec jeszcze żył.

Próbował zapanować nad samolotem.

- I co się potem stało?

- Luis wyskoczył zaraz po wybuchu.

- Zaczekaj - przerwał mu Guy. - Po jakim wybuchu?

- Był jakiś wybuch w luku bagażowym.

alous

- Ale samolot został zestrzelony.

- Valdez był pewien, że to nie ogień nieprzyjacielski strącił

maszynę. Fakt, ostrzelano ich, ale to było coś innego. Coś, co wywaliło kompletnie drzwi w kadłubie. Bez przerwy gadał o tym, co było w ładunku, ale pamiętał, że w liście przewozowym były tylko scand

części zapasowe do samolotów.

- I pasażer - dodała Willy.

Lassiter potwierdził kiwnięciem głowy.

- Valdez mówił, że to był dziwny jegomość, jak święty. Był

jakimś VIP-em, chociażby z powodu tego czegoś, co nosił na szyi.

- Masz na myśli złoto? Łańcuch? - spytał Guy.

- Jakiś medalion z symbolami religijnymi.

136

- Gdzie mieli go rzucić?

- Poza linią frontu, na terytorium Wietkongu. To była ściśle tajna misja.

- Ale Valdez o niej ci powiedział - zdziwiła się Willy.

- I żałuję.

Lassiter łyknął znów piwa. Jego ręka drżała. Zachodzące słońce zalało rzekę krwistoczerwonymi plamami.

- To śmieszne - dodał. - Zdawało się nam, że wtedy, w obozie, byliśmy pod ochroną. Może to było pranie mózgow, ale strażnicy wpierali Valdezowi, że ma szczęście, że jest jeńcem. Że wie o czymś, co mogło ściągnąć na niego kłopoty. Że CIA by go zabiła.

- Brzmi to jak propaganda.

- Też tak myślałem: że to kłamstwa komuchów chcących go alous

złamać. Zastraszili go. Budził się w nocy, wrzeszcząc, że samolot spada...

Lassiter zapatrzył się na wodę.

- Po wojnie nas zwolnili. Valdez i reszta rozjechali się do domów. Napisał do mnie z Bangkoku. Wysłał list przez pielęgniarkę z scand

Czerwonego Krzyża, którą spotkaliśmy w Hanoi zaraz po opuszczeniu obozu. Angielka, nastawiona trochę antyamerykańsko, ale fajna.

Kiedy przeczytałem list, pomyślałem, że teraz to już biedak naprawdę przegina. Wymyślał głupoty, że nie wolno mu wychodzić, że telefon jest na podsłuchu. Wierzyłem, że kiedy wróci do domu, wszystko się wyprostuje. Wtedy zadzwoniła ta dziewczyna z Czerwonego Krzyża.

Powiedziała, że nie żyje. Że strzelił sobie w głowę.

137

- Myślisz, że to było samobójstwo? - spytała Willy.

- Myślę, że był słabym ogniwem, a Firma nie lubi takiego zagrożenia. Kiedy byliśmy jeszcze w Tuyen, mówił tylko o powrocie do domu, starych koleśiach i miejscach, gdzie łazili. Ja nie miałem do czego wracać, mam tylko siostrę, za którą nie przepadam. Tutaj miałem dziewczynę, którą pokochałem. No i zostałem. Zresztą nie tylko ja. Są też inni faceci. Chowają się w wioskach, w dżungli.

Przystosowali się. Szkoda, że Valdez nie został. Jeszcze by żył.

- Nie jest ciężko? Zawsze być obcym, starym wrogiem? Władze cię nie szykanują?

Lassiter odpowiedział śmiechem i skinął głową w stronę stolika, przy którym siedziało czterech ludzi.

- Przywitałaś się już z miejscową policją? Pewnie cię śledzą od alous chwili, kiedy wjechałaś do miasta.

- Zauważyliśmy - odrzekł Guy.

- Podejrzewam, że są moją ochroną. Zwariowanego Amerykanina. Sam fakt, że żyję, jest dowodem, że to nie jest imperium zła. scand

Podniósł butelkę piwa w toaście dla czterech policjantów.

Popatrzyli na niego z głupimi minami.

- A więc jesteś tutaj, odcięty od reszty świata. Po co CIA miałaby zawracać sobie głowę, żeby cię odnaleźć?

- Nora coś mi powiedziała. Po wojnie została w Hanoi. Pracuje w szpitalu. Mniej więcej rok temu zjawił się jakiś Amerykanin. Pytał, czy wie, jak się ze mną skontaktować. Mówił, że ma pilną

od mojego wuja. Ale Nora jest bystra i dobrze kombinuje.

Powiedziała, że wyjechałem z kraju i że mieszkam w Tajlandii. I bardzo dobrze.

- Dlaczego?

- Bo nie mam żadnego wuja.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał Guy:

- Myślisz, że to był ktoś z Firmy?

- Zastanawiam się. Nie chcę skończyć jak Valdez. Z kulką w głowie.

Łodzie sunęły rzeką jak duchy w półmroku. Zapaliły się papierowe lampiony.

- Przycisnąłem się. Nie robię koło siebie szumu. Nie zwracam na siebie uwagi. Zmieniłem kolor włosów. - Pociągnął za alous

ciemnobrązową kitkę. Jego uśmiech stopniowo gasł. - Miałem nadzieję, że Firma o mnie zapomni. Wtedy zjawiliście się wy i...

chyba spanikowałem.

Barman położył płytę na adapterze. Pod igłą zaskrzeczała wietnamska piosenka miłosna, Przejmująca melodia snuła się jak scand

mgła ponad rzeką. Wiatr poruszał lampionami, a na pokładzie tańczyły cienie. Lassiter wpatrywał się w pięć butelek po piwie ustawionych przed nim. Zamówił szóstą.

- Można się przyzwyczaić, to kwestia czasu. Do rytmu życia, sposobu myślenia. Nikt nie narzeka z powodu nieszczęść. Akceptują życie takim, jakie jest. Podoba mi się to. Po jakimś czasie nabrałem przekonania, że to jedyne miejsce, gdzie naprawdę czuję się 139

bezpiecznie. Może to jedyne miejsce, gdzie ty byłabyś bezpieczna. -

Popatrzył na Willy.

- Nie jestem taka jak ty. Nie mogę spędzić tu reszty życia -

odpowiedziała.

- Chcę ją wsadzić do następnego samolotu do Bangkoku -

oświadczył Guy.

- Bangkoku? - Lassiter prychnął. - To najlepsze miejsce na świecie, żeby kogoś załatwić. W kraju też nie jest bezpieczniej.

Pamiętajcie, co się przytrafiło Valdezowi.

- Ale dlaczego? Przecież nic nie wiem!

- Jesteś córką Billa Maitlanda. Masz bezpośredni związek...

- Z kim? Człowiekiem, który nie żyje? Piosenka skończyła się, słychać było tylko skrzypienie igły. Lassiter odstawił piwo.

alous

- Nie wiem, dlaczego stanowisz dla nich takie zagrożenie. Wiem tylko, że podczas tego lotu zdarzyło się coś złego i że Firma ciągle próbuje to ukryć...

Popatrzył na rząd butelek błyszczących w świetle lampionów.

- Jeżeli kula może kupić milczenie, to jej użyją.

scand

- Myślisz, że ma rację? - zapytała szeptem Willy. Z tylnego siedzenia samochodu patrzyli, jak za oknami przesuwały się osrebrzone światłem księżyca pola ryżowe. Długo nie rozmawiali, ukołysani rytmem jazdy. Ale teraz Willy nie mogła się powstrzymać od zadawania pytań, których się bała.

- A w domu będzie bezpieczniej?

- Sam chciałbym wiedzieć, co masz zrobić. Dokąd jechać...

140

Pomyślała o domu matki w San Francisco. Zawsze wydawał jej się ciepły i bezpieczny. Niebieski wiktoriański domek przy Trzeciej Alei. Tam na pewno nikt by jej nie skrzywdził.

Potem pomyślała o Valdezcie, zastrzelonym w tanim hoteliku w Houston. Dla niego nawet obóz jeniecki był bezpieczniejszy.

Kierowca włożył do odtwarzacza kasetę. Wnętrze samochodu wypełniła smutna wietnamska piosenka śpiewana przez kobietę. Na zewnątrz pola ryżowe falowały jak srebrny ocean. Wszystko było jakieś nierealne, i ta melodia, i te pola w księżycowej poświacie, i niebezpieczeństwo. Tylko Guy był prawdziwy na tyle, by go dotknąć i schronić się w jego ramionach. Oparła głowę na jego ramieniu i dała się ponieść senności. Poczwała jego ramię przytulające ją do piersi, oddech, dotyk warg. Całował ją tak miło...

alous

Szum samochodu nabrał nowego rytmu, stał się jak szept oceanu, łagodne mruczenie fal. Guy całował teraz jej całe ciało, i to już nie w samochodzie, lecz na statku kołyszącym się na czarnym morzu. W żaglach, jak smutna wietnamska pieśń, pojękiwał wiatr.

Pragnęła tak bardzo, by ją kochał, że jej ciało wyrывało się ku niemu, scand

aby uśmierzyć wewnętrzny ból. Ale usta gdzieś odpłynęły i usłyszała, że ma się otrząsnąć.

- Obudź się, Willy...

Otworzyła oczy i zobaczyła, że leży z głową na jego kolanach.

Przez okno widać już było światła miasta.

- Jesteśmy w Sajgonie - wyszeptał, gładząc jej twarz. - Musiałaś być bardzo zmęczona.

141

- Która godzina? - zapytała, siadając. Na zewnątrz ulice były wyludnione.

- Po północy. Zapomnieliśmy o kolacji. Jesteś głodna?

- Nawet nie.

- Ja też nie. To może...

Nagle poczuła, jak Guy zeszywniał.

- Co się dzieje? - mruknął, patrząc przed siebie. Willy podążyła za jego wzrokiem i oczom jej ukazała się surrealistyczna scena.

Główne wejście do hotelu było zablokowane przez armię policjantów uzbrojonych w karabiny maszynowe. Kierowca powiedział coś po wietnamsku. Willy zobaczyła w lusterku jego twarz. Był spocony jak mysz.

Kiedy zatrzymali się przy krawężniku, samochód został

alous

otoczony. Jeden z policjantów otworzył drzwi.

- Zostań w środku - polecił Guy. - Ja to załatwię.

Ale gdy wysiadł, czyjeś umundurowane ramię sięgnęło po Willy i wyciągnęło ją z samochodu. Otumaniona snem i dezorientowana zamieszaniem, przytuliła się do Guya, aby schronić się przed scand

krzykami i przepychanką.

- Barnard! - zawołał Dodge Hamilton, przepychając się w ich kierunku. - Co tu się, do cholery, dzieje?

- Sam chciałbym wiedzieć! Dopiero wróciliśmy!

- Gdzie jest ten piekielny Ainh? - zapytał Hamilton, rozglądając się. - Był tu przed chwilą...

- Jestem - odparł roztrzęsionym głosem.

142

Stał u szczytu schodów, miał przekrzywione okular-ki i nerwowo mrugał powiekami. Policjant sprawnie przeprowadził go przez tłum w stronę samochodu.

- Proszę. Pan i panna Maitland pojedą ze mną - powiedział Ainh.

- Dlaczego zostaliśmy aresztowani?

- Nie jesteście państwo aresztowani. Policja jest tutaj tylko na wszelki wypadek. Proszę wsiąść. Szybko.

Po tonie jego głosu Willy odgadła, że wydarzyło się coś strasznego.

- Coś się stało?

Ainh nerwowo poprawił okulary.

- Jakieś dwie godziny temu był telefon z policji w Cantho.

- Właśnie stamtąd wracamy.

alous

- Tak też nam powiedziano. Znaleziono ciało. Pływało w rzece...

Willy nie mogła oderwać od niego wzroku, zbyt przerażona, by pytać, chociaż już wszystkiego się domyśliła.

Dopiero kiedy poczuła uścisk dłoni Guya, poczuła, że musi się na nim oprzeć, by nie upaść.

scand

- Sam Lassiter? - zapytał głucho Guy. Ainh skinął głową.

- Miał podejrżnięte gardło.

143

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stary człowiek siedzący w rzeźbionym fotelu z różanego drewna był tak drobny, że zwiałyby go większy wiatr. Ramionka wątle jak dwie gałązki skrzyżował na podołku. Kosmyk białej bródki łopotał od podmuchu wiatraka na suficie. Lecz oczy jego były szybkie jak kropelki rtęci. Przez otwarte okna, z ogrodzonego murem ogrodu, dochodziło zawodzenie cykad.

- Gdzie tylko się pani pojawi, panno Maitland, zostawia pani za sobą smugę krwi - powiedział.

- Nie mieliśmy nic wspólnego ze śmiercią Lassitera - odrzekł

Guy. - Kiedy wyjeżdżaliśmy z Cantho, żył.

alous

- Panie Barnard, chyba pan nie rozumie. O nic was nie oskarżam.

- A więc kogo?

- Te sprawy zostawiam naszym ludziom w Cantho.

- Ma pan na myśli agentów policji, którzy za nami chodzili?

scand

Minister Tranh uśmiechnął się.

- Bardzo utrudniście im zadanie. Ten chłopak na rogu, sprytne posunięcie. Wiemy, że pan Lassiter żył, kiedy się pożegnaliście.

- A potem?

- Wiemy też, że został w kafejce jeszcze dwadzieścia minut. W

sumie wypił osiem piw. Wyszedł, ale niestety, nie dotarł do domu.

- Wasi ludzie nie poszli za nim?

144

- Pan Lassiter był przyjacielem. Nie śledzimy naszych przyjaciół.

- Ale śledziliście nas - zauważyła Willy.

Pan Tranh obdarował ją pogodnym spojrzeniem.

- A czy pani jest naszą przyjaciółką?

- A jak pan myśli?

- Trudno powiedzieć. Chyba nawet pani trudno jest odróżnić swoich przyjaciół od wrogów. To niebezpieczny stan rzeczy.

Doprowadził już do trzech morderstw.

Zdumiona Willy potrząsnęła głową.

- Trzech? Wiem tylko o Lassiterze.

- Kogo jeszcze zamordowano? - zapytał Guy.

- Policjanta w Sajgonie, wczoraj wieczorem, podczas inwigilacji.

alous

- Nie widzę związku.

- Wczoraj w nocy podejrzięto gardło kolejnemu człowiekowi.

- Nie może nas pan obciążać wszystkimi morderstwami w Sajgonie! Nawet nie znamy tych ludzi.

- Ale wczoraj złożyliście jednemu z nich wizytę. Zapomniała scand

pani?

- Gerard - powiedział cicho Guy.

W ciemnościach ogrodu muzyka cykad zabrzmiała jak krzyk. I w jednej chwili zamarła. Zapanowała absolutna cisza.

Minister Tranh wpatrywał się w ścianę, jak gdyby na pokrytej pleśnią tapecie chciał doszukać się jakiegoś przesłania.

- Czy zna pani kalendarz wietnamski?

145

- Wasz kalendarz? Nie jest taki sam jak chiński? Zaskoczył ją ten nagły zwrot w rozmowie.

- Ubiegły rok był rokiem smoka. Szczęśliwym dla dzieci i małżeństw. Ale ten rok... - Pokręcił głową.

- Rok węża - odpowiedział Guy.

- Tak. To zły omen. Symbol nieszczęścia, głodu i śmierci.

Niepowodzenia...

Westchnął i głowa mu opadła, jak gdyby wiotka szyja stała się za słaba, by ją dłużej podtrzymywać. Przez jakiś czas siedział w milczeniu, w aureoli siwych włosów trzepoczących w powietrzu wprawianym w ruch przez wiatrak. Potem powoli podniósł

podbródek.

- Niech pani wraca do kraju, panno Maitland. To nie jest rok ani alous

miejsce dla pani. Proszę wracać do domu.

Willy wyobraziła sobie, jak łatwo byłoby wsiąść do samolotu lecącego do Bangkoku. A te drobne luksusy czekające tam na nią...

Pachnące mydło, czysta woda i miękkie poduszki. Ale umęczona twarz

scand

Sama Lassitera na tle zachodu słońca i wietnamskiej kobiety błagającej o jego życie przysłoniły ten obraz. Przez tyle lat Sam Lassiter wiódł bezpieczne życie, ukryty w spokojnym mieście nad rzeką. Teraz jest martwy. Jak Valdez. Jak Gerard.

To prawda, pomyślała. Wszędzie, gdzie się pojawiła, pozostawiała za sobą wstęgę krwi. I nawet nie wie dlaczego.

- Nie mogę wrócić do kraju. Minister podniósł brwi.

146

- Nie może pani czy nie chce?

- Ktoś chciał mnie zabić w Bangkoku.

- Tutaj też nie jest pani bezpieczna. Nie chcemy pani deportować siłą, ale musi pani zrozumieć, że stawia to nas w trudnej sytuacji. Jest pani gościem, a my, Wietnamczycy, szanujemy swoich gości. To dla nas święty obyczaj. Gdyby pani została zamordowana, okazalibyśmy się bardzo niegościnni.

- Moja wiza jest jeszcze ważna. Chcę zostać. Muszę zostać.

Miałam zamiar jechać do Hanoi.

- Nie możemy zagwarantować pani bezpieczeństwa.

- Nie oczekuję tego. Nikt nie może zagwarantować mi bezpieczeństwa. Nigdzie.

Minister spojrzał na Guya i zauważył jego strapioną minę.

alous

- Panie Barnard, może pan zdoła panią przekonać?

- Ale ona ma rację - odparł Guy.

Willy zobaczyła w jego oczach troskę i niepewność.

- Gdybym sądził, że będzie bezpieczniejsza w domu, sam bym ją wsadził do samolotu. Ale póki nie wie, przed czym ucieka...

scand

- Na pewno ma pani przyjaciół, do których się pani może zwrócić.

- Ale sam pan powiedział, panie ministrze, że nie mogę odróżnić przyjaciół od wrogów.

- Czego właściwie pani szuka na północy?

- Tam rozbił się samolot mojego ojca. Może jeszcze żyje, w jakiejś wiosce. Może stracił pamięć lub boi się wyjść z dżungli, lub...

147

- Lub nie żyje.

- No to znajdę jego ciało. Na północy. Minister pokręcił głową.

- Dżungla jest pełna szkieletów. Amerykańskich. Wietnamskich.

Zapomina pani, że my też mamy swoich zaginionych w akcji. Nasze wdowy i sieroty. Znaleźć szczątki jakiegoś człowieka wśród tych wszystkich kości...

- Muszę spróbować. Muszę jechać do Hanoi.

Minister Tranh popatrzył na nią wzrokiem dziwnym jak czarny ogień. Wytrzymała jego spojrzenie. Powoli na jego twarzy rozkwitł

łagodny uśmiech. Wiedziała już, że wygrała.

- Czy pani niczego się nie boi, panno Maitland?

- Boję się wielu rzeczy.

- I dobrze. Mam nadzieję, że jest pani na tyle rozsądna, żeby się alous

bać - odparł z uśmiechem, ale jego oczy pozostały nieodgadnione.

Po wyjściu dwójki Amerykanów minister Tranh i pan Ainh długo jeszcze siedzieli, paląc papierosy i słuchając śpiewu cykad.

- Proszę poinformować naszych ludzi w Hanoi - powiedział

minister.

scand

- A nie byłoby prościej unieważnić jej wizę? Zmusić do wyjazdu? - zapytał Ainh.

- Może prościej, ale nie mądrzej.

Minister zapalił następnego papierosa i zaciągnął się ciepłym dymem. Dobre, amerykańskie. Jego jedyna słabość. Wiedział, że rak rozwijający się w jego lewym płucu pożera łakomie każdą śmiertelnie skuteczną molekułę dymu. Co za ironia losu, że ten sam wróg, 148

który tak mocno się starał doprowadzić go do śmierci podczas wojny, teraz zwycięża, i to tylko z powodu pociągu do papierosów.

- A jeżeli coś się jej stanie? Będziemy mieć międzynarodowy skandal.

- Dlatego trzeba ją ochraniać.

Minister wstał z fotela. Ciało kiedyś bardzo sprawne, nabrało z latami sztywności. I pomyśleć, że ten wysuszony zewłok walczył w dwóch okrutnych wojnach w dżungli. Teraz ledwo powłóczył nogami.

- Moglibyśmy ją zastraszyć, coś zorganizować... - zaproponował

Ainh.

- Coś takiego jak twoja karteczka: „Jankesko, umrzesz”? -

Minister się roześmiał. - Nie, ona się tak łatwo nie wystraszy.

Zobaczmy lepiej, dokąd nas doprowadzi. Może odkryjemy kilka alous

sekretów. Czy zatraciliście już swoją ciekawość, towarzyszu?

- Myślę, że ciekawość może być niebezpieczna.

- To pozwólcie mi podjąć ryzyko. - Minister uśmiechnął się spod drzwi. - A poza tym to jej przeznaczenie.

- Nie musisz jechać do Hanoi - powiedział Guy, obserwując, jak scand

Willy się pakuje. - Zostań w Sajgonie i poczekaj na mnie.

- A co będziesz tu robił?

- Mam trochę roboty na północy. Może coś znajdę. Wyjrzał

przez okno i zobaczył dwóch agentów kręcących się w pobliżu.

- Ainh dobrze cię pilnuje. Będziesz bezpieczna.

- I zwariuję. Chodzi o pieniądze, prawda? Nagroda za Braciszka Tucka.

149

- Nie, nie o pieniądze.

- To o kościotrupa w twojej szafie. Co chcesz ukryć? Co Ariel ma na ciebie? A zresztą wcale nie chcę wiedzieć.

Usiadł na łóżku. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

- Zabiłem człowieka.

Podparł głowę rękami. Wyglądał jak strzęp człowieka, którego opuściły resztki energii. Odczuła nieoczekiwany impuls, by usiąść obok niego, objąć go i przytulić, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- To stało się tu, w Wietnamie. Czwartego lipca 1972 roku.

- Trwała wojna. Zginęło wielu ludzi.

- To było coś innego. Nie czyn wojenny, kiedy to zastrzelisz kilku facetów i dostajesz medal za fatywę. Ja zabiłem Amerykanina. -

Podniósł głowę i popatrzył na nią.

alous

Podeszła i usiadła obok niego.

- Przez pomyłkę?

- Nie, nie przez pomyłkę. Zrobiłem to bez namysłu. Można powiedzieć, odruchowo. Po prostu stało się.

Milczała, czekając na jego dalsze wyjaśnienia.

scand

- Byłem w Da Nang po zaopatrzenie. Zabłądziłem i znalazłem się w małej bocznej uliczce. Właściwie wiejskiej drodze, kilka chat.

Wysiadłem z jeepa, żeby zapytać, gdzie jestem, i usłyszałem krzyk...

Urwał na chwilę i popatrzył na ręce.

- Była jeszcze dzieckiem Miała piętnaście, może szesnaście lat.

Drobna, nie mogła się obronić. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Odciągnąłem go i rzuciłem na ziemię. Wstał i ruszył na mnie.

150

Nie miałem wyboru, musiałem walczyć. Kiedy przestałem go bić, już się nie ruszał. Widziałem, co jej zrobił. Tyle krwi...

Potaął czoło, jakby chciał wymazać ten obraz ze świadomości.

- Zgromadzili się ludzie, Wietnamczycy. Jedna z kobiet podeszła i powiedziała mi na ucho, że powinienem zniknąć i że ukryją ciało.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie żyje.

Siedzieli tak przez dłuższy czas, nie dotykając się i nie rozmawiając. Wyznał jej, że zabił człowieka, ale nie potrafiła go za to winić. Czuła tylko smutek z powodu dziewczynki i tych wszystkich cichych, bezimiennych ofiar wojny.

- Co się potem stało? - spytała spokojnie.

- Odjechałem. Nikomu nic nie powiedziałem.

Bąłem się. Kilka dni później usłyszałem, że znaleziono ciało po alous przeciwległej stronie miasta. Odnotowano, że przyczyną śmierci był napad miejscowych. Myślałem, że to koniec.

- Skąd Ariel o tym wie?

- Nie mam pojęcia.

Podszedł do okna i wyjrzał na słabo oświetloną ulicę.

scand

- Było kilku świadków, sami Wietnamczycy. Musiało się jakoś roznieść, aż dotarło do Grupy Ariel. Nie rozumiem, dlaczego tak długo z tym czekali.

- Może dopiero się dowiedzieli.

- Albo czekali na właściwy moment. Nie zastanawia cię sposób, w jaki się spotkaliśmy? Niby przypadkowo, w willi Kistnera?

Przypadkowo potrzebowałaś, żeby ktoś cię podwiózł do miasta?

151

- I że człowiek, którego masz odnaleźć, to przypadkowo mój ojciec.

Skinął głową.

- Chcą mnie wykorzystać - powiedziała z gniewem.

- Witaj w klubie.

- Co z tym zrobimy?

- Rano polecę do Hanoi i zacznę pytać.

- A ja?

- Zostań tu, gdzie Ainh może cię pilnować.

- Marny plan.

- Masz lepszy?

- Tak. Jadę z tobą.

- Tylko skomplikujesz sprawy. Jeżeli twój ojciec żyje, znajdę go.

alous

- I co wtedy? Wydasz go? Zapłacisz nim za milczenie?

- Nie liczę już na to. Teraz chcę poznać prawdę -odparł Guy spokojnie.

Podniosła walizkę z łóżka i postawiła ją przy drzwiach.

- Po co się z tobą kłócę? Nie potrzebuję twojej zgody. To mój scand

ojciec. Znam jego twarz. Głos. Po dwudziestu latach ja będę tą osobą, która go rozpozna.

- Możesz też być osobą, która zginie. Juniorko, to część dobrej zabawy, ten dreszczyk? Cholera, masz to pewnie w genach. Jesteś tak szalona, jak twój stary. Uwielbiał, kiedy do niego strzelano, prawda?

Był uzależniony od adrenaliny, tak jak ty. Przyznaj się. Świetnie się bawisz!

152

- I kto to mówi?

- Nie jestem tu dla dreszczyku, tylko dlatego, że nie miałem wyboru.

- Żadne z nas nie ma wyboru!

Odwróciła się, lecz schwycił ją za ramię i zmusił, by na niego popatrzyła. Stał tak blisko, że zabolął ją kark, kiedy podniosła głowę.

- Zostań w Sajgonie - poprosił.

- Naprawdę chcesz mieć mnie z głowy.

- Chcę, żebyś była bezpieczna.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ja... ty...

Patrzyli na siebie, oddychając tak ciężko, że żadne z nich nie mogło wydusić słowa. Guy porwał ją w ramiona. To był tylko alous

pocałunek, ale zwałił ją z nóg z siłą huraganu. Odruchowo podniosła ręce i oplótła nimi szyję Guya, przyciągając go mocno do swoich ust.

Nie potrzebował zachęty. Obrazy ze snu pojawiły się znowu -

kołyszący się statek, nocne niebo. Jeżeli na to teraz pozwoli...

Pragnęła go. scand

A jeśli to będzie największy błąd w jej życiu? Wróciła do rzeczywistości. Wyrwała się z jego objęć na odległość wyciągniętej ręki.

- Nie miało tak być!

- Chyba miało.

- To chyba sprzeczne sygnały...

153

- Nie. - Podeszła do drzwi i je otworzyła. - Myślę, że powinieneś już iść.

- Nie pójdę.

- Nie zostaniesz tutaj.

Jego postawa świadczyła o tym, że naprawdę zostaje.

- Zapomniałaś? Ktoś chce cię zabić.

- Ale ty też mi zagrażasz.

- To był tylko pocałunek Czy minęło aż tyle czasu, Willy? To dla ciebie aż taki wstrząs, jak cię ktoś pocałuje?

Tak! To dla mnie wstrząs, bo nikt mnie dotąd tak nie całował!

- Zostaję na noc. Potrzebujesz mnie. Przyznaję, że i ja potrzebuję ciebie. Jesteś moim łącznikiem z Billem Maitlandem. Nie dotknę cię, jeżeli nie chcesz. Ale nie wyjdę.

alous

Musiała się poddać. Zatrzasnęła drzwi i wróciła do łóżka.

- Boże, jestem taka zmęczona. Nie mam siły z tobą walczyć.

Nawet nie mam siły się bać.

- I wtedy robi się niebezpiecznie. Kiedy zabraknie adrenaliny.

Jesteś zbyt zmęczona, żeby rozsądnie myśleć.

scand

- Poddaję się. Nie obchodzi mnie już, co się stanie. Chcę tylko spać.

Padła na łóżko z uczuciem, że jej wszystkie kości nagle się roztopiły. Guy nie musiał odpowiadać; oboje wiedzieli, że przegrała tę potyczkę. W głębi duszy była zadowolona, że tu został. Dobrze jest zamknąć oczy, wiedząc, że ktoś czuwa. Rzeczywiście nie myśli już rozsądnie, jeżeli uważa, że taki facet jak Guy jest niegroźny.

154

Ale poczuła się bezpiecznie.

Guy stał przy łóżku i przyglądał się, jak zasypiała. Rozciągnięta na kapie wyglądała jak krucha, papierowa lalka.

Gdy trzymał ją w ramionach, nie była z papieru, tylko z krwi i kości, miękka i ciepła, jak kobieta, której pragnął. Nie był pewien, co do niej czuje. Po części było to stare dobre pożądanie, ale też prymitywny, męski instynkt opiekuńczy.

Wyrzał przez okno. Agenci wciąż tam sterczą. Widział ich papierosy żarzące się w ciemnościach. Miał nadzieję, że dobrze wykonają swój obowiązek, bo sam był na skraju wyczerpania.

Usiadł w fotelu i próbował zasnąć.

Dwadzieścia minut później, kiedy zdrętwiało mu już całe ciało, dał za wygraną i położył się na łóżku. Willy nawet nie drgnęła. Co alous

tam, nawet się nie zorientuje. Poczwała jego obecność, odwróciła się w jego stronę i wtuliła w jego ciało jak kotek. Słodki zapach jej włosów niebezpiecznie go odurzył.

Trzeba było zostać w fotelu.

Ale na to było już za późno. Leżał więc, trzymając ją w scand

objęciach i zastanawiając się, co dalej. Mają jeszcze jeden kontakt na północy. Nora Walter, pielęgniarka z brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Lassiter mówił, że pracuje w miejscowym szpitalu. Guy miał

nadzieję, że zgodzi się z nimi porozmawiać, że nie pomyśli, że to kolejna intryga Firmy i nie zamilknie. Może obecność Willy zmieniłaby jej nastawienie. W końcu córka Billa Maitlanda ma prawo poznać prawdę.

155

Willy westchnęła i ułożyła się wygodniej. Na twarzy Guya zakwitł uśmiech. Ty mała damulko, pomyślał i pocałował ją w czubek głowy. Ty zwariowana damulko. Ukrył twarz w jej włosach.

Stało się. Na dobre czy na złe, muszą trzymać się razem.

alous

scand

156

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stewardesa maszerowała przejściem między fotelami dwusilnikowego ła i leniwie odganiała się od much. Wyglądała, jakby płynęła w chmurach, bo z kratek klimatyzacyjnych wydobywały się kłęby zimnej mgły.

Rzuciła na kolana Willy kilka cukierków.

- Zapiąć pas - rozkazała.

Willy zauważyła, że Guy trzyma się kurczowo oparcia.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Tak.

- Nie wygląda na to.

alous

- To stary problem.

Wyjrzał przez okienko i przełknął z trudem ślinę.

Nie mogła się powstrzymać i szczerze się roześmiała.

- Chyba nie powiesz, że boisz się latania? Samolotem szarpnęło i zaczął podskakiwać na pasie. Z głośników wydobyły się trzaski i jakiś scand

komunikat po wietnamsku, potem po rosyjsku, i w końcu w bardzo łamanej angielszczyźnie.

- Niektórzy mają lęk wysokości albo klaustrofobię, a ja boję się latać. Od wojny.

- Coś się wtedy stało?

- Ironia losu. Pod sam koniec. Przeżyłem wojnę w Wietnamie.

Wsiadam do tego pięknego, wielkiego ptaka wolności. Tak poznałem Toby'ego Wolffa. Siedział obok mnie. Byliśmy podekscytowani, *157*

opowiadaliśmy kawały, kiedy samolot kołował. Wracaliśmy do kraju.

Mieliśmy szczęście. My dwaj w ostatnim rzędzie. Ogon odłamał się przy starcie...

- Nie myśl o tym, Guy. - Wzięła go za rękę.

- Ty się wcale nie boisz, prawda? Popatrzył na nią z podziwem.

- Nie. Latałam samolotami od zawsze. To bułka z masłem.

- Widocznie odziedziczyłaś po ojcu gen pilotażu.

- To nie geny. To statystyka.

Silniki łały zawyły. Samolot trzął się, odrywając się od ziemi, i chwiejnie wzbił się w powietrze.

- Latanie jest bardzo bezpieczną formą podróżowania - dodała.

- Bezpieczną? Widocznie nie leciałaś jeszcze liniami Air Vietnam! - rzekł Guy, próbując przekrzyczeć huk silników.

alous

W Hanoi czekała na nich wietnamska przewodniczka, panna Hu

- piękna i pozbawiona uśmiechu funkcjonariuszka. Powitała ich sucho, a uścisk dłoni chyba był na kartki. W odróżnieniu od pana Ainha, który był mistrzem rozweselających pogaduszek, panna Hu najwyraźniej wierzyła w milczenie. I w rewolucję. Tylko raz, podczas scand

jazdy do miasta, powiedziała coś od siebie. Pokazując im powyginane ruiny zburzonego mostu, rzekła:

- Widzicie te zniszczenia? Amerykańskie bomby.

I to by było na tyle, jeżeli chodzi o luźną konwersację. Patrząc na jej sztywne ramiona, Willy pomyślała, że dla niektórych ludzi, po obu stronach barykady, wojna nigdy się nie skończy.

158

Była tak zirytowana wypowiedzią przewodniczki, że dopiero za trzecim razem zauważyła, że Guy spogląda przez tylną szybę. Tuż za nimi jechał czarny mercedes z zaciemnionymi szybami. Dopiero pod hotelem wyprzedził ich i skręcił za róg.

Kiedy otworzyły się drzwi samochodu, uderzyła ich fala gorąca.

Na twarzy panny Hu ukazały się perełki potu.

- Hotel jest klimatyzowany - oznajmiła i dodała z nutką pogardy w głosie: - Dla wygody cudzoziemców.

Okazało się, że klimatyzacja ledwie działa. Właściwie cały hotel funkcjonował tylko dzięki resztkom swej francuskiej kolonialnej świetności. Chodnik przy wejściu był postrzępiony i wypłowiały, a meble w holu stanowiły przedziwną mieszaninę obdrapanego drewna różanego i powycieranych poduszek. Podczas gdy alous

Guy załatwiał coś w recepcji, Willy stanęła przy walizkach i obserwowała wejście.

Nie zdziwiła się, kiedy po kilku sekundach pojawiło się dwóch Wietnamczyków. Zobaczyli ją i skręcili w stronę wnęki, gdzie ukryli się za potężną rośliną w donicy. Dym z ich papierosów unosił się scand

spiralami do sufitu.

- Załatwione. Pokój 308. Z widokiem na miasto -powiedział

Guy.

- Dwaj faceci na godzinie trzeciej... - szepnęła Willy.

- Widzę.

- Co robimy?

- Udajemy, że ich nie ma.

159

- Ale...

- Panie Barnard? - zawołała panna Hu, machając w ich kierunku kartką papieru. - Telegram do pana.

- Nie spodziewam się żadnego telegramu.

- Przyszedł dziś rano do Sajgonu, po waszym wyjeździe.

Podala Guyowi papier i bystrymi oczkami obserwowała jego minę.

Jeżeli wiadomość była ważna, Guy nie dał tego po sobie poznać.

Obojętnie wsunął kartkę do kieszeni i podniósł walizki.

- Dobre wiadomości? - zapytała panna Hu.

- Pozdrowienia od przyjaciela - odrzekł Guy z uśmiechem i wcisnął guzik windy.

Zanim drzwi się zamknęły, Willy zdążyła jeszcze zobaczyć alous

wyglądających zza palmy Wietnamczyków.

Guy natychmiast złapał ją za rękę. Nic nie mów, wyczytała w jego oczach.

Milcząc, wjechali na trzecie piętro.

W pokoju Willy patrzyła ze zdumieniem, jak Guy przebiega scand

palcami pod abażurami i w szufladach, otwiera szafę i przeszukuje nocne szafki. Znalazł to, czego szukał, za wezłowiec łóżka -

mikrofon bezprzewodowy, wielkości znaczka pocztowego. Zostawił

go na miejscu. Potem podszedł do okna i spojrział na ulicę.

- To nam pochlebia - rzekł pod nosem. - Zaslugujemy na przyzwoitki.

Podeszła do niego i zobaczyła na ulicy czarnego mercedesa.

160

- Co z tym telegramem? - zapytała szeptem.

W odpowiedzi podał jej kartkę. Przeczytała tekst dwa razy, ale go nie zrozumiała.

„Wujek Sy pytał o ciebie. Planuje wycieczkę z przewodnikiem po Wietnamie. Szczęśliwej podróży. Bobbo”.

Guy zasłonił okno i zaczął energicznie przechadzać się po pokoju. Widać było, że planuje jakąś skomplikowaną akcję.

Zatrzymał się gwałtownie.

- Chcesz coś na żołądek?

- O czym ty mówisz? - Willy zamrużyła powiekami.

- Pepto bismol ci pomoże. Połóż się na chwilę. To tylko zatrucie pokarmowe.

- Zatrucie?

alous

- To na pewno owoce morza, które jadłaś wczoraj na kolację.

Dalej źle się czujesz?

Podniósł kartkę papieru, na której napisał: Tak!!!

- Tak, czuję się okropnie. Muszę się położyć. Znowu coś napisał.

„Chcesz iść do szpitala!”. Skinęła głową i poszła do łazienki, jęknęła scanda

głośno

kilka razy i spuściła wodę.

- Wiesz co, czuję się okropnie. Może powinnam iść do lekarza...

Zorientowała się, o co mu chodzi. Ten człowiek to geniusz, pomyślała. Odwróciła się do niego i zapytała:

- Sądzisz, że znajdziemy kogoś, kto mówi po angielsku?

Dostała nagrodę w postaci uniesionego w górę kciuka.

161

- Możemy spróbować w szpitalu. To nie musi być lekarz, wystarczy, że znajdzie się ktoś, kto cię zrozumie.

Podeszła do łóżka, usiadła i podskoczyła parę razy, aż skrzypnęły sprężyny.

- O Boże, czuję się strasznie.

Usiadł koło niej i położył dłoń na jej czole.

- Kobieto, ty masz naprawdę gorączkę.

- Wiem - odparła ponurym głosem.

Jakoś udało im się nie wybuchnąć śmiechem.

- Jeszcze godzinę temu nie wyglądała na chorą - powiedziała panna Hu dziesięć minut później, kierując ich do oczekującej limuzyny.

- Bóle wystąpiły nagle - powiedział Guy.

alous

- Bardzo nagle - zauważyła sucho panna Hu.

- To chyba owoce morza - jęknęła Willy z tylnego siedzenia.

- Wy, Amerykanie, macie takie delikatne żołądki - prychnęła przewodniczka.

W zatłoczonej poczekalni szpitalnej było gorąco jak w pralni.

scand

Kiedy Willy i Guy weszli do środka, zapadła martwa cisza. Słyszał się jedynie klekot wiatraka pod sufitem i płacz dziecka.

Wietnamska pielęgniarka popatrzyła na nich ze zdumieniem.

Dopiero kiedy panna Hu wyszczeła pytanie, dziewczyna odpowiedziała.

- Mają tylko wietnamskich lekarzy - przetłumaczyła panna Hu.

- Nikogo, kto studiował na Zachodzie?

162

- Uważa pan, że wasza medycyna jest lepsza?

- Nie mam zamiaru dyskutować, która jest lepsza, wschodnia czy zachodnia. Proszę znaleźć kogoś, kto mówi po angielsku. Wystarczy pielęgniarka. Macie pielęgniarki mówiące po angielsku?

Panna Hu powiedziała coś do recepcjonistki, a ta zadzwoniła w kilka miejsc. W końcu

zaprowadzono Willy do gabinetu wyposażonego w leżankę i umywalkę. Na stoliku stały zakurzone szklane pojemniki z wacikami i szpatułkami do badania gardła. Wokół

jedynej gołej żarówki latała mucha. Pielęgniarka kazała jej się rozebrać.

Willy nie miała zamiaru tego robić w obecności panny Hu.

- Byłabym wdzięczna za odrobinę prywatności -powiedziała.

- A pan Barnard? - Panna Hu nawet nie drgnęła.

alous

- Pan Barnard też wychodzi - dodała Willy.

- Wiecie, towarzyszko - powiedział Guy, idąc w stronę drzwi - w Ameryce uważa się, że to niegrzeczne przyglądać się, jak się ktoś rozbiera.

- Chciałam tylko potwierdzić to, co słyszałam na temat bielizny scand

kobiet z Zachodu - tłumaczyła się panna Hu, wychodząc za Guyem i pielęgniarką.

- A co pani słyszała?

- Że jest specjalnie projektowana, aby pobudzać chuć płci przeciwnej.

- Towarzyszko - odrzekł Guy z uśmiechem - będzie mi szalenie miło podzielić się z panią moją wiedzą na temat bielizny damskiej...

163

Drzwi zamknęły się i Willy została sama.

W chwilę później przysła wysoka kobieta koło czterdziestki, ubrana w biały fartuch. Na plakietce wpiętej w klapę widniało nazwisko Nora Walter. Ciemne włosy były przyprószone siwizną, a oczy zielone i nieodgadnione jak morze.

- Jest pani Amerykanką. Nie widzimy tu wielu Amerykanów.

Co pani dolega?

- Boli mnie brzuch i mam mdłości.

- Od jak dawna?

- Od wczoraj.

- Gorączka?

- Nie mam gorączki. Tylko bóle.

- To nic niezwykłego u zachodniego turysty. Inne szczepy alous

bakterii niż te, do których jest pani przyzwyczajona. Za kilka dni się pani przestawi. Muszę panią zbadać. Proszę się położyć, pani... -

Spojrzała na nazwisko na karcie z recepcji i zamilkła.

- Maitland - powiedziała Willy cicho. - Nazywam się Willy Maitland.

scand

Nora kazała jej się położyć i zimnymi jak lód dłońmi zaczęła badać jej brzuch.

- Sam Lassiter powiedział, że może pani będzie mogła nam pomóc - powiedziała Willy szeptem.

- Rozmawiała pani z nim?

- W Cantho. Pojechałam tam porozmawiać o moim ojcu.

Nora kiwnęła głową i zapytała profesjonalnie: *164*

- Boli, kiedy uciskam?

- Nie.

- A tutaj?

- Trochę.

- Co z nim? - zapytała Nora po cichu.

- Nie żyje.

Ręce Nory zastygły na brzuchu pacjentki.

- O Boże. Jak... To znaczy, jaki to jest ból? Willy przejechała palcem po szyi, jak nożem. Nora wzięła głęboki oddech.

- Rozumiem.

Jej ręce drżały. Przez chwilę stała ze spuszczoną głową, a potem odwróciła się i podeszła do szafki z lekarstwami.

- Dostanie pani antybiotyk. Jest pani uczulona na sulfonamidy?

alous

- Chyba nie.

Nora wyjęła naklejkę, napisała nazwę leku i dawkowanie i umieściła ją na małej buteleczce.

- Czy mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości, panno Maitland?

Willy podała jej kalifornijskie prawo jazdy.

scand

- Czy to wystarczy?

- Tak. - Nora schowała je do kieszeni. - Proszę zażywać tabletki cztery razy dziennie. Jutro wieczorem poczuje się pani lepiej.

Wręczyła Willy buteleczkę. Willy spojrzała na nią wyczekująco, ale Nora odwróciła się już do drzwi. W połowie drogi przystanęła.

- Jest ktoś z panią. Amerykanin. To krewny?

- Przyjaciel.

165

- Rozumiem.

Otworzyła drzwi, za którymi stała panna Hu. Wietnamka natychmiast się wyprostowała.

- Co jest pannie Maitland?

- Ma lekką infekcję jelitową. Dałam jej antybiotyk. Jutro poczuje się lepiej.

- Już mi lepiej - oznajmiła Willy, podnosząc się z leżanki. -

Potrzebuję tylko trochę świeżego powietrza.

- Dobry pomysł. Świeże powietrze. Lekkie posiłki. Żadnego mleka. Życzę miłego pobytu w Hanoi, panno Maitland.

Kiedy Nora wyszła, panna Hu uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Widzi pani? Nawet tu, w Wietnamie, można znaleźć doskonałą opiekę medyczną.

alous

- Zupełnie się z panią zgadzam - odrzekła Willy i sięgnęła po ubranie.

Po piętnastu minutach Nora wyszła ze szpitala, wsiadła na rower i pojechała w stronę ulicy kupców

sukiennych. Od ulicznego sprzedawcy kupiła lemoniadę i miseczkę makaronu pho, za które scand

zapłaciła banknotem tysiącdongowym z precyzyjnie zawiniętymi przeciwległymi rogami. Kucnęła na chodniku i wraz z innymi klientami zjadła swój makaron, po czym wypłała reszkę ostrego sosu i weszła do małego warsztatu krawieckiego. Sprawiał wrażenie pustego. Przeszła przez zasłonę z koralików i znalazła się w słabo oświetlonym pokoiku. Stała wśród zakurzonych zwojów jedwabiu, bawełny i brokatu.

166

Grzechotanie koralików zapowiedziało przybycie jej łącznika.

- Właśnie spotkałam córkę Billa Maitlanda - powiedziała po wietnamsku.

Wyjęła prawo jazdy należące do Willy. Mężczyzna przyjrzał się fotografii i uśmiechnął.

- Podobna.

- Jest problem. Podróżuje z jakimś człowiekiem.

- Masz na myśli Barnarda? Wiemy o tym.

- Jest z CIA?

- Chyba nie.

- A więc go obserwujecie.

- To nie jest trudne. Tyle jest dzieci na ulicach, że nie zauważą chłopaka tu czy tam.

alous

Nora zwlekała z zadaniem następnego pytania.

- Powiedziała, że Sam nie żyje. To prawda? Uśmiech na twarzy mężczyzny zgasł.

- Okazuje się, że wcale nie jest bezpieczniej. Oparła głowę o belę jedwabiu. scand

- Masz rację. Nic się nie zmieniło. Niech ich szlag trafi.

- Czego chcesz od nas, Noro?

- Nie wiem. Uważam, że powinniśmy wysłać wiadomość.

- Skontaktuję się z doktorem Andersenem.

- Do jutra muszę mieć odpowiedź. Mężczyzna potrząsnął głową.

- To mało czasu.

- Cały dzień.

167

- Ale są... komplikacje.

- Co masz na myśli?

- Zainteresowała się partia. I CIA. Może i inni. Inni, pomyślała.

Ci, o których nie wiemy. Najbardziej niebezpieczni ze wszystkich.

Kiedy wyszła ze sklepiku i znalazła się w piekącym żarze popołudnia, poczuła na sobie wzrok kilku par oczu. Jaskrawa haftowana bluzka, którą kupiła, wyróżniała ją z tłumu. Jak gdyby przedtem nie wyróżniała się sama. W Hanoi wszystkich cudzoziemców podejrzliwie obserwowano. W każdym sklepie, na każdej ulicy, wszędzie są te oczy.

Willy Maitland też będą obserwować.

- Zrobiliśmy pierwszy krok. Następny należy do niej -

powiedział Guy.

alous

- A jeżeli się nie odezwie?

- To znajdziemy się w ślepej uliczce.

Włożył ręce do kieszeni i powędrował wzrokiem nad taflą wód jeziora Odzyskanego Miecza. Tak jak inne pary przechadzające się po jego trawiastym brzegu, szukali tu samotności i szansy na rozmowę scand

bez podsłuchu. Z drzew spadały ognistoczerwone kwiaty. Na ścieżce przed nimi bawiły się dzieci.

- Nie wyjaśniłeś mi, co było w telegramie. Kto to jest Bobbo? -

spytała.

- To ksywka Toby'ego Wolffa. Kiedy samolot się rozbił, wylądowaliśmy obok siebie w szpitalu. Zdaje się, że daliśmy w kość pielęgniarce. Za dużo flirtowaliśmy. Nazywały nas paskudnymi 168

bliźniakami Bobbsey, jak w tych książkach dla dzieci. Stąd Bobbo Jeden i Bobbo Dwa. Toby i ja.

- A kim jest wujek Sy?

Rozejrzał się. Wiedziała, że jest ich dwóch. Kryli się za drzewem. Agenci policyjni, przydzieleni prawdopodobnie po to, żeby ich ochraniać.

A może izolować?

- Tak nazywaliśmy CIA. To ostrzeżenie. Obserwują nas.

Willy rozejrzała się z niepokojem. Obok nich przejechała na rowerze dziewczyna w stożkowym kapeluszu. Na trawie siedziała przytulona do siebie para, szeptem wymieniająca sekrety. Wszystko to jest zbyt piękne, ten widok na srebrne jezioro i kwitnące drzewa. Jak z obrazka. Poza dwoma agentami pilnującymi ich zza drzew.

alous

- Jeżeli ma rację, że szuka nas CIA, to jak ich poznamy? -

zapytała.

- W tym problem. Nie poznamy.

Widok jego zakłopotanych oczu ją przestraszył.

Siang przykucnął w cieniu rikszy i patrzył, jak para scand

Amerykanów spaceruje po przeciwległym brzegu jeziora. Nie spieszyli się, przystawali, jak to turyści, by podziwiać kwiaty, pośmiać z malucha uczącego się chodzić, oboje nieświadomi tego, jak łatwo mogą się znaleźć na linii ognia, który w jednej chwili zdmuchnie ich życie.

169

Zauważył dwóch ludzi snujących się za nimi. Agenci policyjni albo ochrona. Utrudniają sprawę, ale Siang poradziłby sobie z nimi.

Prędzej czy później nadarzy się okazja.

Amerykanie wrócili do samochodu. Siang wstał, przycupnął

kilka razy, by przywrócić krążenie w nogach, i wsiadł na rower. Kto wśród tysięcy rowerzystów na ulicach Hanoi zauważy jeszcze jednego, biednie ubranego cyklistę?

Pojechał za samochodem do hotelu. Z dala zobaczył, jak para wchodzi do hotelowego holu. Kilka sekund później zajechał czarny mercedes. Wysiedli z niego dwaj agenci i poszli za Amerykanami.

Nadszedł czas rozłożyć sklepik.

Siang wyjął tobolek z koszyka, wybrał zacienione miejsce na chodniku i rozłożył swój ubogi towar: papierosy, mydło i pocztówki. I alous

tak jak inni uliczni sprzedawcy, przykucnął na trzciniowej macie.

Przez następne dwie godziny zdołał sprzedać tylko jedno mydło, ale to nie miało znaczenia. Czekał. Jak każdy dobry myśliwy, Siang umiał czekać.

scand

170

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Guy i Willy spali tej nocy w osobnych łóżkach. Guy na pewno spał, za to Willy przewracała się z boku na bok, myśląc o ojcu i o tym, kiedy widziała go po raz ostatni.

Pakował się. Stała wówczas obok łóżka i patrzyła, jak wrzuca ubrania do walizki. Sądząc po rzeczach, które zabierał, wracał do ukochanego szaleństwa wojny. Kurtka lotnicza, słownik laotańsko-angielski, ciężkie złote łańcuchy - na wymianę za życie, gdyby go zestrzelono. Była też wydrukowana na kawałku materiału prośba o pomoc, podkradziona pilotowi armii amerykańskiej:

„Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki alous

Północnej. Nie znam twojego języka. Nieszczęśliwy wypadek zmusza mnie do szukania u ciebie pomocy w zdobyciu jedzenia, mieszkania i opieki. Proszę mnie zabrać do osoby, która zapewni mi bezpieczeństwo i dopilnuje, bym mógł wrócić do swoich”.

Tekst został wydrukowany w trzynastu językach.

scand

Ostatnią rzeczą, jaką ojciec zapakował, był pistolet o kalibrze 11

milimetrów, ze spustem spiłowanym tak, że uruchamiało go muśnięcie palca.

- Dlaczego tam wracasz? - zapytała.

- Taką mam pracę, kochanie - odparł, wpychając broń pod ubrania. - Bo jestem w tym dobry, bo potrzebujemy mojej pensji.

- Nie potrzebujemy pensji. Potrzebujemy ciebie. Zamknął

walizkę.

171

- Znowu mama z tobą rozmawiała, prawda?

- Nie, tato. To ja mówię. Ja.

- Oczywiście, kochanie.

Roześmiał się i zmierzwił jej włosy. Znowu poczuła się jak mała dziewczynka. Uśmiechnął się do niej tym samym uśmiechem, którym mógł kupić u matki wszystko.

- Wiesz co? Może zrobię ci niespodziankę? Przywiozę ci coś ładnego z Vientiane. Rubin? Albo szafir? Założę się, że spodobałby ci się szafir.

- Nie zwracaj sobie głowy. - Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego mam nie zwracać sobie głowy? Jesteś moją córeczką...

- Nic cię nie obchodzi. Tylko latanie tymi twoimi głupimi alous

samolotami na tej idiotycznej wojnie.

Zanim zdołał odpowiedzieć, wybiegła z pokoju. Usłyszała jeszcze, jak zawołał:

- Jesteś tylko dzieckiem. Kiedyś to zrozumiesz! Dorośnij wreszcie!

scand

Kiedyś. Kiedyś. Dalej nie rozumiem.

Wstała i podeszła do okna. Na rogu ulicy, pod lampą, drzemali trzej rikszarze. Ilu takich jak oni, cichych i zmęczonych, błąka się po nocy?

I pomyśleć, że to oni wygrali wojnę. Odwróciła się na dźwięk westchnienia i skrzypnięcia materaca. Powodowana dziwną fascynacją przyglądała się rozwichrzonym włosom i unoszącej się 172

miarowo klatce piersiowej Guya. Nawet gdy spał, po jego twarzy błąkał się lekko drwiący uśmieszek. Pragnęła go dotknąć i aby on jej dotykał. Dawno nie myślała tak o mężczyźnie. To jest pierwsza oznaka poddania się, zaprzędania duszy.

Nie pasują do siebie.

Tak jak jej matka i ojciec nie pasowali do siebie.

Ann Maitland nigdy tego nie rozumiała, tej podstawowej niezgodności charakterów, która stała się tak oczywista dla jej córki.

Bill Maitland był dziką kartą, nieprzewidywalnym dzokerem w grze, jaką było życie. Ann pogodnie akceptowała wszystkie zaskakujące rozdania, bo go kochała.

Ale Willy nie chciała takiej miłości. Nie potrzebowała młodszej wersji Dzikiego Billa Maitlanda.

alous

Ale był tuż obok i go pragnęła.

Zamknęła oczy i przemęczyła się do rana.

- Dziwna sprawa.

Minister Tranh, świeżo po powrocie z Sajgonu, usadowił się w swym fotelu i zapytał:

scand

- Mówisz, że zachowują się jak turyści?

- Typowi kapitalistyczni turyści - odrzekła panna Hu z obrzydzeniem.

Otworzyła notes, w którym skrupulatnie zapisała każdy szczegół, i zaczęła odczytywać swój raport.

- Dziś rano o 9.45 odwiedzili grób naszego przywódcy, ale nie było komentarza. O 12.17 zjedli w hotelu lunch. Smażona ryba, 173

duszony żółw rzeczny, warzywa na parze i budyń. Po południu wycieczka z przewodnikiem do Muzeum Wojny, a potem do Muzeum Rewolucji i...

- To nie jest dzień prawdziwego kapitalistycznego turysty.

- A potem - odwróciła stronę - poszli na zakupy. Triumfalnie zatrzęsnęła notes.

- Ależ towarzyszeko Hu, nawet najbardziej oddani członkowie partii muszą kiedyś robić zakupy.

- Kupować antyki?

- Widocznie cenią tradycję. Panna Hu pochyliła się do przodu.

- I to jest właśnie podejrzane, panie ministrze.

- A co zrobili?

- Dziś po południu, po wizycie w sklepie z antykami, spędzili alous

dwie godziny w Ambasadzie Australii, ściślej rzecz biorąc, w barze, gdzie rozmawiali z różnymi podejrzanymi cudzoziemcami.

Ministra nie zaciekawilo specjalnie, że Amerykanie udali się do zachodniej ambasady. Jak każdy w obcym kraju, zatęsknili za swoimi.

Kilkadziesiąt lat temu, w Paryżu, Tranh czuł się tak samo. Nawet scand

kiedy sączył kawę w kafejkach i pławił się w rozkoszach życia cyganerii, odczuwał ból na wspomnienie widoku włosów czarnych jak skrzydło kruka, metalicznego dźwięku ojczystego języka.

A przecież tak kochał Paryż...

- Jak pan widzi, Amerykanie są dobrze inwigilowani. Niech pan będzie spokojny, panie ministrze. Nic złego się nie stanie.

- Założywszy, że będą współpracować.

174

- Współpracować? Nie wiedzą, że są śledzeni. Duma panny Hu została urażona.

Co za szkoda, że politycznie poprawna panna Hu wykazuje taki brak wizji i wnikliwości. Minister Tranh nie miał dość energii, by się jej sprzeciwić. Już dawno się przekonał, że do fanatyków rozsądek nie przemawia.

- Ależ oczywiście, ma pani rację, towarzyszeko.

- Już jest wieczór. Dlaczego nikt się jeszcze z nami nie skontaktował?

Willy rozejrzała się po hałaśliwej kawiarence. Wszyscy się nam przyglądają, pomyślała. W odległym rogu siedzieli dwaj agenci, strzepując popiół na spodeczek. Przez brudne okna zaglądały dzieci, by popatrzeć na taki rzadki widok jak para Amerykanów.

alous

Kelner przyniósł dwie miseczki zupy z makaronem i zniknął.

Willy sięgnęła po pałeczki i zaczęła jeść. Danie było skromne, makaron, pikantny rosół i cienkie jak papier płatki czegoś, co smakowało jak wołowina. Mięso z bawołu, wyjaśnił Guy. Smaczne, ale twarde. scand

Pochyliła głowę i nie zwracając uwagi na spojrzenia ludzi, jadła w milczeniu.

- Nie wiem, czy dam radę dalej udawać turystkę. Jak długo będziemy czekać?

- Ile trzeba. To jedna z rzeczy, których musisz się nauczyć w tym kraju. Cierpliwość.

- Dwadzieścia lat to długo. Zachmurzył się.

175

- I to mi nie daje spokoju. Minęło dwadzieścia lat. Czy Firma grzebałaby się w tym wszystkim, gdyby sprawa była zakończona?

- Może Toby się myli?

- Toby nigdy się nie myli. Coś jeszcze nie daje mi spokoju. Od samego początku. Nasze niby

przypadkowe spotkanie w Bangkoku.

Oboje szukamy tych samych odpowiedzi, tego samego człowieka.

Mam uczucie, że to...

- Przypadek?

- Przeznaczenie. Willy potrząsnęła głową.

- Nie wierzę w przeznaczenie - oświadczyła.

- Zobaczysz. Ten kraj cię zmienia, odziera z poczucia rzeczywistości i odbiera kontrolę. Zaczynasz myśleć, że coś ma nastąpić, że nastąpi niezależnie od tego, że starasz się z tym walczyć.

alous

Jak gdyby księgi naszego życia były już napisane i nie można nic w nich zmienić.

- Nie wierzę, że mieliśmy się spotkać. Po prostu tak się stało.

- Ale coś nas połączyło: szczęście, przeznaczenie, obojętne jak to nazwiesz. I oto jesteśmy razem przy

scand

tym samym stoliku, w tej samej brudnej wietnamskiej kawiarni.

I... - Zamilkł, a jego powagę przełamał przelotny, ironiczny uśmiech. -

Zaczynam myśleć, że powinniśmy pójść za tym szalonym scenariuszem. Czas, abyśmy zawierzyli naszym instynktom.

Patrzyli na siebie przez zasłonę dymu.

Niczego nie pragnę więcej niż pójścia za instynktem, co sprowadzałoby się do powrotu do hotelu i kochania się z tobą, 176

pomyślała Willy. Wiem, że pożałuję. Ale pragnę tego od chwili, kiedy cię spotkałam.

Ich dłonie połączyły się nad stołem. I kiedy palce się splotły, to było tak, jakby jakieś magiczne koło się zamknęło, jakby zawsze tak miało być, jakby przeznaczenie - złe, dobre czy obojętne - prowadziło ich do siebie, do tego samego uścisku, do tego samego łóżka.

- Wracajmy do pokoju - szepnął.

Przez głowę Willy przepływały już obrazy wolno rozpinanych koszul, odpinanych pasków. Kropielek potu błyszczących na plecach i ramionach.

Poprzez labirynt stolików przeciskał się do nich Dodge Hamilton. Błady i spocony opadł na krzeselko.

- Co tu, do cholery, robisz? - spytał zdumiony Guy.

alous

- Mam szczęście, że w ogóle tu jestem - odparł Hamilton, wycierając twarz chusteczką. - Jeden silnik dymił przez całą drogę z Da Nang. O mało nie rozsypał się nad górami.

- Myślałam, że jesteś w Sajgonie - rzekła Willy.

- Wczoraj dostałem teleks z ministerstwa finansów. Minister scand

zgodził się na wywiad, na który czekam od miesiący, wcisnąłem się więc na ostatni lot z Sajgonu. Boże, muszę się napić. Co pijesz? -

Wskazał na szklankę Willy.

- Lemoniadę.

- Halo! - zawołał do kelnera, wskazując na jej szklankę. - Mogę dostać coś takiego?

- Jak nas znalazłeś? - zapytała Willy.

177

- To nie było trudne. Recepcjonista mnie tu skierował.

- Widocznie nie możemy zrobić kroku bez ich wiedzy.

Hamilton skrzywił się z niedowierzaniem na widok szklanki z lemoniadą.

- Pewnie z jakimiś śmiercionośnymi bakteriami. Ale co tam, żyjemy na krawędzi. Za bezpieczeństwo ilów na niebie! Żeby się nie rozbijały. A przynajmniej nie wtedy, kiedy jesteśmy na pokładzie.

Guy podniósł szklankę w geście toastu.

- Amen. Odtąd wsiadamy tylko na statki.

- Albo podróżujemy riksami - dodał Hamilton. - Moglibyśmy się wybrać na wycieczkę przez Chiny!

- Chyba byłbyś bezpieczniejszy w samolocie - powiedziała Willy i sięgnęła po szklankę.

alous

Kiedy ją podniosła, zauważyła na obrusie ciemną plamę od mokrej serwetki. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że to atrament. Na odwrocie serwetki musiało być coś napisane...

- To zależy od samolotu. Od dzisiaj nie latam ruskimi.

Willy zauważyła, że Anglik uważnie się jej przygląda. Dodge scand

Hamilton, pomyślała. Zawsze w pobliżu. Zawsze na posterunku.

Zgniotła serwetkę.

- Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, wrócę do hotelu.

- Czy coś się stało? - zapytał Guy.

- Jestem zmęczona. I trochę mi niedobrze. Hamilton natychmiast odsunął swoją szklankę z lemoniadą.

- Wiedziałem, że należało pozostać wiernym whisky.

178

- Dojdzie do siebie. Zajmę się nią - odrzekł Guy, pomagając Willy wstać.

Na ulicach panował upał oraz chaos. Willy przyłgnęła do ramienia Guya, bojąc się nawet mówić o swoich podejrzeniach. Ale on wyczuł, że jest podminowana.

Gdy znaleźli się w pokoju, Guy zamknął drzwi i zaciągnął

zasłony. Willy rozprostowała serwetkę. W świetle lampki nocnej z trudem odcyfrowali rozmazany napis.

„02 00. Za hotelem”.

- Co o tym myślisz?

Guy nie odpowiedział. Przemierzał pokój, myśląc i rozważając ryzyko. Potem podarł serwetkę na kawałki i zniknął w łazience.

Usłyszała szum wody w toalecie. Kiedy wyszedł, jego twarz była alous

nieodgadniona.

- Połóż się. Na rozstrojony żołądek nie ma nic lepszego niż sen.

Zgasił lampkę. Na podświetlonej tarczy zegarka zobaczyła, że jest wpół do ósmej. Trzeba będzie długo czekać.

Tej nocy prawie nie spali.

scand

W ciemności liczyli upływające godziny. Hałasy dochodzące z ulicy stopniowo cichły. Nie rozbierali się; czekali w napięciu, leżąc w łózkach, bojąc się zamienić nawet słowo.

Dopiero po północy Willy zapadła w sen. Wydawało się jej, że minęła tylko chwila, kiedy Guy ją zbudził. Ustami dotknął jej czoła i szepnął:

- Już czas.

179

Natychmiast oprzytomniała, czując szybkie bicie serca. Z butami w ręku poszła za nim.

Korytarz był pusty. Paliła się tylko jedna żarówka. Ruszyli na schody. Przechylając się przez poręcz na drugim piętrze, zajrzeli do głównego holu. Recepcja była także pusta.

Na klatce schodowej niósł się echem odgłos chrapania. Kiedy zeszli na dół, stwierdzili, że recepcjonista z otwartymi ustami śpi błogo na leżance.

Poprzez drzwi dla służby Guy i Willy wymknęli się na dwór, gdzie panowały kompletne ciemności. Guy przytrzymał ją za rękę.

Przyzwyczała się już, że może ufać jego uściskowi. Czekali w wąskim przejściu za budynkiem.

Po paru minutach bardziej wyczuli, niż usłyszeli jakiś ruch.

alous

Zobaczyli ją dopiero wtedy, gdy stanęła obok.

- Chodźcie - powiedziała. Willy rozpoznała głos Nory.

Podążali za nią uliczkami i ścieżkami, zagłębiając się coraz bardziej w labirynt miasta. Nora milczała. Od czasu do czasu w świetle latarni widać było jej stożkowaty kapelusz i ciemną, marnej scand

jakości bluzę.

Zatrzymali się w alejce pełnej kałuż, gdzie stały oparte o ścianę trzy rowery. Ktoś wcisnął Willy i Guyowi do rąk tobołki z wietnamskimi piżamami i kapeluszami, pachnącymi jeszcze świeżą trawą. Ubrali się po ciemku.

Jechali za Norą podmiejskimi drogami. Cienie przybierały dziwaczne kształty, gałęzie drzew wyciągały do nich swe ramiona.

180

Droga wiła się jak wąż. Willy straciła poczucie kierunku. Może jeżdżą tak w kółko?

Budynki ustąpiły miejsca chatom i zagonom. Zatrzymali się w końcu przy starej ciężarówce na poboczu. Przez okno kierowcy widać było żarzącego się papierosa. Drzwi otworzyły się i wysiadł z niej Wietnamczyk. Poszeptał chwilę z Norą, potem rzucił papierosa i wskazał im tył ciężarówki.

- Wsiadajcie - poleciła Nora. - On was stąd zabierze.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Willy.

- Nie czas na pytania. Pospieszcie się. - Nora odchyliła plandekę i gestem kazała im wsiadać.

- Nie jedziesz z nami?

- Nie mogę. Zauważą, że zniknęłam. Prędeż. Wspięli się po alous

zderzaku i skoczyli na worki z ryżem.

- Cierpliwości. To długa jazda. Macie wodę i jedzenie.

- Kim jest kierowca? - spytał Guy.

- Żadnych nazwisk. Tak jest bezpieczniej.

- Możemy mu zaufać? Nora zawahała się.

scand

- Czy komukolwiek można ufać? - zapytała i pociągnęła za klapę plandeki. Płótno opadło i odcięło ich od nocy.

Czekała ją długa jazda rowerem do domu. Dobrze знаła drogę, nawet po ciemku. Tej nocy czuła w powietrzu jakieś zło. Uczucie było tak mocne, że przystanęła i spojrzała za siebie. Na minutę wstrzymała oddech i czekała. Nie było ruchu, tylko chmury przetaczały się na tle 181

księżycu. To wyobraźnia, pomyślała. Nikt za nią nie jechał. Była ostrożna. Musiałaby coś zauważyć.

Odetchnęła i pojechała w stronę domu.

Zostawiła rower we wspólnej komórce i po chwiejących się schodach wspięła się do swojego mieszkania. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Fakt ten nabrał znaczenia dopiero wtedy, gdy jedną nogą znalazła się za progiem. Ale wtedy było już za późno.

Drzwi się za nią zamknęły. Odwróciła się w momencie, kiedy ktoś skierował na jej twarz światło. Oślepią postąpiła krok do tyłu.

- Kto... Co...

Czyjeś ręce chwyciły ją od tyłu. Na karku poczuła ostrze noża.

- Ani słowa - usłyszała.

Mężczyzna był tak wysoki, że jego cień przysłaniał całą ścianę.

alous

- Czekaliśmy na panią, panno Walker. Dokąd pani ich zabrała? -

zapytał.

- Kogo?

- Poszła pani do hotelu, żeby się z nimi spotkać. A stamtąd?

- Nie... - Wstrzymała oddech, bo skóra pod nożem zaczęła ją scanda
szczypać i poczuła na karku strużkę krwi.

- Spokojnie, panie Siang. Mamy całą noc.

- Proszę. Nic nie wiem... - Nora zaczęła płakać.

- Ależ pani wie. I powie nam pani, prawda? To tylko kwestia czasu.

Przez szpary w plandecy widać było świt. Słońce sączące się poprzez drzewa, kłęby kurzu na drodze,
jaskrawozielone poletka ryżu.

182

Jechali już wiele godzin i worki ryżu za plecami stały się twarde jak beton. W skrzynce znaleźli
butelkę wody, bochenek chleba i cztery jajka na twardo. Wydawało się, że to wystarczy. Ale dzień
dłużył się, było duszno i tak gorąco, że woda stawała się coraz bardziej cenna.

Racjonowali ją, jeden łyk co pół godziny. To zaledwie zwilżało gardła.

Okolo południa ciężarówka zaczęła wspinać się pod górę.

- Dokąd jedziemy?

- Na zachód. W góry. To chyba droga do Dien Bien Phu.

- W stronę Laosu?

- Tam, gdzie rozbił się samolot twojego ojca. Guy zdjął mokrą od potu koszulkę, nie zważając na
komary. Blizna na brzuchu przyciągnęła wzrok Willy. Chciała jej dotknąć, ale cofnęła dłoń.

alous

- Nie boli - powiedział cicho, biorąc ją za rękę i prowadząc jej palce po skórze.

- Ale musiało bardzo boleć, kiedy to się stało.

- Nie pamiętam. A przynajmniej nie na poziomie świadomości.

Najśmieszniejsze, że pamiętam dokładnie, co się działo, zanim scand

samolot się rozbił. Toby siedział obok i mówił coś o pilocie, który wyglądał jak jego koleś z AA. Podobno najlepsi piloci to pijaczkowie; na trzeźwo nikt by nie latał taką kupą złomu. Pamiętam, jak się śmiałem, kiedy byliśmy na pasie startowym. A potem... Mówili, że odpiąłem mu pasy i wyciągnąłem go, zanim wszystko wyleciało w powietrze. Nawet nazwali mnie bohaterem. Otworzył butelkę z wodą i wypił łyk.

183

- Wygląda na to, że zasłużenie.

- Wygląda na to, że nie wiedziałem, co robię.

- Bohaterami zostają ci, którzy wcale tego nie chcą. Odwaga to nie jest brak strachu - to podjęcie działania w obliczu zagrożenia.

- Tak? To jestem najlepszy z najlepszych - rzekł Guy ze śmiechem.

Zesztywniał, bo ciężarówka nagle zwolniła i stanęła. Z daleka dobiegły jakieś ostre rozkazy. Popatrzyli na siebie z niepokojem.

- Co się stało? Co oni mówią?

- Jakaś blokada dróg. Żołnierze wszystkich zatrzymują.

Kontrola.

- O Boże. Co teraz? Przyłożył palec do ust.

- Zrobił się korek. Potrwa, zanim dojdą do nas.

alous

- Możemy się wycofać i zawrócić? Wyrzał przez szparę w plandece.

- Nie ma szans. Ciężarówki po obu stronach. Willy w panice szukała jakiegoś worka, skrzynki, czegokolwiek na tyle dużego, by mogli się w tym ukryć. Głosy żołnierzy się przybliżały.

scand

Musimy uciekać, pomyślała. Wokoło były pola ryżowe, ich ucieczkę zauważono by natychmiast.

Nie się nam nie stanie, nie odważą się. Jesteśmy Amerykanami, przemknęło jej przez myśl. Jak gdyby paszport mógł stanowić w tym zwariowanym świecie jakąś ochronę.

Byli tuż obok, sądząc po głosach, dwóch żołnierzy. Kierowca próbował wykręcić się od kontroli żartami, śmiał się i częstował

184

papierosami. Musiał mieć nerwy ze stali; w jego głosie nie było ani cienia niepokoju.

Próby przekupstwa nie udały się. Rozległy się kroki na zwirowanej drodze i zatrzymały się z tyłu ciężarówka.

Guy instynktownie popchnął Willy na worki i zasłonił ją swoim ciałem. Jakaś ręka podniosła klapę i poszperała pomiędzy workami...

Zatrzymała się. W oddali zabrzmiał klakson. Zapiszczały opony, rozległ się odgłos gnieczonego metalu i krzyki kierowców. Ręka wycofała się, a klapa plandeki opadła. Żołnierze wymienili między sobą kilka ostrych słów, kroki ucichły. W sekundzie kierowca rzucił

się do kabiny i nacisnął gaz. Ciężarówka szarpnęła i Guy, straciwszy równowagę, upadł tuż obok Willy na worki z ryżem. Pędzili teraz, omijając korek, śmiejąc się z ulgą. Guy złapał ją w ramiona i mocno alous

pocałował w usta.

- A to z jakiej okazji?

- Czysty instynkt - powiedział szeptem.

- Zawsze słuchasz swojego instynktu?

- Jeżeli wiem, że mi to ujdzie płazem.

scand

- I liczysz na to, że i tym razem ci się uda?

W odpowiedzi złapał ją za włosy i pocałował znowu, dłużej, mocniej. Poczwała, jak szarpnął ją przyjemny skurcz i ogarnęło pożądanie tak gwałtowne, że nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Wydaje mi się - zamruczał - że chcesz tego tak bardzo jak ja.

Ze złości popchnęła go na plecy.

185

- Ty żałosny palancie, ja ci teraz pokażę! Dostaniesz to, na co zasługujesz!

- Dostanę? - Śmiał się. - A właściwie co dostanę? Przez chwilę wpatrywała się w niego poprzez półmrok i kurz, a potem pochyliła nad nim twarz.

- To - powiedziała cicho.

Ten pocałunek był inny. Ciepleszy. Bardziej głodny. Willy zdawała sobie sprawę, że gra niebezpiecznie, że zbliża się moment, od którego nie będzie odwrotu. Będzie tego żałować. Zapłacę za to. Ale jest tak cudownie...

Oderwała się od niego, z trudem łapiąc oddech.

- Panno Maitland! Jestem zdumiony. Usiadła i spróbowała uporządkować włosy.

alous

- Nie miałam zamiaru tego zrobić.

- Miałaś.

- To była głupota.

- To dlaczego to zrobiłaś?

- Czysty instynkt. - Spojrzała mu prosto w oczy. Upadł na worki scand

i śmiał się do rozpuku.

- Jesteś kompletnie zwariowany.

Objął jej szyję ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Tylko na twoim punkcie.

Siang siedział za kierownicą czarnej limuzyny z przyciemnionymi szybami i przeklinał szosę. Nigdy nie rozumiał, dlaczego komunizm i dobre drogi wykluczają się wzajemnie. A do 186

tego korki i kontrola pojazdów. Widok uzbrojonych żołnierzy na drodze go zaniepokoił, ale kilka gładkich słów człowieka z tylnego siedzenia, machnięcie radzieckim paszportem dyplomatycznym i pozwolono im jechać dalej.

Podążali na zachód. Znak drogowy potwierdził, że była to droga do Dien Bien Phu. Jakiś dziwny omen, pomyślał Siang, że jadą do miasta, gdzie Francuzi zostali pokonani, gdzie Wschód zatriumfował

nad Zachodem.

Spojrzał w lusterko wsteczne i na siedzącego z tyłu mężczyznę.

On nie myśli w kategoriach Wschodu i Zachodu. Nie dba o narody i ojczyzny czy patriotyzm. Prawdziwa władza, powiedział kiedyś Siangowi, jest w rękach jednostek, ludzi wybranych, którzy wiedzą, jak jej użyć, jak ją zachować, i on ją zachowa.

alous

Siang nie miał co do tego wątpliwości. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy się poznali. Było to w Dolinie Szczęścia, w bazie amerykańskiej nazywanej przez żołnierzy Polem Golfowym. Był rok 1967. Siang nazywał się wtedy inaczej. Był chudym, bosym trzynastolatkiem, głodującym z innymi sierotami. Kiedy zobaczył Amerykanina, wydał

scand

mu się olbrzymem. Wielka mięsista twarz, ręce, które mogły złamać nogę dziecka. Dzień był gorący, a Siang sprzedawał napoje.

Mężczyzna kupił coca-colę, wypił ją kilkoma haustami i oddał mu pustą butelkę. Kiedy Siang ją odbierał, poczuł na sobie jego badawcze spojrzenie.

187

Od następnego dnia Amerykanin codziennie, przez cały tydzień, wychodził z bazy, by kupić coca-colę. Chociaż kilkoro dzieci biło się o takiego klienta, ten kupował colę tylko od Sianga.

Pod koniec tygodnia Amerykanin podarował chłopcu nową koszulę, trzy puszki wołowiny i zdumiewającą sumę gotówki.

Powiedział, że wyjeżdża następnego dnia i kazał chłopcu przyprowadzić najładniejszą dziewczynę, jaką znajdzie.

Jak się potem dowiedział, był to tylko test. Przeszedł go.

Amerykanin zdziwił się, kiedy Siang pojawił się tego wieczoru u bram bazy z niezwykle piękną dziewczyną. Najwidoczniej spodziewał

się, że Siang weźmie pieniądze i się ulotni.

Ku zdumieniu chłopca mężczyzna odesłał dziewczynę, nawet jej nie dotknąwszy. Za to poprosił Sianga, by został - nie jako kochanek,alous

czego mały się obawiał - ale jako służący.

- Potrzebuję kogoś zaufanego. Nauczę cię... - powiedział.

Mimo że upłynęło już tyle lat, Siang nadal odczuwał lęk, kiedy patrzył na Amerykanina. Spojrzał

znovu w lusterko wsteczne na twarz, która niewiele zmieniła się od dnia, kiedy poznali się w Dolinie scand

Szczęścia. Policzki stały się bardziej nalane i ogorzałe, ale oczy zostały takie same, bystre i przenikliwe. Tak jak umysł. Te oczy go przerażały.

Siang skierował wzrok na drogę. Mężczyzna nucił Yankee Doodle. Osobliwy gust, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że legitymuje się radzieckim paszportem. Siang uśmiechnął się do siebie.

188

Wszystko, co dotyczyło tego człowieka, było inne, niż się wydawało.

alous

scand

189

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Późnym popołudniem ciężarówka się zatrzymała. Willy, drzemiąca pomiędzy workami z ryżem, przewróciła się na plecy i spróbowała zebrać myśli. Ciało jej wysyłało sygnał: pomocy! Bolał ją każdy mięsień, każda kość. Silnik zgasi.

- Nie śpisz?

Zobaczyła nad sobą twarz Guya pokrytą kropelkami potu.

- Która godzina?

- Koło piątej. Mój zegarek stanął. Usiadła i z gorąca zakręciło się jej w głowie.

- Gdzie jesteśmy?

alous

- Nie wiem. Chyba koło granicy.

Guy znieruchomiał, słysząc przybliżające się kroki i męskie głosy mówiące po wietnamsku.

Ktoś odrzucił klapę plandeki. Jeden z Wietnamczyków pokazał

ręką, że mają wysiąść.

scand

- Za nami. Nic nie mówcie - powiedział drugi. Willy wyskoczyła i poczuła, że ziemia ugięła się pod

nią jak gąbka. Dżungla, pomyślała.

Guy znalazł się obok niej i oboje stali niepewnie, oślepieni słońcem, oddychając wreszcie świeżym powietrzem. Wysoko w gałęziach zaskrzeczał ostrzegawczo ptak.

Ruszyli w stronę gąszczy drzew, kiedy usłyszeli silnik.

Ciężarówka odjeżdżała bez nich. Willy spojrzała na Guya i w jego 190

oczach odczytała to, o czym pomyślała sama: teraz już nie ma odwrotu.

- Nie zatrzymywać się. Idziemy!

Wietnamczycy znali drogę, bo sprawnie zaprowadzili ich przez płataninę pnączy i gałęzi do samotnie stojącej chaty. W drzwiach wisiał podarty koc z napisem US Army. W środku, na podłodze ze słomianych mat, stała prycza osłonięta moskitierą. Na niskim stoliku przygotowano skromny posiłek złożony z bananów, kawałków kokosa i zimnej herbaty.

- Zaczekajcie tu. Może być długo - powiedział jeden z mężczyzn.

- Na kogo? - spytał Guy.

Mężczyzna nie odpowiedział i zniknął niczym duch.

alous

Willy i Guy stali, nasłuchując odgłosów dżungli i szumu palm na wietrze, przerywanego czasem ptasim krzykiem.

Ile mają czekać? Kilka godzin? Dni? Willy spojrzała na gęsty baldachim mokrych liści, przez które przebijały się ostatnie promienie słońca. Niedługo będzie ciemno.

scand

- Jestem głodna - powiedziała, wracając do środka.

Zjedli wszystkie banany, wydłubali nawet najmniejszy kawałek kokosa ze skorupy, wypili ostatnią kroplę herbaty. Nigdy w życiu tak nie smakował jej posiłek! Z pełnymi brzuchami i nogami drżącymi ze zmęczenia wśliznęli się pod moskitierę i zapadli w sen, jedno obok drugiego.

191

Nad ranem zaczęło padać. Lało rzeświście, ale deszcz nie przyniósł ochłody. Willy obudziła się w ubraniu mokrym od potu.

Wydostała się spod moskitiery. Zaraz się udusi. Podeszła do wyjścia i zaczerpnęła wilgotnego powietrza. Trudno było się oprzeć chłodnej mgiełce. Wyszła na ulewę. Wokół niej dżungla dudniła

tysiącem cymbałków.

- Co ty, do cholery, robisz? - usłyszała zaspany głos.

- Biorę prysznic - roześmiała się.

- W ubraniu?

- To jest cudowne! Chodź, zanim się skończy. Zawahał się, ale wyskoczył na dwór.

- Czy to nie wspaniałe? Nie mogłam już wytrzymać tego gorąca.

- Podczas wojny widziałem, jak dzieci to robią. Bez ubrań, zero alous

wstydu i skrępowania.

- Tak powinno być.

- To prawda - przyznał.

Willy wiedziała, że na nią patrzy. Odwróciła się i wytrzymała jego spojrzenie. Deszcz wybijał swój rytm na liściach palm. Bez scand

słowa podszedł i stanął tak blisko, że poczuła gorąco bijące od jego ciała. Nie poruszyła się. Krople wody spływające po jej twarzy były ciepłe jak łzy.

- No to co robisz w ubraniu? - szepnął.

- To się nie powinno stać. To byłaby tylko przygoda...

- To lepsze niż nic.

- Potem znikniesz.

192

- Tego nie wiemy.

- Ja wiem. - Chciała się odwrócić, ale przyciągnął ją do siebie.

Kiedy ich usta się spotkały, wiedziała, że przegrała bitwę.

To lepsze niż nic. Lepiej mieć cię raz i utracić, niż wiecznie zastanawiać się, jak mogłoby być, pomyślała. Zarzuciła mu ręce na szyję i odpowiedziała na jego pocałunek. Bluzka zsunęła się i Willy zadrżała nie z zimna, lecz z pożądania. Walczyli z mokrymi ubraniami i kiedy nie było już barier, Guy uniósł jej twarz i przylgnął wargami do jej ust. Jeszcze nigdy żaden pocałunek nie wdarł się tak w głąb jej duszy. Ciemności zawirowały, a ziemia usunęła się spod nóg.

Pozwoliła Guyowi zaprowadzić się do posłania i usłyszała szelest moskitiery.

Kochać się w chmurach, pomyślała, widząc nad sobą alous

powiewającą biel tkaniny. Tylko bębnienie deszczu i magiczny dotyk rąk i ust Guya. Tyle czasu minęło, odkąd się kochała, od bardzo dawna nie oddawała się rozkoszy. I bólowi. Będzie cierpieć, kiedy to się skończy, kiedy Guy odejdzie. Zignorowała ostrzegawczy podszept, już nie można było jej uratować. Przyciągnęła go do siebie i scand

wymruczała:

- Teraz. Proszę.

Jej cicha prośba pozbawiła go panowania nad swoim ciałem.

Schwycił ją za ręce i unieruchomił je nad jej głową, stała się jego chętną niewolnicą. Świat zniknął, istniała tylko noc, mgła i magia.

Doszli do krawędzi i tam, między rozkoszą a męką, poddali się temu, 193

co nieuniknione. W odgłosy dudniącego deszczu i jęk drzew wdarł się ich krzyk, kiedy oboje stoczyli się w przepaść.

Nie musieli nic mówić; wystarczyło leżeć ze splecionymi nogami i nasłuchiwać rytmu nocy.

Guy delikatnie odsunął pasmo włosów z policzka Willy.

- Dlaczego tak powiedziałaś?

- Co?

- Że zniknę. I że cię zostawię. Przewróciła się na plecy.

- Bo tak będzie.

- Chcesz tego?

Nie odpowiedziała. Naprawdę chciał usłyszeć, że po tej nocy zrobi wszystko, by go zatrzymać, by ją kochał?

- Willy?

alous

Usiadła i objęła ramionami podciągnięte kolana.

- Nic dobrego nie wynika z gadania o tym, co będzie potem. Już to przerabiałam.

- Nie ufasz mężczyznom.

- A powinnam?

scand

- Dlatego, że twój stary cię opuścił? A może to coś innego?

Nieszczęśliwa miłość?

- Wszystkiego po trochu.

- Rozumiem.

Zapadła cisza. Willy zadrżała pod dotykiem jego dłoni na swoich nagich plecach.

- Kto jeszcze opuścił cię poza ojcem?

194

- Ktoś, kogo kochałam. Kto mówił, że mnie kocha.

- A nie kochał.

- Myślę, że kochał. Na swój sposób. Niezbyt stały.

- Jeżeli tak, to nie była prawdziwa miłość.

- To brzmi jak słowa piosenki.

- Marnej piosenki. Oparła czoło o kolana.

- Racja. Marna.

- Ludzie dochodzą do siebie po zawodzie miłosnym...

- Och, ja też doszłam do siebie. Zabrało mi miesiąc, żeby się w nim zakochać. I rok, żeby patrzeć, jak odchodzi. Nauczyłam się jednego, że miłość nie sypie się w jeden dzień. Większość kochanków nie wstaje tak prostu i nie wychodzi. Robią to krok po krocisku, i każdy z nich jest bolesny. Zaczynają od: „Papierek nie ma znaczenia”, a

kończą na: „Potrzebuję więcej przestrzeni” i „Jak można obiecać, że na zawsze”. Chyba lepiej zrobił już mój ojciec. Żadnych wymówek.

Po prostu wyszedł z domu.

- Nie można kogoś ładnie opuścić.

- Masz rację. I dlatego nie dopuszczę, żeby mnie to znów scand

spotkało.

- Jak tego unikniesz?

- Nie dam szansy żadnemu mężczyźnie, żeby mnie opuścił.

- To znaczy, że odejdiesz pierwsza?

- Mężczyźni zawsze tak robią.

- Niektórzy.

Ty też, pomyślała z goryczą.

195

- A jak odszedłeś od swojej dziewczyny? Zostawiłeś ją przed czy po tym, jak się dowiedziałeś, że jest w ciąży?

- To nie była zwyczajna sytuacja.

- Zawsze tak się mówi.

- Zerwaliśmy ze sobą kilka miesięcy wcześniej. Nie wiedziałem o dziecku, dopóki się nie urodziło. Wtedy już nie mogłem niczego zmienić. Ginny wyszła wcześniej za męża.

- Och, to takie proste.

- Proste?

Po raz pierwszy usłyszała jego złość. Chciała cofnąć swoje okropne słowa.

- Masz jakieś idiotyczne przekonanie, że wszyscy faceci są jednakowi. Chcą za wszelką cenę wymigać się od odpowiedzialności.

alous

Posłuchaj, Willy. Fakt, że ktoś ma chromosom Y, nie czyni go paskudnym i złym człowiekiem.

- Nie powinnam była tego mówić. Przepraszam. Dotknęła łagodnie dłoni Guya, który się wpatrywał w sufit.

- Sam ma teraz trzy lata. Widziałem go dwa razy, raz u Ginny na scand

ganku, raz w przedszkolu, na placu zabaw. Poszedłem tam, żeby mu się przyjrzeć, zobaczyć, jakim jest dzieckiem, czy jest szczęśliwy.

Panie musiały dać znać Ginny, bo niedługo potem zadzwoniła ze straszliwą awanturą. Że rozwalam jej małżeństwo. Zagroziła, że postara się o zakaz zbliżania się do małego. Od tego czasu go nie widziałem...

W jego głosie słychać było drżenie.

196

- Zrobiłbym mu krzywdę, gdybym ingerował w jego życie. Sam ma ojca, i to dobrego. Skrzywdziłbym wszystkich, gdybym poszedł z tym do sądu. Może kiedy będzie starszy, znajdę jakiś sposób, żeby mu to wytłumaczyć. Aby wiedział, jak bardzo chciałem, żeby był częścią mojego życia.

A co z moim życiem? Ty też nie będziesz jego częścią, pomyślała ze smutkiem.

Wstała i w ciemnościach zaczęła szukać ubrania.

- Nie porzucaj swojego syna, Guy. Rada od porzuconego dziecka. Ojciec to cenny towar.

- Wiem. Nigdy się z tym nie pogodzisz, prawda? Strzepnęła swą mokrą bluzkę.

- Są sprawy, o których dziecko nigdy nie zapomina.

alous

- Ani nie wybacza.

Deszcz przycichł. W dachu z palmowych liści rozgadały się owady.

- Myślisz, że powinnam mu wybaczyć?

- Tak. scand

- Chyba mogłabym mu wybaczyć, że skrzywdził mnie. Ale nie moją matkę. Kiedy przypomnę sobie, przez co przeszła...

Nagle usłyszeli kroki w błocie obok chaty.

Guy zeskoczył z pryczy i stanął obok Willy.

Ktoś zdrapywał błoto z butów na progu, a zaraz potem ukazał się cień mężczyzny z latarnią w ręku.

197

Światło zalało ich i unieruchomiło jak w stop--klatce. Willy przyciskającą bluzkę do piersi, Guya sprężonego do walki. Przybysz, z twarzą schowaną w burozielonym poncho, opuścił latarnię i postawił

ją na stole.

- Przepraszam za opóźnienie. Drogi są dziś fatalne. - Rzucił jakiś tobołek obok latarni. - Spokojnie, panie Barnard. Gdybym chciał pana zabić, już by pan nie żył. Pani też.

- Kim pan jest, do cholery?

Kropelki wody rozpryskały się na podłodze, kiedy zdjął kaptur.

Miał jasne włosy, w świetle latarni prawie białe. Oczy jasne, twarz jak księżyc.

- Doktor Gunnel Andersen. Nora przysłała wiadomość, że przyjedziecie.

alous

Strząsnął wodę z poncho i powiesił je do wyschnięcia. Potem usiadł przy stole.

- Proszę się nie krępować i spokojnie ubrać.

- Jak Nora się z panem skontaktowała? - zapytał Guy, wciągając spodnie.

scand

- Mamy krótkofalówkę na potrzeby medyczne, do nagłych wypadków. Nie wszystkie częstotliwości są przez władze kontrolowane.

- Pracuje pan dla szwedzkiej misji?

- Nie, dla ONZ-etu. Zapewniamy opiekę medyczną we wsiach.

Pomoc humanitarna. Malaria, tyfus. Zawsze tu będą. - Rozwinął

198

tobołek. - Pewnie jesteście głodni. Nic wspaniałego, ale tyle tylko mogłem zdobyć. Był nieurodzaj, brakuje białka.

W zawiniątku znajdowało się bambusowe pudełko napełnione zimnym ryżem, konserwowanymi warzywami i mikroskopijnymi płatkami wieprzowiny w zastygłym sosie.

Guy natychmiast usiadł.

- Po bananach i kokosach to uczta.

Doktor Andersen spojrzał na Willy, która z kącika podejrzliwie ich obserwowała.

- Nie jest pani głodna, panno Maitland?

- Umieram z głodu.

- To dlaczego pani nie je?

- Najpierw chcę się dowiedzieć, kim pan jest. Co pana łączy z alous

Norą? Z moim ojcem?

Oczy doktora Andersena były przezroczyście.

- Czekala pani przez dwadzieścia lat na odpowiedź. Może pani poczekać jeszcze kilka minut.

- Willy, musisz coś zjeść. Siadaj - powiedział Guy.

scand

W końcu głód przyciągnął ją do stołu. Nie było sztucców. Użyli rąk, by wygarnąć ryż. Cały czas czuła na sobie oczy Szweda.

- Nie ufa mi pani.

- Już nikomu nie ufam.

- No to nauczyła się pani w ciągu kilku krótkich dni tego, co zajęło mi miesiące.

- Braku zaufania?

199

- Wątpliwości. Strachu. Nazywam to skradającą się niepewnością. Uczucie, że coś nie jest w porządku. Że gdzieś pod powierzchnią jest jakaś tajemnica, coś strasznego.

Latarnia zamigotała i przygasła. Deszcz bębnił o dach. Powiew wiatru, wilgotny i pełen zapachów dżungli, zawirował w drzwiach.

- Pani też to czuje.

- Wiem tylko, że za dużo było przypadków. Za dużo małych grzecznych ukłonów przeznaczenia. Jak gdyby wytyczono nam ścieżki, a my nimi podążyliśmy - wtrącił Guy.

- Nam wszystkim wytyczono ścieżki. Zwykle idziemy po dróżce najmniejszego oporu. Kiedy schodzimy z niej, robi się niebezpiecznie.

Mógłbym teraz siedzieć w moim domu, w Sztokholmie, popijać kawę i tyć od ciasteczek. Ale to mój wybór, że jestem tutaj.

alous

- I życie stało się groźne? - zapytała Willy.

- Nie o swoje życie teraz się obawiam. To było ryzyko, żeby was tu sprowadzać. Ale Nora uznała, że już czas.

- A więc to była jej decyzja?

- Pomyślała, że to może ostatnia szansa, żebyście się spotkali.

scand

- Spotkali? - Willy zamarła. Powoli skinął głową.

Willy chciała coś powiedzieć, ale straciła głos. Jej ojciec żyje.

- Gdzie on jest? - zapytał w końcu Guy.

- We wsi na północny zachód stąd.

- Jest więźniem?

- Ależ nie. Gościem. Przyjacielem.

- Nie jest przetrzymywany siłą?

200

- Nie od końca wojny. To może być trudne do zaakceptowania dla pani, panno Maitland, ale są Amerykanie, którzy w tym kraju znaleźli szczęście.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Nie rozumiem. Przez te wszystkie lata mógł wrócić do kraju...

- Wielu mężczyzn nie wróciło.

- Ale on miał wybór!

- Miał też powody.

- Powody? Miał wszelkie powody, żeby wrócić do domu!

Jej umęczony krzyk zawisł w powietrzu. Znowu zapadła cisza.

Potem Andersen wstał.

- Pani ojciec musi przemówić za siebie - oświadczył i skierował się do drzwi.

alous

- To dlaczego go tutaj nie ma?
- Trzeba to przygotować. Czas, miejsce...
- Kiedy go zobaczę? Lekarz zawahał się.
- To zależy.
- Od czego?

scand

- Od tego, czy ojciec zechce panią widzieć.

Długo po wyjściu Andersena Willy stała w drzwiach i wpatrywała się w kurtynę deszczu.

- Dlaczego miałby nie chcieć się ze mną spotkać? - rzuciła w ciemność.

Guy stanął za nią i objął ją mocno.

- Dlaczego?

201

- Willy, przestań.

Odwróciła się i ukryła twarz na jego piersi.

- Czy to było dla niego takie okropne? Bycie moim ojcem?

- Oczywiście, że nie.

- Musiał być przeze mnie nieszczęśliwy!

- Byłaś tylko dzieckiem, Willy! Nie możesz się obwiniać!

Czasami mężczyźni...

- Dlaczego?

- Nie wszyscy odchodzą. Niektórzy zostają, na dobre i na złe.

Poprowadził ją na ich legowisko. Pod srebrzystą moskitierą pozwoliła mu, by ją objął nie dla namiętności, ale dla ukojenia. Jak przyjaciel. Było dobrze, tak jak dobre było to, że się kochali. Ale nie mogła nie pomyśleć, nawet kiedy leżała w jego ramionach, że to też alous

się zmieni, i że on się zmieni. Myśl, że kiedyś ją opuści, że to tylko przelotne splątanie ramion i dusz, bolała ponad wszelką miarę. Willy oczekiwała cierpienia, ale nie była na nie gotowa.

Padało przez całą noc.

O świcie przed chatą pojawił się jeep.

scand

- Wezmę tylko kobietę - upierał się wietnamski kierowca.

- Beze mnie nie jedzie - protestował Guy.

- Powiedzieli tylko kobieta.

- To nie jedzie.

Kierowca wzruszył ramionami i wrócił do auta.

- Guy, proszę. Poczekaś tu na mnie.

- Nie podoba mi się to.

202

Wietnamczyk siedział już za kierownicą i zapalał silnik.

- Nie mam wyboru-powiedziała i wsiadła do jeepa. Kiedy odjeżdżali, odwróciła się i zobaczyła Guya stojącego samotnie wśród drzew. Wydawało jej się, że ją wołał, ale dżungla pochłonięła jego postać.

Jechali błotnistym szlakiem poprzez gąszcz. Gałęzie waliły w przednią szybę, woda lała się z liści i przyskała na ich twarze.

- Daleko? - zapytała, ale kierowca nie odpowiedział. - Dokąd jedziemy?

Znów milczenie. Usiadła wygodniej i czekała na to, co się wydarzy. Kiedy przejechali kilka kilometrów, szlak się urwał i zobaczyła ścianę dżungli. Kierowca wyłączył silnik.

Kilka promieni słońca przebiło się przez gęstwinę liści.

alous

Mężczyzna wysiadł i wyjął spod brezentu maczetę.

- Idziemy - oznajmił.

Bez słowa wysiadła i poszła za nim.

Jedynym dźwiękiem był odgłos cięcia maczetą. Willy, potykając się, z trudem nadażała za mężczyzną.

scand

Szybko przestała bronić się przed komarami. To stracona sprawa. Niech jej wypiją całą krew. Skoncentrowała się tylko na stawianiu jednej stopy przed drugą. Poruszała się w ponadczasowej próżni, gdzie odległość odmierzały jedynie przerwy między drzewami.

Gdy zatrzymali się, była zupełnie wyczerpana. Pokonana, oparła się o najbliższe drzewo i czekała na następny rozkaz.

203

- To tu - powiedział.

- Co...

Ku jej zdumieniu odwrócił się i ruszył w dżungłę.

- Zaczekaj! Nie zostawiaj mnie! Powiedz mi, gdzie jestem! -

krzyczała spanikowana.

- Tu, gdzie go znaleźliśmy - dobiegł ją jeszcze głos kierowcy.

Rozejrzała się wokół, nie było nikogo, wracało tylko echo jego słów.

Co to za miejsce?

W rozpaczę spojrzała na gęstą sieć gałęzi ponad głową. Wtedy zobaczyła monstrualną tylną płetwę rekina, wynurzającą się z liści.

To był ogon samolotu.

alous

scand

204

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Stopniowo, pod kamuflażem liści i poszycia, odkryła szczątki samolotu. Wsporniki kadłuba strzelały w niebo jak białe żebra martwego zwierzęcia. Liany wiły się wokół powyginanego metalu.

Rdza i tropikalna wilgoć zniszczyły oznakowanie, ale nadal można było odcyfrować numer seryjny: 5410.

Lot Air America 5078.

Pochyliła głowę. U jej stop tańczyły promienie słońca. Drzewa pięły się ku górze jak ściany katedry. Ten zardzewiały ołtarz wzniesiony ku czci wojny odpoczywał w pokoju.

Miała łzy w oczach, kiedy spojrzała na resztki kadłuba. Zostały alous

tylko kawałki pokładu i rozsypujące się wsporniki. Skrzydeł nie było, prawdopodobnie strzaskały się przy zetknięciu z ziemią. Poszła dalej, by zobaczyć resztki kokpitu.

Przez rozbitą przednią szybę prześwitywało słońce. Instrumenty nawigacyjne były wyrwane, spalone kable zwisały z dziur na tablicy.

scand

Ściany były podziurawione od kul.

Cofnęła się i wtedy usłyszała głos.

- Niewiele z niego zostało. Ale to samo można powiedzieć o mnie.

Willy odwróciła się i zamarła.

Z dżungli wyszedł człowiek w łachmanach. Poznała go po sposobie, w jaki się poruszał, a nie po ciele, które zostało kompletnie zdegradowane.

205

Nie miał uszu ani brwi. Z włosów pozostały wyniszczone kępki.

Podszedł do niej na kilka metrów i zatrzymał się, jak gdyby bał się zbliżyć.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Jesteś dorosła - odezwał się w końcu.

- Tak. Chyba tak.

- Nieźle wyglądasz, Willy. Wyszłaś za męża?

- Nie.

- Powinnaś.

Oboje popatrzyli pod nogi, potem znów na siebie, jak dwoje obcych szukających czegoś wspólnego.

- Jak twoja matka? - zapytał cicho. Willy starała się odpędzić łzy mruganiem.

alous

- Jest... umierająca.

Poczuła bezsensowną satysfakcję, kiedy ojciec zamilkł

zszokowany.

- Rak. Chciałam już dawno, żeby poszła do lekarza, ale wiesz, jaka ona jest. Nigdy o sobie nie myśli. Nigdy nie ma czasu... - Głos jej scand

się załamał i ucichł.

- Nie wiedziałem - wyszeptał.

- Skąd miałeś wiedzieć? Przecież nie żyjesz. Spojrzała na niebo i nagle gorzko się roześmiała.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby do nas napisać? Jeden list z zaświatów?

- Byłoby jeszcze trudniej.

206

- Trudniej? Jeszcze trudniej?

- Po mojej śmierci Ann odzyskała wolność. Mogła kogoś poznać. Lepszego ode mnie.

- Ale nie poznała! I nawet nie próbowała! Myślała tylko o tobie.

- Miałem nadzieję, że zapomni. Że się z tym pogodzi. Przykro mi, Willy.

- Mnie też - odpowiedziała po chwili.

W drzewach zaśpiewał ptak. Słodkie dźwięki jego melodii rozdarły ciszę.

- Co się z tobą działo?

- Od czego miałbym, do diabła, zacząć? Krążył między drzewami jak ktoś, kto się zgubił.

Zatrzymał się przy kadłubie.

alous

- Śmieszne, ale w ogóle nie straciłem przytomności. Nawet wtedy, gdy zacząłem ścinać drzewa, kiedy wszystko wokół mnie się łamało. Pamiętam, że zastanawiałem się, kiedy znajdę się w niebie.

Albo w piekle. A potem wszystko stanęło w płomieniach. Oto moja odpowiedź, moja wieczność, pomyślałem.

scand

Zrobił przerwę i głęboko westchnął.

- Znaleźli mnie niedaleko stąd. Część twarzy miałem spaloną.

Nic nie czułem.

Popatrzył na ręce, całe w bliznach.

- Ból przyszedł później. Kiedy próbowali oczyścić rany, kiedy nerwy zaczęły się regenerować. Wrzeszczałem na nich, żeby dali mi umrzeć, ale byłem zbyt cenny.

207

- Bo byłeś Amerykaninem?

- Bo byłem pilotem. Źródłem informacji, kartą przetargową.

Może kimś, kto będzie głosił dobre słowo partii po powrocie do kraju...

- Torturowali cię? Potrząsnął przecząco głową.

- Chyba doszli do wniosku, że jestem wystarczająco storturowany. To była łagodna perswazja. Niekończące się dyskusje.

Poprzysiągłem sobie, że nie zrobią mi wody z mózgu. Ale byłem słaby, z dala od domu. Oni mówili i mówili, a ja nie miałem argumentów. Po jakimś czasie nabrało to sensu. Że są u siebie w domu, a my byliśmy włamywaczami. Nie walczyłybyś z włamywaczem? Już nic nie wiem. Jestem zmęczony. Zmęczony tłumaczeniem tego, co robiłem w ich kraju. Obroną sam już nie wiem alous

czego. Łatwiej było się z nimi zgodzić. Potem zacząłem wierzyć w ich słowa. W opinii niektórych czyni mnie to zdrajcą.

- Dla mnie nie jesteś zdrajcą. - Nie odpowiedział, toteż zapytała:

- Dlaczego nie wróciłeś?

- Popatrz na mnie, Willy. Kto by mnie ze chciał?

scand

- My.

- Nie chciałybyście takiego człowieka, jakim się stałem. -

Roześmiał się głucho. - Wytykano by mnie palcami, szeptano za plecami, mówiono o mojej twarzy. Chciałybyś mieć takiego ojca? A twoja matka takiego męża? Ludzie oczekują, że będziesz mieć nos,

uszy i brwi. Ann... była taka piękna. Nie mogłem wrócić.

208

- A co masz tutaj? Zobacz, co masz na sobie, jaki jesteś chudy.

Głodujesz, wyniszczasz się.

- Jem to, co reszta wioski. Można przeżyć. A o ciuchy nigdy nie dbałem.

- Zostawiłeś rodzinę!

- Mam tutaj inną rodzinę, Willy. Utkwiła w nim zdumiony wzrok.

- Mam żonę. Ma na imię Lan. Mamy dzieci. Dziewczynkę i dwóch chłopców. Mówią po angielsku i trochę po francusku...

- Miałeś nas!

- Ale byłem tutaj. Lan ocaliła mi życie. To ona była przy mnie w gorączce, infekcjach, nieustannym bólu.

- Mówisz, że chciałeś umrzeć.

alous

- Sprawiała, że znowu zapragnąłem żyć.

Willy patrzyła na człowieka z połową twarzy, który kiedyś był

jej ojcem. Pozbawione rzęs oczy odwzajemniły to spojrzenie, oczekując wyroku.

Ona ma twarz i normalne życie, więc jakie ma prawo go scand

potępiać?

- A więc co mam powiedzieć mamie?

- Nie wiem, może nic.

- Ma prawo wiedzieć.

- Może lepiej, żeby nie wiedziała.

- Lepiej dla kogo? Dla niej czy dla ciebie?

209

- Zasłużyłem na to. Ale Bóg wie, że chciałem jej to wynagrodzić. Tobie też. Wysyłałem pieniądze. Dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy dolarów.

- Nie wiedziałyśmy, kto je wysyłał.

- I dobrze. Załatwiła to Nora Walker, przez bank w Bangkoku.

Wszystko, co miałem. Co pozostało ze złota.

Zobaczyła, że jego wzrok powędrował w stronę kadłuba.

- Nie wiedziałem. W Air America panowała zasada, żeby nigdy nie pytać o ładunek. Ale kiedy wyczołgałem się z rozbitego samolotu, zobaczyłem porozrzucane sztabki złota. Miałem spaloną połowę twarzy, ale pomyślałem, że jeżeli przeżyję, będę bogaty.

Rozśmieszyło go własne szaleństwo. Człowieka umierającego wśród popiołów.

alous

- Część złota zakopałem. Myślałem, że to mi pomoże się stąd wydostać. Że kupię sobie wolność, jeżeli mnie złapią.

- I co się stało?

- Znaleźli mnie. I większość złota. Żołnierze armii Wietnamu Północnego. scand

- Nie musiałeś tu zostawać. Czy kiedykolwiek pomyślałeś o nas?

- Nigdy nie przestałem o was myśleć. Po wojnie, kiedy to szaleństwo się skończyło, wróciłem tu i wykopałem złoto, którego nie znaleźli. Poprosiłem Norę, żeby je wam dostarczyła. Nie rozumiesz?

Nigdy o was nie zapomniałem. Tylko... tylko nie mogłem wrócić.

W gałęziach szumiał wiatr i zasypywał ich liśćmi.

- Chyba chcesz wracać do Hanoi. Ktoś cię odwiezie...

210

- Tato?

Nie podniósł wzroku.

- Twoi synowie. Mówią po angielsku. - Zawahała się. - Więc powinniśmy się zrozumieć. Jeżeli chcą mnie poznać...

Wytarł oczy, ale kiedy zwrócił się ku niej, zobaczyła ślady łez.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

Zbyt długo nie wraca.

Minęły już trzy godziny i Guy był przerażony. Coś musiało się stać. Pojawiały się przed nim obrazy, co jeden to gorszy. Willy krzyczy. Umiera. Leży martwa w dżungli. Kiedy usłyszał silnik jeepa, był już w panice.

Za kierownicą siedział doktor Andersen.

- Dzień dobry! - zawołał wesoło. alous

- Gdzie ona jest?

- Jest bezpieczna. Wsiadaj.

Guy wskoczył i skręcili na leśną drogę.

- Bądź cierpliwy. To długa jazda - oznajmił Andersen.

Nocna ulewa zamieniła szlak w błoto. Nie miał pojęcia, ile scand

kilometrów przejechali. Dżungla napierała na drogę z obu stron i niepodobna było określić odległości. Nagle zatrzymali się. Dopiero kiedy Guy wysiadł i wszedł między drzewa, zauważył ścieżynkę prowadzącą w busz.

- Stąd już pójdziemy.

- Po co ten kamuflaż? - zapytał Guy, patrząc, jak Andersen przykrywa jeepa gałęziami.

211

- Bezpieczniej dla wioski.

- Czego się boicie?

Andersen sięgnął pod brezent na tylnym siedzeniu, wyciągnął

kałasznikowa i zarzucił go na ramię.

- Wszystkiego - odparł i wszedł w dżungłę. Ścieżka prowadziła w cienisty świat trzydziestometrowych drzew i splecionych lian. Co za ironia, pomyślał Guy. Lekarz z automatem. Ciekawe, na jakiego wroga.

W nozdrza uderzył go znajomy zapach zgnilizny i błota kiszącego się w upale. Podczas wojny mówili, że w dżungli panuje odór śmierci. Zmysły wyostrzyły się; złamana gałązka pod butem wystrzeliła jak ogień z broni maszynowej.

Usłyszał odgłosy życia wioski, zanim ją zobaczył. Plusk wody i alous

placz niemowlęcia. Gdzieś głęboko w lesie śmiały się dzieci. Kiedy rozwarła się ostatnia kurtyna liści, Guy zobaczył półkole chat, przed którymi bawiła się gromadka dzieci. Na widok Guya i Andersena zamarły. Jedna z dziewczynek krzyknęła i z chat wyszło kilkunastu ludzi. W ciszy obserwowali Guya.

scand

Na progu jednej z chat pojawiła się znajoma postać. Willy podeszła do Guya, a on poczuł nieodparte pragnienie, by wziąć ją w ramiona i pocałować w obecności całej wioski, całego świata. Nie mógł się jednak ruszyć.

- Znalazłam go. Znalazłam mojego ojca - powiedziała.

Na progu ukazał się człowiek bez uszu i brwi. Straszliwa zjawa wyciągnęła rękę bez połowy palca. William Maitland się uśmiechnął.

212

- Witam w Na Co, panie Barnard.

Mimo kamuflażu z łatwością odnaleźli jeepa doktora Andersena. Szczęście, że padały deszcze, bo gdyby nie błoto, Siangowi byłoby trudno wypatrzyć ślady opon. Odrzucił gałęzie i zbadał wnętrze samochodu. Na tylnym siedzeniu, pod zielonym brezentem, leżała butelka wody, jakieś narzędzia i zniszczony notes, najwyraźniej dziennik. Na wewnętrznej stronie okładki widniał

podpis: dr Gunnel Andersen.

Tylko chwilę zajęło Siangowi odnalezienie śladów stóp dwóch mężczyzn. Zaprowadziły go szybko do często używanej dróżki. A więc jest w pobliżu wioski Na Co.

Wrócił do samochodu, w którym czekał mężczyzna.

- To jest droga do wsi.

alous

- Tej, której szukamy?

- Jest dużo wsi w górach, ale samochód należy do Andersena.

- To tutaj. Dziś muszą tu się znaleźć nasi ludzie - powiedział z satysfakcją.

- Tak szybko?

scand

- Tak pracuję. Wchodzimy, wychodzimy. Ludzie są gotowi.

Zebrana w Tajlandii piętnastka najemników, wyposażona w najnowocześniejszą broń, czekała od dwóch dni na rozkaz.

- Będziemy potrzebować psów. Do wykończenia. Cała wieś.

- A dzieci? - zapytał Siang.

- Nie zostawia się sierot.

213

Zaniepokoiło to Sianga, lecz się nie odezwał. Wiedział, że nie należy kwestionować wyższej konieczności. Czy siły.

- Czy w jeepie jest radio? - zapytał mężczyzna.

- Tak.

- Wyrwij je.

- Andersen zobaczy...

- Już nic nie zobaczy.

Siang natychmiast go zrozumiał.

Mężczyzna odjechał, by spotkać się z kimś nieopodal. Siang zaczekał, aż samochód zniknie, wrócił do jeepa, wyrwał kabelki i rozbił panel. Znalazł pod drzewem zacienione miejsce i usiadł.

Zamknął oczy i zebrał w sobie siły do wykonania zadania.

Zaraz przyjdzie pomoc. Wieczorem stanie tu grupa najemników.

alous

Nie myślał o kobietach i dzieciach. To skutki wojny. W każdej potyczce są cywilne ofiary. Nauczył się akceptować to, co nieuniknione. Pociąganie za spust wymaga głowy wolnej od emocji.

- Czy ona zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa? - spytał

Maitland.

scand

- Nie wiem.

- Mówi, że wiele już się wydarzyło.

- Zostają za nami zabici, na prawo i lewo. Śledzi nas miejscowa policja, może ktoś jeszcze.

- Firma?

- Nie wiem. Nie przedstawili się.

Maitland, nagle zdenerwowany, zaczął przemierzać chatę.

214

- Jeżeli wiedzą, gdzie jesteście...

- Przed kim się ukrywasz?

- Przed wszystkimi. Chciałem tylko, żeby mnie zostawili w spokoju. Tylko tyle.

Guy popatrzył na blizny na głowie Maitlanda i zdziwił się, że nie czuje litości. Ten człowiek myśli tylko o sobie. Willy zasługuje na lepszego ojca.

- Twoja córka już cię odnalazła. Nie zmienisz tego. Nie wepchniesz jej z powrotem w przeszłość.

- I nie chcę. Cieszę się, że mnie znalazła.

- Ale nie przyszło ci do głowy, żeby powiadomić ją, że żyjesz.

- Nie mogłem. Chodziło o życie. Lan, dzieci. - Jego oczy były pełne bólu.

alous

- Nikt im nic nie zrobi. Minęło dwadzieścia lat, a ty nadal się boisz. Dlaczego? W co jesteś zamieszany?

- Byłem tylko pionkiem, latałem samolotem. Nie obchodził mnie ładunek!

- Co to było? Narkotyki? Broń?

scand

- Jedno i drugie.

- Dla której strony?

- Nigdy nie robiłem interesów z wrogiem! Wykonywałem tylko rozkazy!

- Jaki był ostatni rozkaz?

- Dostarczyć pasażera.

- Interesujący ładunek. Kto to był?

215

- Nie znałem jego nazwiska. Domyśliłem się, że to jakiś laotański VIP. Okazało się, że był na odstrzał. Ale to nie ogień nieprzyjaciela nas załatwił. W luku wybuchła bomba. Podłożona przez naszych. My mieliśmy też zginąć.

- Dlaczego?

Zapadła długa cisza. Na koniec Maitland wstał, podszedł do wyjścia i popatrzył na chaty.

- Czas, żebyśmy porozmawiali ze starszyzną.

- Co mogą mi powiedzieć?

Maitland odwrócił się i zatrzymał na nim wzrok.

- Wszystko.

W rogu chaty zapłakało dziecko Lan. Przystawiła je do piersi i ukołysała, cały czas nasłuchując.

alous

Wszyscy słuchali - dzieci, rodziny. Willy nie rozumiała, o czym mówili, ale wiedziała, że to ważne.

Na środku chaty siedziało trzech starszych - dwóch mężczyzn i kobieta, która mamrocząc po wietnamsku, paliła papierosa. Wskazała na niebo, a potem na Maitlanda.

scand

- Mówi, że to nie był czas dla twojego ojca. Tamci dwaj, Amerykanin i Laotańczyk, zginęli, bo takie było ich przeznaczenie.

Jeden ze starszych przemówił ledwo słyszalnym głosem:

- Nie zgadza się. To nie przeznaczenie zabiło Laotańczyka -

przetłumaczył Guy.

Teraz nastąpiła ogólna debata na temat jego śmierci. Stary człowiek w końcu wstał i powłócząc nogami poszedł w róg chaty, 216

podniósł matę przykrywającą klepisko i spod warstwy ziemi wyciągnął zawiniątko. Trzęsącymi się rękami rozwinał je i pokazał

jakiś przedmiot. W półmroku chaty zaświeciło złoto.

- To medalion. Lassiter o nim wspominał - powiedziała Willy szeptem.

- Należał do Laotańczyka - dodał jej ojciec. Stary człowiek podał

zawiniątko Guyowi. Jego oczom ukazał się trój głowy smok z obnażonymi kłami i pazurami gotowymi do walki.

Mężczyzna wyszeptał jakieś słowa pełne szacunku i lęku.

- Wiele lat temu widział taki medalion w Laosie, na piersi księcia Souvanny.

Guy aż zachłysnął się powietrzem.

- To godło królewskie. Twój pasażer...

alous

- Był przyrodnim bratem króla. Księciem Lo Van - wyjaśnił

Maitland.

Przez tłum przeleciał pomruk.

- Nie rozumiem. Dlaczego Firma chciała go uśmiercić? -

zapytała Willy.

scand

- To nie ma sensu. Lo Van był neutralny, z inklinacją na naszą stronę. Byłby świetnym przywódcą. Z naszym poparciem zapewniłby nam przychyłność Laosu. To mogło przechylić szalę na naszą korzyść.

- I tak miał zrobić. Skrzynia złota należała do niego. Zrzut miał

nastąpić w Laosie - dodał Maitland.

- To była kasa na armię?

217

- Tak.

- To po co było go zabijać? Jeżeli był po naszej stronie...

- Ale ci, co wysadzili samolot, nie byli po naszej stronie -

odrzekł Guy.

- Komuniści?

- Nie, ktoś jeszcze bardziej groźny. Jedni z naszych.

Starsi ucichli. Obserwowali swoich gości tak jak nauczyciel ucznia, który usiłuje odnaleźć odpowiedź. Stara kobieta znów przemówiła.

- Podczas wojny niektórzy z nas mieszkali z Pathet Lao, komunistami laotańskimi - tłumaczył Maitland. - Nie było gdzie się ukryć, więc spaliśmy w jaskiniach. Ale mieliśmy poletka, kury i świnię, i można było przeżyć. Kiedyś usłyszałam samolot.

alous

Myślałam, że to wróg, Amerykanie, więc wzięłam karabin i wyszłam, żeby go zestrzelić. Ale nasz przywódca powstrzymał mnie i pozwolił

mu wylądować. Samolot miał oznaczenia nieprzyjaciela i amerykańską flagę. Kazano nam go rozładować. To były skrzynie z bronią i amunicją. Załadowaliśmy samolot workami z opium. Na

wymianę, pomyślałam. Musiał być skradziony. Ale wtedy wysiadł

pilot i zobaczyłam, jak wygląda. Nie był ani Laotańczykiem, ani Wietnamczykiem, tylko Amerykaninem.

- Braciszek Tuck - powiedział Guy cicho.

- Też go widziałem - dodał Maitland - kiedy przetrzymywano mnie w obozie. Wylądował, żeby dokonać wymiany. Cały ten przeklęty kraj był fabryką opium. Po jednej i po drugiej stronie 218

powstawały fortuny. Wszystko pod przykrywką wojny. Chyba dlatego zabito Lo Vana. Żeby utrzymać chaos. Nie ma nic lepszego od wojny, żeby ukryć brudne interesy.

- Kto jeszcze widział twarz pilota? - zapytał Guy po wietnamsku, rozglądając się wokół.

Ręce podnieśli kobieta i mężczyzna.

- W obozie było jeszcze czterech jeńców, którzy widzieli jego twarz. Żaden z nich nie wrócił do kraju żywy - zauważył Maitland.

Kadzidełka dopaliły się. Nikt się nie odzywał, nawet dzieci.

Dlatego się boicie, pomyślała Willy, patrząc na nich. Nawet teraz, po tylu latach, wojna kładzie się cieniem na waszym życiu. I na moim.

- Wracaj z nami, Maitland. Opowiesz swoją historię. Tylko tak alous

dojdiesz z tym do ładu. Uwolnisz się.

- Guy ma rację. Nie możesz spędzić życia w kryjówce. Czas to zakończyć - dodała Willy.

- A co z Lan? Z dziećmi? Jeżeli wyjadę, to czy będę miał

pewność, że Wietnamczycy wpuszczą mnie z powrotem?

scand

- To ryzyko, które musisz podjąć - rzekł Guy.

- Zostań bohaterem, to chcesz mi powiedzieć? Posłuchaj, Barnard. Prawdziwi bohaterowie naszych czasów to nie ci, którzy podejmują głupie ryzyko. To ci, którzy siedzą tam, gdzie są potrzebni.

Może to trochę nudne. Może żona i dzieci doprowadzają ich do szaleństwa. Ale się trzymają.

Popatrzył znacząco na Willy, znów na Guya i dodał: 219

- Wierz mi. Dostyc narobiłem błędów, żeby o tym wiedzieć. -

Maitland popatrzył na córkę. - Dziś oboje wracacie do Hanoi. Musisz żyć własnym życiem, Willy.

- Jeżeli dotrze do kraju. Jakie ma szanse? Myślisz, że zostawią ją w spokoju, że dadzą jej żyć z tym, czego się dowiedziała?

- Możesz mnie nazwać tchórzem, ale to nic nie zmieni. Nie wyjadę stąd.

Maitland wybiegł z chaty, przebiegł przez podwórze i dołączył

do Lan siedzącej pod drzewami.

Uśmiechnęła się i podała mu niemowlę. Przez dłuższy czas kołysał swoją córkę, trzymając ją blisko serca, jak gdyby obawiał się, że ktoś mu ją wydrze.

Masz świat w ramionach, pomyślała Willy, obserwując ojca.

alous

Byłbyś głupcem, gdybyś go zostawił.

- Musimy go przekonać. Musi wrócić z nami - nalegał Guy.

W tej samej chwili Lan podniosła wzrok na Willy i ich oczy się spotkały.

- On nie wraca. Jego miejsce jest tutaj, Guy - powiedziała Willy.

scand

- Ty też jesteś jego rodziną - zaprotestował.

- Ale teraz go nie potrzebuję. Przez dwadzieścia lat go nienawidziłam. Pora, żebym wydorosła. - Westchnęła i uśmiechnęła się.

- Musiało się coś stać. Andersen powinien już być z powrotem.

Wie, że na niego czekamy. Spóźnia się godzinę.

220

Maitland stał na skraju dżungli i wyglądał na drogę. Gałęzie, które przykrywały wcześniej jeepa, były teraz porozrzucane. Nie było śladu wozu.

- Wygląda na to, że dziś nie wrócimy do Hanoi. Wracajmy do wsi - odpowiedział Guy.

Maitland nie poruszył się. Dalej czegoś wypatrywał.

- Mógł złapać gumę. Może zabrakło mu benzyny. Będziesz miał

nas na głowie, tato. Guy ma rację, wracajmy.

- Jeszcze nie. Coś mi tu nie pasuje. Nie jesteśmy przygotowani, gdyby miało coś się stać.

- Wioska musi mieć jakąś broń. - Guy spojrzał na Maitlanda wyczekująco.

- Może mamy jeden pistolet, pozostałość z czasów wojny, alous

nieużywany od kilkunastu lat. I karabin Andersena. Zostawił go dzisiaj.

- Ile amunicji?

- Mało... - Maitland odwrócił się gwałtownie, słysząc odgłos silnika samochodu.

scand

- Schować się! - krzyknął Guy.

Willy rzuciła się w dżunglę, a w tej samej chwili Guy i Maitland skoczyli w gąszcz po przeciwnej stronie drogi. Kiedy upadła w błoto, jeep już był na zakręcie. Przez krzaki zobaczyła, że jest pełen uzbrojonych ludzi. Czekala, aż przejedzie, nieświadoma tego, że kolce rozdzierają jej twarz. Spostrzegła, że leży na gnieździe czarnych 221

tlustych chrząszczy, i stłumiła okrzyk obrzydzenia. Odwróciła głowę i zobaczyła ludzką rękę o białych palcach, zastygłych jak pazury.

Chciała krzyknąć, ale głos jej zamarł. Powoli powędrowała wzrokiem wzdłuż ramienia i tułowia i zatrzymała się na twarzy.

Patrzyły na nią nieruchome oczy Gunnela Andersena.

alous

scand

222

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jeep z dużą prędkością przejechał obok nich.

Willy zdławiła krzyk przerażenia, wkładając pięść do ust.

Walczyła ze sobą tak, że z kostek popłynęła krew. Kiedy tylko straciła wóz z oczu, zerwała się i krzyknęła:

- Nie żyje!

Ojciec i Guy skoczyli ku niej.

- Co ty mówisz?

- Andersen! - Wskazała na poszycie dżungli. Ojciec upadł na kolana i odgarnął gałęzie.

- Dobry Boże... - wyszeptał.

alous

Dżungla zakręciła się wokół niej i Willy zwymiotowała.

Usłyszała, jak ojciec rzekł dziwnie bezbarwnym głosem:

- Podcięto mu gardło.

- Czysta robota. Profesjonalna. Wygląda na to, że leży tu od kilku godzin - dodał Guy.

scand

- Dlaczego? Dlaczego go zabili? - Willy zdołała podnieść głowę.

Ojciec przykrył gałęziami ciało.

- Żeby nic nie powiedział. Żeby nas odciąć od... - Nagle zerwał

się na równe nogi. - Wioska! Muszę wracać!

- Tato! Zaczekaj...

Ale jej ojciec już zniknął w dżungli.

223

- Chodźmy. - Guy chwycił ją za ramię. Pobiegła za nim ścieżką, potykając się. Słońce zachodziło na niebie o barwie krwi. Słyszała przed sobą wołanie ojca:

- Lan! Lan!

Kiedy wynurzyli się z dżungli, zobaczyli kilkunastu wieśniaków i Maitlanda trzymającego żonę w objęciach.

Puścił ją i zawołał, patrząc na Guya:

- Dokąd mamy pójść? A starcy i dzieci? Wskazał na kobietę z brzuchem.

- Popatrz na nią! Czy ona przejdzie taki kawał drogi?

- Musi - odparł Guy. - Tak jak wszyscy. Zabili Andersena. Ty będziesz następny. Potem wszyscy, którzy wiedzą, że żyjesz. Musi gdzieś być jakaś kryjówka!

alous

Maitland zwrócił się do jednego ze starszych i zapytał o coś po wietnamsku. Stary człowiek zachmurzył się, a potem pokazał ręką góry.

- Mówi, że około pięciu kilometrów stąd jest jaskinia w górach.

Słońce już zachodzi. Musimy wyjść teraz, dopóki jest dosyć światła, scand

żeby przejść przez rzekę.

Mieszkańcy wsi już zbierali swój dobytek. Wojny nauczyły ich, że przeżycie zależy od pośpiechu.

Rodzinie Maitlandów spakowanie się zabrało pięć minut. Koce, żywność i cenny rodzinny garnek do gotowania. Nie było czasu na słowa czy łzy.

224

Ostatnie światło dnia przezierało przez gałęzie, gdy znikali w dżungli. Dwudziestu czterech dorosłych, jedenaścioro dzieci i troje niemowląt, policzyła Willy. I wszyscy przerażeni.

Poruszali się bezszelestnie, nawet dzieci. Ta cisza była niesamowita, jakby pomiędzy drzewami przemykały duchy. Na brzegu szybko płynącej rzeki przystanęli. Prąd obracał koło wodne, a rurami z

bambusa płynęła woda do rowów irygacyjnych. Rzeka była za głęboka dla dzieci, trzeba je było przynieść na drugi brzeg. Stamtąd ruszyli w stronę gór.

Zapadła noc. Dzieci już były zmęczone, ale nikt nie musiał ich poganiać - wystarczał strach przed pościgiem.

Dotarli w końcu do stóp urwiska i zatrzymali się. W świetle księżyca srebrzyła się olbrzymia skalna ściana. Starszyzna

zastanawiała się, w którą stronę pójść. Jedna z kobiet poprowadziła ich do stopni wyciętych w skale, które wiodły do czegoś, co wyglądało na gęstwinę krzaków.

Rozległ się jęk zawodu, ale gdy jeden z wieśniaków odgarnął

gałęzie i zapalił świecę, ukazała się otwarta przestrzeń, która zdawała się

się pożerać wąły ogienek. Znaleźli się u progu gigantycznej groty.

Mężczyzna wczuł się do środka i wtedy przeleciała obok nich chmara skrzydeł.

Nietoperze, pomyślała Willy i wzdrygnęła się. Mężczyzna wyszedł i zawołał ich do środka.

- Idź! - popchnął ją Guy.

- Mam jakiś wybór?

225

- Żadnego.

Wioska była wyludniona.

Siang przeszukał wszystkie chaty. Szukając tuneli, przewrócił

prytcze i zajrzał pod maty. Sfrustrowany rzucił o ziemię glinianym garnkiem. Na podwórzu, w świetle księżyca, czekali ludzie z twarzami uczernionymi dla kamuflażu.

Było ich piętnastu, sami zawodowcy. Grubo ciosani Amerykanie, o połowę wyżsi od niego. Przylecieli z Tajlandii, wezwani kilka godzin wcześniej. Laotański system obrony powietrznej działał jak sito o dużych oczkach i nie mógł wykryć, a cóż dopiero zestrzelić pojedynczego samolotu lecącego w jego przestrzeni powietrznej na małej wysokości. Zabrało im tylko cztery godziny, by z punktu zrzutu na granicy wietnamskiej dotrzeć tutaj.

alous

Operacja przebiegała bez zarzutu, aż do tego momentu.

- Spóźniliśmy się - ktoś powiedział.

Siang odwrócił się i zobaczył, że jego mocodawca wychodzi z buszu.

- Wyprzedzili nas tylko o kilka godzin. Nie zjedli wieczornego scand

posiłku - zauważył Siang.

- A więc nie mogą być daleko. Są wśród nich kobiety i dzieci. A co z więźniem? Mówi?

- Ani słowa.

Żołnierze wypchnęli wieśniaka, który upadł na drogę. Złapano go o piętnaście kilometrów od wioski, jak uciekał w stronę Ban Dan.

A raczej psy go złapały. Co za pożyteczne zwierzęta, i absolutnie 226

konieczne w operacjach, gdzie jedyny świadek, który przeżył, może narobić kłopotu. W konfrontacji z nimi nikt nie ma szansy na ucieczkę.

- Zmuście go do gadania.

- Strata czasu. Ci z północy są uparci. Nic nie powie - oznajmił

Siang.

Jeden z żołnierzy kopnął klęczącego, ale ten, wijąc się z bólu, tylko ich przeklinał.

- Co? Co mówi? - zapytał jeden z żołnierzy.

- Mówi, że jesteśmy przekłeci, że już jesteśmy martwi -

przetłumaczył zakłopotany Siang.

Żołnierz roześmiał się:

- Gówniane zabobony!

alous

- Jestem pewien, że wysłali kogoś z prośbą o pomoc. Rano...

- Rano będzie już po wszystkim.

- Jeżeli ich znajdziemy.

- Znaleźć całą wieś? Jaki to problem? Po to są psy - usłyszał

Siang w odpowiedzi.

scand

W jaskini migotało kilka świec. Na zewnątrz wiał silny wiatr i wprawiał w ruch koc zasłaniający wejście. Na ścianach tańczyły cienie, słychać było niespokojne szepty oblężonej wsi. Dzieci zbierały kamienie i skręcały pnącza w linę. Kobiety ostrzyły łodygi bambusa na pułapki punji. Tylko niemowlęta spały. W ciemnościach mężczyźni przygotowywali takie same śmiertelne zasadzki, które przez wieki 227

służyły obronie. Bitew w dżungli nie wygrywano dzięki broni, lecz szybkości, przebiegłości i desperacji.

- Bębenek jest unieruchomiony. Można oddać tylko jeden strzał

- powiedział Guy, oglądając stary pistolet.

- Są tylko dwa naboje - dodał Maitland.

- Można tylko popełnić samobójstwo. - Guy oddał mu bezużyteczną broń.

Maitland przez chwilę ważył ją w rękę, a potem zwrócił się do żony po wietnamsku. Lan przez chwilę przypatrywała się pistoletowi, jakby bała się go dotknąć, a potem zniknęła z nim w głębi jaskini.

Guy sięgnął po karabin Andersena i poddał go szybkiej inspekcji.

- Przynajmniej to maleństwo działa.

alous

- Nie ma nic lepszego niż stary dobry kałasz. Widziałem, jak wyłowiony z błota też strzelał - dodał Maitland.

Guy roześmiał się i spostrzegł nadchodzącą Willy. Zmęczona, usiadła na ziemi obok niego.

- Zaostrzyliśmy tyle bambusów, że można nadzieć na nie całą scand

armię.

- Teraz moja kolej na kopanie zasadzek - powiedział jej ojciec.

- Dopiero tam byłem. Już wykopane - uspokoił go Guy.

- Nie do wiary - zauważyła Willy.

- Co?

- Że można odeprzeć całą armię lianami i bambusami.

228

- Odpierano już tak silniejsze ataki. My nie musimy wygrać wojny. Wystarczy, że stawimy opór, zanim nasi gońcy dotrą na miejsce.

- Jak długo to potrwa?

- Do najbliższej wsi jest trzydzieści kilometrów. Jeżeli mają radio, możemy spodziewać się pomocy jutro rano.

Willy popatrzyła na śpiące dzieci, które po kolei padały ze zmęczenia. Guy dotknął jej ramienia.

- Ty też potrzebujesz odpoczynku.

- Nie mogę spać - odpowiedziała.

- To chociaż się połóż.

- A wy dwaj?

Guy zatrzasnął pas z amunicją. alous

- Zostajemy na warcie.

- Myślisz, że nas znajdą w nocy? - zapytała.

- Zostawiliśmy wyraźne ślady.

- Ale muszą mieć światło dzienne...

- Wcale nie, jeżeli mają za przewodnika kogoś z miejscowych, scand

kto coś wie o jaskiniach. My znaleźliśmy drogę po ciemku. Oni też mogą - rzekł ojciec Willy.

Podniósł karabin i zarzucił go na ramię.

- Minh i ja bierzemy pierwszą wartę. Guy, prześpij się trochę -

dodał.

- Dobrze, zmienię was.

229

Co się z nimi wszystkimi stanie, pomyślała Willy, patrząc na śpiące dzieci i swoich przyrodnych braci. Z nami?

- Boję się - wyszeptła.

- Wszyscy się boimy.

- To moja wina, Guy. Gdybym nie zaczęła... Poglądził jej twarz.

- To ja jestem odpowiedzialny.

- Dlaczego?

- Bo cię wykorzystałem. Zaprzeczałem, ale to planowałem. A jeżeli teraz coś ci się stanie...

- Albo tobie. Nie pozwól, żebym płakała nad twoim ciałem. Bo tego nie zniosę. Obiecuj mi to.

Przycisnął jej dłoń do swoich ust.

- Obiecuję. I chcę, żebyś wiedziała, że kiedy się stąd alous

wydostaniemy, to... mam zamiar częściej się z tobą widywać. Jeżeli mi pozwolisz.

- Bardzo chętnie.

Co za głupie kłamstwa. Udajemy, że przed sobą mamy przyszłość. W obliczu śmierci obietnice to wszystko.

scand

- A jeżeli nas znajdą?

- Zrobimy, co w naszej mocy, żeby przeżyć.

- Kamienie i bambusy przeciwko broni automatycznej? To będzie krótka potyczka.

- Bronimy się. Przygotowaliśmy zasadzki. I mamy po naszej stronie najprzebieglejszych wojowników na świecie. Ludzi, którzy powstrzymywali armie wyłącznie siłą swojego sprytu. Ta jaskinia jest 230

święta. To dawne sanktuarium. Jeżeli pójdziesz tunelem, wyjdiesz na wschód od podnóża skały. Ci ludzie są sprytni. Nie dają się zapędzić w kozi róg. Zawsze pozostawiają drogę ucieczki. Prowadzili wojny od czasów epoki kamiennej. I mogą to robić bosy, z garstką ryżu. Jeżeli chodzi o umiejętność przeżycia, jesteśmy w porównaniu z nimi nowicjuszami.

Na zewnątrz wył wiatr, drzewa jęczały, krzaki waliły o skałę.

Któreś z dzieci krzyknęło przez sen i uciszyło się natychmiast w ramionach matki. Maleństwa nie rozumiały nic, pomyślała Willy, ale czuły zagrożenie.

Guy ją przytulił. Nie potrzebowali słów; wystarczy, że ma go przy sobie, że ich serca biją razem. W ciemnym kącie dwie stare kobiety dalej ciosały bambusowe kije. alous Willy spała, kiedy Guy wstał,

by objąć wartość. Przez tych kilka godzin, które spędzili leżąc na ziemi, ich ciała stopiły się nieodwracalnie w jedno. Nawet gdyby miał jej już nigdy nie zobaczyć, zawsze jakaś jej część pozostałaby już z nim.

Okrył ją kocem i wysliznął się w noc.

scand

Niebo przypominało olśniewające morze gwiazd. Guy znalazł

Maitlanda siedzącego na wysuniętej półce skalnej.

- Jak dotąd martwa cisza. Przespałeś się trochę? - zapytał ojciec Willy.

Siedzieli razem pod gwiazdami, słuchając wiatru i krzaków obijających się o skały. Wyżej jeszcze, na skalnym występie, widać było sylwetkę jednego z wieśniaków.

231

Guy potrząsnął przecząco głową.

- Kiedyś potrafiłem przespać wszystko. Lądujący helikopter.

Ogień snajperski. Ale nie teraz. Nie tutaj. To nie mój rodzaj walki.

Maitland przekazał mu karabin.

- To całkiem inna wojna, kiedy walczysz o ludzi, których kochasz, prawda?

Wstał i odszedł w ciemność. Ludzi, których kochasz?

Myśl, że kogoś kocha, go zdziwiła. W pewien sposób wiedział o tym już od dawna: zakochał się w córce Billa Maitlanda. Ani tego nie planował, ani nie chciał. Może to nie jest nawet właściwe słowo: miłość. Spędzili ze sobą tydzień w piekle. I w niebie, pomyślał na wspomnienie nocy w chacie, pod moskitierą. Nie mógł znieść myśli, że może ją ktoś skrzywdzić. Czy to miłość?

alous

Zacisnął dłonie na karabinie.

Cztery godziny do świtu.

Atak nadszedł wraz z pierwszymi promieniami światła.

Guy zdążył już przekazać broń kolejnemu wartownikowi i schodził do jaskini, kiedy usłyszał strzał. Odruchowo rzucił się na scand

ziemię. Rozległ się odgłos broni automatycznej i krzyk jego zmiennika. Przez smugi porannej mgły

widać było zwisające ze skalnej półki bezwładne ramię. Odezwała się kolejna seria strzałów.

Pozostały bez odpowiedzi. Jedyne karabiny mieszkańców wioski jest teraz w rękach zabitego.

Jak długo mogą odpierać atak bez broni? Liczyć na pułapki, rozpięte druty, wykopane dziury i zaostrzone bambusy?

232

Kałasznikow mógłby zmienić rzeź w zwycięstwo.

Aby dostać się do niego, trzeba by najpierw dotrzeć do wielkiego kamienia, pod osłoną kilku nędznych krzaczków. Guy przykucnął i sprężył się do skoku.

Willy mieszła gotujący się ryż, kiedy usłyszała strzały. Zerwała się na równe nogi i natychmiast zadała sobie pytanie, czy Guy nie jest ranny. Ale zanim zrobiła krok, ojciec złapał ją za rękę.

- Nie!

- Może potrzebować pomocy...

- Nie wychodź!

Maitlan popchnął ją i Lan w głąb jaskini. Inne kobiety już zagoniły dzieci do tunelu. Mężczyźni chwyтали swoje prymitywne uzbrojenie i biegli do wyjścia. Kolejne strzały ściągnęły lawinę alous kamieni.

Dlaczego nie strzelamy? - pomyślała Willy przestraszona. Coś wpadło do jaskini, potoczyło się po ziemi i wystrzeliło dymem tak śmierdzącym, że Willy aż się zatoczyła.

- Do tyłu! Wszyscy do tunelu! - krzyczał ojciec.

scand

- Gdzie jest Guy?

- Da sobie radę! Zabieraj dzieci! Ruszaj się! - Wepchnął ją brutalnie do tunelu.

Kiedy rzuciła się do ucieczki, usłyszała odgłos kolejnej serii ognia. Poczwała, że jakaś częśćka niej pozostaje na zmasakrowanej skale.

233

W tunelu usłyszała płacz niemowlęcia. W całkowitych ciemnościach zobaczyła światełko. Kobieta, która zaprowadziła ich do jaskini, ze świecą w ręku ciągnęła teraz za sobą sznureczek przestraszonych kobiet i dzieci. Willy nie mogła za nimi nadążyć.

Stara kobieta wiedziała, dokąd idzie. Pewnie nieraz uciekała już tą drogą, w innej bitwie, w innej wojnie.

Daleko jeszcze? By złapać równowagę, Willy czepiała się ścian jaskini. Pod palcami czuła zaschnięty wosk ze starych świec. Ilu uciekinierów biegło tędy w strachu, który zdawał się sączyć z mroku?

Tunel ostro skręcił w lewo. Wydawało się, że przebyli już całe kilometry. Strzały ścichły do wątłego tu-tu-tu. Willy nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co działo się na zewnątrz. Koncentrowała się na światełku mrugającym daleko przed nią. Nagle zrobiło się jaśniej i alous oślepiło ją słońce.

Stała między drzewami na stoku górskim. Są po drugiej stronie ściany skalnej. Bezpieczni. Na razie.

Z oddali dochodziły strzały.

Stara kobieta popędziła ich do dżungli. Z początku Willy nie ścand

rozumiała tego pośpiechu, ale chwilę później usłyszała to, co przstraszyło przewodniczkę: psy.

Inni usłyszeli ich szczekanie i jak na komendę rzucili się do lasu.

Tylko Lan nie drgnęła. Willy zobaczyła, jak nasłuchuje. Jej dwaj synowie stali obok, nie mając pojęcia, co począć. Lan popchnęła ich i kazała im uciekać, ale nie chcieli jej zostawić. Podała niemowlę ²³⁴

starszemu i znów popchnęła chłopaków do przodu. Teraz młodszy już płakał, ale podążył za bratem.

- Co robisz? - krzyknęła Willy. Czyżby Lan zwariowała?

Tymczasem Lan ze spokojem odwróciła się w stronę psów i z determinacją udeptywała ziemię. Nagle Willy zrozumiała, że w ten sposób zostawia swój zapach psom, próbując odwrócić ich uwagę od dzieci. Kobieta dokonała wyboru, poświęcając siebie.

Szczekanie stawało się coraz głośniejsze. Instynkt nakazywał

Willy uciekać. Ale pomyślała o Guyu i swoim ojcu, o tym, jak chętnie wzięli na siebie rolę obrońców i stawili czoło wrogowi. Potrzebują czasu i nikt inny nie może im go dać. Toteż razem z Lan zaczęła udeptywać ziemię.

Nie zamieniły nawet słowa. Wymieniły tylko pełen smutku alous uśmiech i to wystarczyło, żeby się porozumiały.

Willy oderwała rękaw bluzki i wdeptała materiał w błoto. Potem odwróciła się i wraz z Lan poszła

w przeciwnym kierunku niż dzieci.

Nie spieszyła się. Już nie walczyła o życie. Zastanawiała się, ile ma jeszcze czasu, zanim psy ją dopadną. I jak mogłaby się bronić.

scand

Potrzebowała pałki albo kija. Schwyciła gałąź, oderwała gałązki i zamachnęła się. Ciężka. Może być zdobyczą, ale nie łatwą.

Ujadanie przybliżało się. Co za demoniczny hałas, nieustępliwy i przerażający. Ale teraz mieszał się z innym, rytmicznym i monotonnym, coraz głośniejszym, sprawiającym, że nawet ziemia drżała.

Helikopter!

235

Willy spojrzała w niebo i na tle niebieskiej panoramy zobaczyła dwie czarne plamki. Czyżby to była odsiecz, na którą czekają?

Wspięła się wyżej i zaczęła machać rękami. To jest ich jedyna szansa - jedyna szansa Guya na przeżycie.

Skupiwszy całą uwagę na tych dwóch punkcikach, nie zauważyła zbliżających się psów, aż zrobiło się za późno.

Coś brązowego zakłóciło jej pole widzenia. Szarpnęła się w bok i wtedy bestia rzuciła się jej do gardła. Gdy odruchowo odskoczyła, pięćdziesiąt kilo użębionego cielska uderzyło ją w ramię. Padła na ziemię i zdołała tylko krzyknąć, kiedy potężne szczęki zacisnęły się na jej ramieniu.

Zadudniły kroki i jakiś głos zawołał:

- Zostaw!

alous

Pies puścił ją i odstąpił, warcząc.

Powoli Willy podniosła głowę i zobaczyła dwóch mężczyzn w panterkach, jak się nad nią pochylają. Amerykanie, pomyślała skołowana. Co tutaj robią?

Jeden z nich pomógł jej wstać.

scand

- Gdzie reszta? - zapytał.

- Boli...

- Gdzie inni?

- Nie ma innych! - wrzasnęła.

Uderzył ją i znów wylądowała na ziemi. Ogluszona, leżała u ich stóp i walczyła ze sobą, żeby nie stracić przytomności.

- Wykończ ją.

236

Nie, pomyślała. Proszę, nie...

Wiedziała jednak, że żadne prośby nie zmienią ich decyzji.

Leżała skulona i obejmowała się ramionami, czekając, aż nastąpi koniec.

Wtedy ten drugi powiedział:

- Jeszcze nie teraz. Może się przydać. Wyciągnęli ją z błota i zmusili, by stanęła przed nimi na chwiejnych nogach.

Patrzyły na nią oczy w pozbawionej wyrazu twarzy, uczernionej w celach kamuflażu.

- Zobaczymy, co powie nasz dobry Braciszek.

alous

scand

237

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Guy, rozciągnięty za wielkim głazem, miał do pokonania jeszcze dwadzieścia metrów. Jediną osłoną były krzaki, a pośrodku nich rosło rachityczne drzewko. Guy widział już kałasznikowa na półce skalnej, tak blisko, że mógłby na niego splunąć, lecz nie mógł

go dosięgnąć.

Powoli podniósł się i już miał skoczyć po broń, kiedy fala ognia uderzyła w skałę. Natychmiast padł na ziemię. To idiotyczny pomysł, Barnard. Najbardziej kretyński, jaki kiedykolwiek wpadł ci do głowy.

Spojrzał w dół i zobaczył, że Maitland usiłuje coś mu zakomunikować. Nie był pewien, jak zrozumieć gest Maitlanda, ale alous

chyba prosi go, by zaczekał. Czasu jednak mieli niewiele. Guy widział, że kilku mężczyzn w panterkach wspina się już do góry. Do pierwszej pułapki. Boże, powstrzymaj ich. Daj nam trochę czasu.

Usłyszał raczej, niż zobaczył pierwszego, który wpadł na zaostrome bambusy. Potem rozległy się następne krzyki, scand

przekleństwa i odgłosy zamieszania, podczas gdy najemnicy wyciągali swych poranionych towarzyszy.

To tylko próbka, koledzy, pomyślał z satysfakcją Guy. Jeszcze się przekonacie, co was czeka.

Napastnicy nie czekali długo. Na rozkaz dowódcy szóstka żołnierzy zaczęła się wspinać na skałę, zbliżając się coraz bardziej do drugiej pułapki - drutu mającego zwalić na nich drzewo. Ale teraz atakujący stali się uważniejsi. Wiedzieli, że każdy krok jest 238

niebezpieczny. Brali niemal pod lupę każdy kamień czy krzaczek, zachowywali się jak ludzie obcy w walce w dżungli.

Teraz została nam już tylko modlitwa, pomyślał Guy.

I wtedy, tak jak wszyscy, usłyszał jakiś nowy dźwięk. Ten znany odgłos sprawił, że spojrzeli w niebo.

Helikoptery.

Guy ruszył do przodu, kiedy oczy żołnierzy zwróciły się w górę.

Został im tylko ułamek sekundy, by odpowiedzieć ogniem. Ale wtedy Guy był już w połowie drogi do celu, przedzierając się przez ostatnie zarośla. Czas zaczął biec wolniej, każdy krok trwał niemal wieczność.

Widział, jak kule wzbijają chmury pyłu u jego stóp, usłyszał daleki krzyk i huk drzewa spadającego na napastników. Druga pułapka spełniła swoją rolę.

alous

Rzucił się przed siebie i padł na skalną półkę. Wyrwał zabitemu kałasznikowa, wycelował i zaczął strzelać.

Jeden z żołnierzy padł od razu. Inni schronili się w dżungli. Na ścieżce leżały dwie śmiertelne ofiary pułapki.

Guy odwrócił wzrok w stronę nieba i zrozpaczony stwierdził, że scand

helikoptery lecą w siną dal.

Pod sobą usłyszał krzyki Wietnamczyków i zobaczył, jak dym otula skałę, najczarniejszy i najwspanialszy dym, jaki widział w życiu.

Wieśniacy podpalili całą górę!

Modląc się, popatrzył na niebo i nad horyzontem natychmiast zobaczył dwie muchy. Leciały w ich kierunku.

239

Tymczasem u stóp skały pojawiły się dwie postaci. Guy odruchowo wycelował i już miał pociągnąć za spust, kiedy zorientował się, kim są ci ludzie.

Mężczyzna zasłaniał się ludzką tarczą. Mimo odległości Guy mógł rozpoznać twarz zakładniczeki.

- Rzuć broń, Barnard!

Rozkaz człowieka ukrytego za drzewami odbił się echem o góry.

Jego głos był niepokojąco znajomy.

Guy zamarł w pozie strzelca, z palcem na spuście i policzkiem przyklejonym do karabinu.

- Powiedziałem rzuć broń! Chyba że chcesz zobaczyć, co kula zrobi z tą śliczną twarzyczką?

Żołnierz, który trzymał Willy, przystawił jej lufę do skroni.

alous

- Zaczekaj! Zrobimy wymianę! - zawołał Guy.

- Żadnych targów.

- Nie!

- To rzuć broń. Natychmiast. Guy rzucił karabin.

- Kopnij go!

scand

Guy spełnił żądanie napastnika. Karabin odbił się o skałę i spadł

na kamienie.

- Wyjdź, żebym cię widział.

Powoli Guy podniósł się, spodziewając się natychmiastowego gradu kul.

- Teraz zejdź. Ty też, Maitland! Nie mam czasu, ruszać się.

240

Guy ponownie posłuchał napastnika. Kiedy znalazł się na dole, Maitland już tam był. Stał z ramionami podniesionymi nad głową.

Guy przede wszystkim skupił się na Willy. Widział, że jest ranna, jej koszula była podarta i pokrwawiona, twarz chorobliwie blada. Ale spojrzenie, jakie mu posłała, było pełne odwagi. Nie martw się o mnie. Wszystko w porządku. Kocham cię.

Żołnierz trzymający Willy opuścił broń. Guy natychmiast rozpoznał jego twarz - był to człowiek, z którym starł się na tarasie hotelu w Bangkoku. Tajski zabójca - a może wietnamski?

- Cześć, Guy - powiedział znajomy głos.

Na oświetlony słońcem kawałek zbocza wyszedł z lasu mężczyzna, którego potężne bary ledwo mieściły się w panterce.

Maitland powstrzymał oddech.

alous

- To on. Braciszek Tuck - powiedział.

- Toby?

- Tak. Nie chciałem cię zabić, Guy. Zrobiłem wszystko, żeby tego uniknąć - odrzekł dawny kumpel. Na jego twarzy malował się jednocześnie żal i triumf.

scand

- Dlaczego? - Guy gorzko się roześmiał.

- Coś ci zawdzięczam. Pamiętasz? Barnard spojrział na nogi Toby'ego.

- Ty chodzisz.

- Wiesz, jak to jest w szpitalach wojskowych. Chirurdzy przekazali mi złe wieści, powiedzieli, że nic nie można zrobić. I sobie poszli. Ale nie był to przypadek beznadziejny. Najpierw odzyskałem

czucie w palcach, potem mogłem nimi poruszać. Ale nie powiedziałem o tym Wujowi Samowi. Dało mi to wolność, mogłem się zająć swoimi sprawami. Dlatego przyjemnie być paralitykiem.

Nikt cię o nic nie podejrzewa. A do tego dostajesz co miesiąc rentę inwalidzką.

- Ale fart.

- Chodzi o zasadę. Wuj Sam jest mi coś winien za te wszystkie miesiące wiernej służby. - Spojrzał na Maitlanda i dodał: - Tylko on mnie martwił. Ostatni świadek z tego nieszczęsnego samolotu.

Słyszałem, że żyje. Nie wiedziałem tylko, jak go znaleźć.

Zerknął na niebo. Helikoptery zbliżały się zwabione dymem.

- Już czas - powiedział Toby i krzyknął: - Kryć się!

Najemnicy rzucili się w gąszcz spokojnie, ale szybko. Toby alous

spojrzał na zabójcę i dał mu znak głową.

- Siang, wiesz, co masz zrobić.

Siang popchnął Willy do przodu. Guy schwytał ją w ramiona i oboje padli na kolana. Nie było czasu na pożegnania. Zasłonił ją w beznadziejnej próbie uchronienia jej przed kulami.

scand

- Kończ - powiedział Toby.

- Do zobaczenia w piekle - odrzekł Guy. Siang podniósł pistolet i wycelował w głowę Guya, który kołyszając Willy, czekał na wybuch, po którym zapada ciemność.

Oboje podskoczyli, gdy usłyszeli strzał. Guy zdał sobie sprawę, że nadal klęczy i oddycha. Co jest? Żyje? Willy też?

Siang w pokrzwawionej koszuli osunął się na ziemię.

242

- Jest tam! - zawołał Toby, wskazując drzewa. W cieniu drzew zobaczyli Lan. Stała bez ruchu, trzymając w ręku stary pistolet. Była w szoku z powodu tego, co właśnie zrobiła. Jeden z żołnierzy wziął ją na muszkę.

- Nie! - krzyknął Maitland, rzucając się na niego. Broń wystrzeliła i obydwaj mężczyźni upadli na ziemię, mocując się ze sobą. Ze szczytu skały dobiegł jakiś hałas. Willy i Guy też ukryli się pod krzakami, by uchronić się od strzałów. Toby z jękiem osunął się na ziemię. Resztką jego armii się rozpierzchnęła.

W zamieszaniu Guy i Willy przeczołgali się za olbrzymi głaz.

Willy zdała sobie nagle sprawę, że nie widzi ojca.

- Tato! - krzyknęła.

Leżał kilkanaście metrów dalej, zakrwawiony. Willy odwróciła alous

się, by do niego podbiec, lecz Guy ją przytrzymał.

- Zwariowałaś?

- Nie mogę go tak zostawić! Jest ranny!

- Teraz nie możesz nic zrobić!

Rozszłochała się, usiłując się wyrwać, ale zagłuszyły ją scand

helikoptery. Jeden z nich już lądował. W chwili, kiedy dotknął ziemi, wyskoczyła z niego szóstka żołnierzy wietnamskich, a po nich dowódca. Wskazał na Maitlanda i wydał rozkaz. Dwóch żołnierzy ruszyło mu z pomocą.

- Puść mnie! - Willy wyrwała się Guyowi i podbiegła do ojca.

Żołnierze zdążyli już wyjąć torbę medyczną i przynieść nosze. Z

helikoptera wysiadał ostatni pasażer.

243

Pochylił głowę pod wirnikiem helikoptera i podszedł do Barnarda. Przez chwilę obaj patrzyli na słup dymu. Płomienie coraz szerszym łukiem ogarniały zbocze góry, kiedy ostatni mieszkańcy wsi schodzili na bezpieczną ścieżkę.

- Zaimponowali mi tym sygnałem - rzekł minister Tranh. - Nie jest pan ranny?

- Nie. Straciliśmy kilku ludzi. I nie wiem, co z dziećmi. -

Odwrócił się i śledził wzrokiem Willy podążającą za noszami do helikoptera.

Odwróciła się od drzwi i spojrzała na Guya. Ruszył w jej stronę.

Ręce aż go bolały, by ją objąć. Pragnął wypowiedzieć to, o czym bał

się wcześniej mówić, czego nie mówił nigdy żadnej kobiecie.

Drogę zagroził mu jakiś żołnierz, a potem, gdy wirnik alous

helikoptera zaczął się obracać, oślepił go kurz.

Willy była już na pokładzie. Spóźnił się. Przez otwarte drzwi widział jeszcze jej twarz. Poczul się opuszczony, gdy helikopter wzniósł się w niebo, unosząc kobietę, którą kochał. Długo jeszcze wpatrywał się w bezchmurne przestworza, a potem z westchnieniem scand

podszedł do Tranha. Zobaczył wtedy kogoś jeszcze, kto ze smutkiem obserwował odlot. Na skraju dżungli stała Lan.

- Cieszymy się, że pan żyje - rzekł minister.

- Jak pan nas znalazł?

- Jeden z mieszkańców wsi dotarł dziś nad ranem do Na Khoang.

Baliśmy się o was. A kiedy zniknęliście... Ma pan szczególny talent do sprawiania kłopotów, panie Barnard.

244

- Nie wiedziałem, komu ufać. I dalej nie wiem. Tranh zastanawiał się przez chwilę i odrzekł:

- A czy to w ogóle można wiedzieć?

- Wznoszę toast za świetną walkę! - zawołał Dodge Hamilton.

Guy wlepił wzrok w szklanę whisky i powiedział:

- Nie ma czegoś takiego jak świetna walka. Są tylko bitwy, których nie można było uniknąć.

- Dobrze, więc wypijmy za nieuniknione. - Hamilton podniósł

szklanę.

Może rzeczywiście należało celebrować. Ta ciężka próba się skończyła i po raz pierwszy od kilku dni Guy poczuł, że jest człowiekiem. Wyspał się, wykapał i ogolił, wreszcie mógł popatrzeć na siebie w lustrze. Ale co za różnica, pomyślał ponuro. I tak jej nie alous

ma, by to zauważyć.

Było mu bardzo trudno przyzwycząć się do nieobecności Willy.

Pamiętał widok jej smutnej twarzy, kiedy wsiadała do helikoptera.

Żadnego pożegnania, tylko to spojrzenie. Gdyby mógł wymazać ten obraz ze swojej pamięci...

scand

Nie, wcale tego nie chciał. Pragnął jeszcze jednej szansy.

Odstawił szklanę i zmusił się do uśmiechu.

- W każdym razie masz swój reportaż.

- Nie taki, jakiego się spodziewałem.

- Ale na pierwszą stronę?

- Oczywiście! Tu jest wszystko. Demony wojny budzą się do życia. Dawni wrogowie się jednoczą. I szczęśliwe zakończenie! Ale...

245

chyba zepchną to na ostatnią stronę, żeby zrobić miejsce dla pikantnego skandalu w rodzinie królewskiej. Jak gdyby losy świata zależały od tego, co się wyprawia w Pałacu Buckingham.

Guy roześmiał się. Świat nigdy się nie zmieni.

- A co z Maitlandem? W porządku? - zapytał Hamilton.

- Chyba tak. Willy dzwoniła z Bangkoku kilka godzin temu.

Stan jest na tyle stabilny, że można go transportować.

- Wiozą go do Stanów?

- Tak, dziś wieczorem.

- Nie lecisz z nimi?

- Nie wiem. Mam robotę, kilka ostatnich drobiazgów. A ona będzie zajęta... - Pomyślał znów o tej ostatniej rozmowie telefonicznej. Połączenie było marne i oboje musieli krzyczeć. Nie alous

było warunków do romantycznych zwierzeń. Tylko sztywne jak się masz, jak twoja ręka, dziękuję, w porządku, i szybkie do widzenia.

Kiedy odłożył słuchawkę, zrozumiał, że jest po wszystkim.

Może lepiej, pomyślał. Łatwo się zakochać, kiedy kule latają ci nad głową.

scand

Teraz jednak znaleźli się w rzeczywistym świecie. Willy go już nie potrzebuje, a on wolał myśleć, że jemu też jej nie brakuje. Przecież dotąd nikogo nie potrzebował.

Wysączył ostatnią kroplę whisky.

- Hamilton, masz wspaniałą historię. O tym, jak znów walczyłem w Wietnamie, tym razem po drugiej stronie.

- Nikt ci nie uwierzy.

- Chyba nie. Muszę ci coś wyznać. W którymś momencie dostałem już takiej paranoi, że myślałem, że jesteś z CIA.

Guy popatrzył na portret Ho Szi Mina, który uśmiechał się jak dobry wujek. Hamilton wybuchnął śmiechem.

- Niesamowite - dodał Guy. - Dlaczego podejrzewałem właśnie ciebie?

Hamilton z uśmiechem postawił szklanę na blacie.

- Bo to prawda. Zapadła długa cisza.

- Co? - wykrztusił wreszcie Guy.

- Generał Kistner przesyła pozdrowienia. Cieszy się, że jesteś cały i zdrowy.

- Kistner cię wysłał?

- Nie, on wysłał ciebie.

alous

- Mylisz się. Nie pracuję dla nich. Byłem niezależny...

- Tak? Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, to spotkanie z panną Maitland u niego w domu. To takie dziwne, że jej kierowca zniknął i że ty właśnie wracałeś do miasta.

- Ustawił to. Tajemnicze spotkanie z Kistnerem...

scand

- Miało połączyć ciebie z panną Maitland. Znalazła się na niebezpiecznym terytorium. Wiedzieliśmy, że będzie potrzebowała pomocy, ale to musiał być ktoś niezwiązany z Firmą. Ktoś, kogo Wietnamczycy nie będą podejrzewać.

- Zrobiłem za was brudną robotę. - Guy zacisnął pięści.

247

- Wyświadczyłeś Wujowi Samowi przysługę. Wiedzieliśmy, że jedziesz do Sajgonu. Że znasz kraj, język. I że było coś w przeszłości... - Obrzucił Guya znaczącym spojrzeniem.

Wiedzą. Chyba zawsze wiedzieli, pomyślał Guy.

- Ta wizyta ludzi z Ariela...

- Ach, tak. Ariel. Ładnie brzmi, prawda? Tak się składa, że to imię najmłodszej wnuczki generała Kistnera. Nie martw się, umiemy zachować dyskrecję. Szczególnie gdy uważamy, że ktoś był pomocny.

- A gdybyście się co do mnie pomylili? Gdybym pracował dla Toby'ego Wolffa? Mogłem ją zabić.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Ale pamiętasz, jaka historia się za mną ciągnie?

- Jesteś czysty, Guy. Mimo swojej przeszłości jesteś czystszy od alous wymachujących flagami patriotów w Waszyngtonie.

- Skąd wiesz?

- Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, co o tobie wiemy. I o innych.

- Ale nie mogliście przewidzieć, co zrobię! Co zrobi Willy. Co scand by było, gdyby kazała mi się zmyć?

- Tu było ryzyko. Ale ona jest atrakcyjną kobietą, a ty jesteś przedsiębiorczym facetem. Liczyliśmy, że zadziała chemia.

I tak się stało. Niech cię cholera weźmie, Hamilton.

- W każdym razie - dodał Hamilton, kładąc kilka banknotów na barze - ucieszysz się z naszego milczenia. Nagroda nie wchodzi w grę, 248

deficyt budżetowy i tak dalej. Ale masz satysfakcję, że przysłużyłeś się krajowi.

Guy wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Śmiał się tak, że łzy napłynęły mu do oczu.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał uprzejmie Hamilton.

- To ja jestem śmieszny - odrzekł Guy i ruszył w stronę wyjścia, nie przestając się śmiać.

alous

scand

249

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ojciec znów wyjeżdża.

Wczesnym rankiem Willy stanęła w drzwiach sypialni i patrzyła, jak pakuje walizkę, tak jak kiedyś, dawno temu. Był u niej bardzo krótko, tylko przez kilka dni po wyjściu ze szpitala. Przez cały ten czas tęsknił za rodziną, nową rodziną. Nie narzekał ani nie był

niemiły, ale widziała smutek w jego oku i słyszała westchnienia, kiedy kręcił się po domu. Wiedziała, że to nieuniknione; że znowu odejdzie z jej życia.

Zajrzał po raz ostatni do szafy i szuflad komody. W szafie została para nowych mokasynów.

alous

- Tato, nie zabierasz butów?

- W domu nie chodzę w butach. To był kiedyś twój dom, pomyślała.

Poszła do salonu i usiadła przy oknie, wpatrując się w strugi deszczu. Przez ostatnie dwa tygodnie przewinęło się przez ten dom scand

tyłe smutku. Kiedy ojciec dochodził do siebie w szpitalu wojskowym, w szpitalu cywilnym niedaleko leżała jej umierająca matka. Serce Willy rozdzierały wizyty u jednego i drugiego. Ojcu przybywało sił, lecz matce ich ubywało. Śmierć Ann nadeszła szybciej, niż lekarze przewidywali. Jak gdyby czekała tylko na to, by po raz ostatni zobaczyć męża.

Wybaczyła mu, tak jak Willy. Dlaczego to kobiety zawsze wybaczą?

250

- Jestem gotowy - oznajmił ojciec, wchodząc do pokoju.

- Masz wszystko? Zabawki? Książki?

- Tak. Pomyślą, że jestem Świętym Mikołajem! Postawił

walizkę i przysiadł na kanapie.

- Nie wrócisz, prawda? - spytała w końcu Willy.

- Może nie być łatwo.

- Będę mogła cię odwiedzić?

- Willy, wiesz, że tak! I ty, i Guy. Następnym razem to będą prawdziwe odwiedziny. Miłe, spokojne i nudne. Guyowi to się spodoba.

Zapadła dłuższa cisza.

- Rozmawiałaś z nim ostatnio? - zapytał.

- Dwa tygodnie temu. Później już nie dzwonił.

alous

- Dlaczego ty nie zadzwoniłaś?

- Byłam zajęta, przecież wiesz.

- Ale on nie wie.

- Powinien się domyślić. Ale mu się nie dziwię. Przeżyliśmy przygodę i życie musi wrócić do normy. Mężczyźni nie lubią tego, scand

prawda? Normalnego życia.

- Nie wszyscy. A poza tym niektórzy się zmieniają.

- Och, tato, nie jestem dzieckiem. Wiem, kiedy coś się kończy.

- Czy on to powiedział?

- Nie musiał. - Odwróciła się i spojrzała w okno. Ojciec wstał i bez słowa wrócił do sypialni. Willy wpatrywała się w deszcz, myśląc o Guyu i zastanawiając się po raz pierwszy, czy to nie ona ucieka.

251

Nie, to nie jest ucieczka. To konfrontacja z rzeczywistością.

Było wspaniale, przeżyli zwariowany tydzień dzikich emocji, strachu i uniesienia, kiedy każdy oddech, każde uderzenie serca wydawało się być darem Boga. To nie mogło trwać. Tylko czyja to wina?

Coś wbrew jej woli ciągnęło ją do telefonu. Kiedy wykrecała numer, nie wiedziała jeszcze, co powie. Cześć, Guy. Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale kocham cię. Potem odłoży słuchawkę i oszczędzi mu wymówek.

Dwanaście sygnałów. Musi być w domu, bo w Honolulu jest teraz czwarta rano. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy odkładała słuchawkę. Niech cię diabli wezmą, pomyślała, nawet nie pozwoliłeś mi zrobić z siebie idiotki.

Dźwięk opon rozpryskujących kałuże sprawił, że wyjrzała na alous

ulicę. Przez kurtynę deszczu zobaczyła taksówkę.

- Tato! - zawołała. - Twoja taksówka.

- Już? Dobrze, idę.

Zadzwonil dzwonek. Maitland narzucil płaszcz deszczowy i poszedł otworzyć drzwi.

scand

- Nie wierzę własnym oczom - rzekł zdumiony.

- Cześć, Maitland - odparł Guy.

Obydwaj mężczyźni, w płaszczach deszczowych i z walizkami w rękach, uśmiechali się do siebie.

- Mogę wejść? - spytał Guy.

- No nie wiem. Zapytam szefową. Jak myślisz? Może?

Willy była zbyt oszołomiona, by wykrztusić słowo.

252

- To chyba znaczy, że tak - powiedział ojciec i gestem zaprosił

Guya ośrodka.

Ten wszedł, postawił walizkę i przeniósł wzrok na Willy. Deszcz posklejał mu włosy, twarz miał zmęczoną, ale nigdy nie wyglądał tak cudownie. Usiłowała sobie przypomnieć wszystkie powody, dla jakich nie chciała go widzieć i dla jakich powinna go wyrzucić. Ale nie mogła odzyskać głosu. Mogła tylko patrzeć na niego ze zdumieniem i przypominać sobie jego pocałunki.

Maitland był najwidoczniej skrepowany.

- Chyba... zapomniałem o czymś... - wymamrotał i dyskretnie zniknął.

Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, była woda kapiąca z płaszcza Guya na podłogę. aloud

- Co z matką?

- Zmarła pięć dni temu.

- Willy, tak mi przykro.

- Mnie też.

- Jak ty się czujesz?

scand

- Dosyć dobrze.

Odwróciła wzrok. Kocham cię, pomyślała, a rozmawiamy jak dwoje obcych ludzi.

- Wyglądasz nieźle, zważywszy na okoliczności.

- A ty wyglądasz okropnie, Guy.

- Nic dziwnego. Nie spałem w samolocie. Obok mnie siedziało dziecko, które płakało przez całą drogę z Bangkoku.

253

- Byłeś w Bangkoku? - spytała ze zdziwieniem.

- To wariacka robota. Wróciłem do Wietnamu, a tydzień później musiałem wracać po Sama Lassitera. Nie miałem wielkiej ochoty na następny lot, ale pomyślałem, że żaden żołnierz nie powinien wracać do domu sam.

Przypomniała sobie ten wieczór w nadrzecznej kawiarence, piosenkę o miłości płynącą ze zdartej płyty, papierowe lampiony kołyszące się na wietrze. Pomyślała o jego ciele w wodach Mekongu.

I ciemnookiej kobiecie, która go kochała.

- Masz rację. Żaden żołnierz nie powinien wracać do domu sam.

Znowu nastąpiła cisza. Czowała, że Guy obserwuje ją i czeka.

- Mogłeś do mnie zadzwonić.

- Chciałem.

alous

- Ale nie było okazji, tak?

- Przeciwnie, było ich wiele.

- Ale nie zadałeś sobie trudu? - Nagle do głosu doszedł tłumiony dotąd gniew. - Dwa tygodnie bez słowa! A teraz masz czelność pokazywać się bez uprzedzenia u moich drzwi i stawiać walizkę na scand

podłodze...

Kolejne słowa nie dotarły do jej warg. Guy zamknął ją w mokrym od deszczu uścisku i wszystko, co zamierzała powiedzieć, utonęło w pocałunku. W głowie jej się zakręciło z pożądania.

Zrozumiała, że nigdy jej nie opuścił, że dokąd żyje, zawsze będzie należał do niej.

- Chciałem do ciebie zadzwonić, ale bałem się...

254

- Czego?

- Że usłyszę, że to koniec. Że odzyskałaś rozsądek i zdecydowałaś, że nie będziesz ryzykować. Ale kiedy przyjechałem do Bangkoku, zatrzymałem się w Orientalu i poszedłem na drinka do baru na tarasie. Zobaczyłem ten sam zachód słońca, te same łodzie na rzece. Ale bez ciebie to nie było to. Nic nie jest takie samo bez ciebie.

- Nigdy mi tego nie mówiłaś. Po prostu zniknęłaś.

- Nigdy nie było... właściwego momentu. Nigdy mi tego nie ułatwiałaś.

Odstąpiła o krok i patrzyła na niego długo i krytycznie. A potem uśmiechnęła się.

- Nigdy nie miałam takiego zamiaru.

- Och, Willy. Tyle mamy spraw do załatwienia.

alous

- Jakich spraw?

- Na przykład, kto śpi po prawej stronie...

- Ty-mruknęła, kiedy jego usta dotknęły jej warg.

- I kto wymyśli imię dla naszego dziecka...

- Ja - westchnęła.

scand

- I kto pierwszy powie „Kocham cię”.

- To jest pole do negocjacji - odparła z uśmiechem.

- Nie.

Wpatrywali się w siebie, z uporem czekając, aż druga strona skapituluje. Poddali się jednocześnie.

- Kocham cię - usłyszała Willy w chwili, kiedy jej usta wypowiadały te dwa słowa.

255

Również jednocześnie wybuchnęli śmiechem - serdecznym, radosnym i pełnym nadziei.

Na dworze zabrzmiał klakson, który sprowadził ich na ziemię.

Przez okno zobaczyli kolejną taksówkę.

Willy niechętnie wysunęła się z objęć Guya.

- Tato? - zawołała.

- Idę! - Ojciec wyszedł z sypialni, naciągając płaszcz.

- Pożegnajcie się - rzekł dyplomatycznie Guy i podniósł walizkę ojca, by zanieść ją do taksówki.

Zostali sami. Patrzyli na siebie, oboje wiedząc, że może to być ostatnie pożegnanie.

- Wszystko w porządku pomiędzy tobą i Guyem? Willy kiwnęła głową.

alous

Zrobiło się cicho, a potem zapytał:

- A między nami?

- W porządku - odrzekła z uśmiechem. Podeszła do niego objęli się. - Tak - wyszeptała. - Pomędzy nami wreszcie wszystko w porządku.

scand

Z ociąganiem odwrócił się do wyjścia. W drzwiach podali sobie z Guyem ręce.

- Szczęśliwej podróży, Maitland.

- Dziękuję. Będziesz się nią opiekować, dobrze? I... dziękuję.

- Za co?

Maitland obejrzał się na Willy z żalem.

- Że pomogłeś mi odzyskać córkę.

256

Kiedy Bill Maitland wyszedł, Guy bez słowa objął Willy i zaczął





























ją kołysać. Taksówka odjechała, a ona pomyślała, że ojciec znowu ją zostawił. A co robi Guy?

Odpowiedział na to pytanie, biorąc jej twarz w dłonie i ją całując. Potem popchnął stopą drzwi, które zatrzasnęły się nieodwołalnie.

A ona zrozumiała, że ten mężczyzna z nią zostanie.

alous

Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
- 